


POLSKA CZYTELNIA
„PRZYSZŁOŚĆ"
im J. SŁOWACKIEGO
CURTIS BAY, MD.

WYBÓR PISM ZYGMUNTA KACZKOWSKIEGO

TOM IV

KRAKÓW. — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.

ZYGMUNT KACZKOWSKI

WYBÓR PISM

Z PRZEDMOWĄ IGN. CHRZANOWSKIEGO

TOM IV

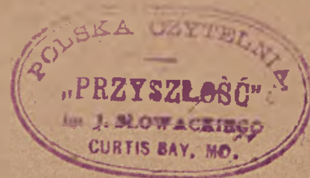
MURDELIO

TRADYCYE SANOCKIE

Z PORTRETEM AUTORA

WARSZAWA
NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA
1900

Дозволено Цензурою.
Варшава 28 Іюля 1898 года.



IX.

— O familii mojej — tak opowiadał Murdelio — nie potrzebuję wam wiele powiadać. Pradziad mój był ekonomem, dziad zrobił fortunę i siadł na urzędach, ojciec już miał wszystko, czego potrzeba. Ożeniwszy się i osiadłszy na znakomitym majątku, zajął się wyjaśnieniem naszego rodu. Herb nasz stał mu się dobrą do tego wskazówką. To też za jego pomocą nietylko się cała przeszłość nasza wyjaśniła, ale nawet okazało nam się prawo znakomitej puścizny, istniejącej w sumach gotowych, lokowanych w Hiszpanii i od lat stu podobno sukcesora czekających. Mozolnem staraniem i niesłychanem kosztem, ojciec mój podniósł te sumy i pozakupowawszy wiele ziem, majątek swój o wiele powiększył i zaokrąglił. Pięćdziesiąt wsi się zrobiło, lasy, jeziora, wody i wspaniały zamek w ich środku. Kiedy się to już stało i w ład wprowadziło, i mój ojciec, chyląc się ku starości, tylko tem jednem się cieszył, że ród swój do pięknej przyprowadził pozycyi i mnie jedynakowi doskonałe jej utrzymania zostawia środki, zjawia się krewniak nasz jakiś daleki, który się powiada stryjeczno stryjecznym rodzica bratem i żąda połowy hiszpańskiej sukcesyi. Szlachcic ten miał wioskę niedaleko Oszmiany, więc tylko o dwie mil drogi od mego ojca i ani znał nas pierwej, ani się do nas przyznawał. Wpadło to w oko mojemu ojcu i szlachcicowi fałsz zadał. Szlachcic nie poszedł zwyczajną drogą, nie udał się do praw i palestry, ale za fałsz zadany sobie w oczy, mojego ojca wyzwał

i z nim się wyrąbał. Potem dobył papiery, jedność naszych rodów, które się w pradziadzie schodziły, dokumentnie wykazał i rzekłszy mojemu ojcu: — „Bodaj dyabeł wlazł w tę fortunę i rozniósł ją na cztery wiatry!“ — wsiadł na koń i odjechał.

— Wypadek ten wzruszył mojego ojca; postanowił więc ile możności te pretensye braterskie zaspokoić, bo był człowiek uczciwy i prawy. Ale przy uczciwości był zarazem i skąpy, ziarnko do ziarnka składający i z zebranych chyba tylko dla mnie jednego co ruszyć lubiący. Majątek swój zresztą, z wielką skrzętnością i pracą oczyszczony i zaokrąglony, uważał za taką całość, że grzechem śmiertelnym byłoby mu się zdawało każde choćby najmniejsze jej naruszenie; a kiedy sobie jeszcze to przywiódł na pamięć, że ten majątek jest właśnie jedyną naszego nazwiska i jego świetności podporą, to prędzejby własną rękę był odżałował, niż jedną wieś utraconą. A tuby na brata było przypadało dziesięć wsi najmniej. Długo tedy sumienie ze skąpstwem toczyło walkę w tym starcu, i nakoniec pierwsze wprawdzie przeważyło, ale drugie po swojej klęsce jeszcze przynajmniej jak najmniejszą stratę dla siebie wytargować umiało. Ojciec bowiem zdobył się na to, że kilka tysięcy dukatów wraz z grzecznym listem, utyskującym na ciężkie czasy, nieurodzaje, powodzie, ale za to złote góry na przyszłość obiecującym, posłał swojemu bratu. Szlachcic atoli, mając głowę nabitą hiszpańskiemi sumami i prócz tego ambitny z natury, nie tylko, że pieniędzy nie przyjął, ale omal że jeszcze dworzanina nie wytłukł. Zgryzło to mojego ojca; spowiadał się, pacierze mówił, pielgrzymkę do Ostrejbramy odprawił, i powróciwszy, obłożnie zaniemógł. Choroba wzmagała się coraz bardziej, siły ciała opadały, walka wewnętrzna trawiła go widocznie. Nareszcie, dnia jednego, czując się o wiele jeszcze słabszym, rzekł do swojego Gintowta Litwina, który był jego plenipotentem i najzaufańszym powiernikiem: — Nie, tak nie będzie. Nie potrafiłbym skonać. „Weź wasze papier i pióro i uczyń w mojem imieniu zapis na pana Wita... tych trzech wiosek, z któremi graniczy.“ — Gintowt siadł i pisał, mój ojciec z łóżka pomagał mu w koncepcie, ale płakał ze żalu. Dokument jednak wystawiony, podpisany i rodowitą pieczęcią zaopatrzony, odesłano zaraz przez konnego na przeznaczone miejsce. Mój ojciec trochę się uspokoił, a nawet rozweselił. Nad wieczorem atoli posłaniec powrócił i ku wielkiemu zdziwieniu całego dworu, zamiast podziękowania dla brata i uspokojenia dla ojca, przywiózł tylko kawałki podartego przez pana Wita dokumentu. To mego ojca dobiło — wieczorem zaniemógł gorzej, koło północy był już konający.

Ja miałem natenczas lat blizko dwanaście. Edukowano mnie z wielką pracą i wielkim nakładem, i z tej przyczyny dziwnie dwór nasz wyglądał. Nie było sukni w Europie, w którejby ktoś nie chodził na naszym dworze, nie było mowy w Europie, którąby tam nie mówiono. Dwóch Francuzów, jeden Niemiec, jeden Anglik, trzech Włochów niby to przy mnie było. Hiszpan nawet jeden, który niegdy z owemi sumami z Madrytu przyjechał, ostał się na zamku i obiecując mojemu ojcu, że mnie marynarki nauczy, ostał się na zawsze. Wszystko to chodziło w krótkich sukniach, trzewikach i pończochach, w większych i mniejszych perukach, w długich lokach, w aksamitach, w kolbertynach, w kryzach, przy szpadach i Bóg nie wie w czem jeszcze. Podług nich ubierali się i inni dworzanie, sługi nawet przystrajano z cudzoziemska, tylko mój ojciec i Gintowt stary chodzili po dawnemu i ze łbami wygolonymi. Dziwno się to może wydawać będzie komu, że mój ojciec, chociaż był skąpy, tyle obcych ludzi trzymał na swojej kuchni i laffie, dziwno się to nawet wydawało sąsiadom, ale tak było w rzeczy. Mój ojciec sam odebrał mizerne wychowanie za młodu i zajęty jedynie tylko robieniem fortuny, o niewiele je podniósł w późniejszem życiu; dopiero kiedy po znacznem powiększeniu tej fortuny i po rumorze, który się z przyczyny owych sum hiszpańskich rozległ o moim ojcu po Rzeczypospolitej, uwaga publiczna się na niego zwróciła; dopiero kiedy przez znaczny urząd, na którym natychmiast zasiadł, wszedł w bliższe z wielkim światem stosunki, dopiero wtedy, nie wychowanie

swoje poprawił, ale poznał, że ono jest konieczne na świecie i że bardzo źle jest bez niego. Od tego złego, którego sam doświadczał, postanowił mnie wszelkiemi siłami ochronić, a że był człek namiętny i czegokolwiek się chwycił, to już niespracowanie robił i wyciągał do ostatniej ostateczności, więc i do wychowania mego wziął się z taką energią, że dziesięć razy więcej sił i środków do tego użył, niż było potrzeba. Do uskutecznienia niektórych rzeczy nigdy nadto sił użyć nie można, nigdy nadto energii, ale do innych tylko w miarę, w czas i w miejsce użyta siła cel swój może osiągnąć. Ktoby chciał wóz ruszyć z miejsca i na około niego kilkanaście koni nasilał, ten go raczej rozerwie, ale pewno nie ruszy. Tak było i ze mną. Każdy z tych cudzoziemców czegoś mnie uczył, każdy do mnie swym własnym przemawiał językiem, ale jam się niczego zgoła, ani nawet języków od nich nie nauczył. Geografia i historya, astronomia i alchimia, prawo i języki: francuski, włoski, niemiecki, angielski, hiszpański i polski, tak się to wszystko pomieszało w mej głowie, wyobrażenia o Bogu, o religli, o ludziach, o obowiązkach człowieka i obywatela tak się pokrzyżowały, uczucia nawet moje dziecinne, które ze szczętem nie wyniszczały, tak się powikłały i zdenaturalizowały, że ksiądz staruszek, zamkowy kapelan, który mnie miał religii nauczać co rana, często mojemi objekcyami zbity z tropu, zamiast mi dawać lekcye, tylko ewangelię czytywał nade mną. Na tym punkcie stało moje usposobienie, kiedy mnie obudzono i powiedziano, że ojciec jest konający. Francuz mnie wyrwał z łóżka i zaprowadził do konającego, który leżał wysoko podniesiony na poduszkach, mówił jeszcze, ale ruszać się nie mógł. Powiedziano mu, że ja jestem przy łożu. Wtedy obróciwszy głowę cokolwiek do mnie, chrypliwym, urywanym głosem wymówił te słowa: „Synu! zostawiam ci wszystko. Do skończenia świata nie powinniście już wychodzić z senatu. Rób wszystko co możesz, na co siły twoje wystarczą, tak jak ja całe życie moje... ale... — tutaj się trochę zakrztusił i umilkł na chwilę, lecz potem znowu: — ale... zaspokój jakim sposobem pana Wita pretensye. Może darujesz co jego dzieciom. Ale... to sobie pamiętaj... on ma córkę jedynaczkę... kiedy się z gniewu wysapie, a ambicya mu nic od ciebie przyjmować nie pozwoli, jednakże żal mu się zrobiło schedy.. on ci córkę podstawiać będzie. Niech cię Bóg broni! pod błogosławieństwem... zakazuję!...“ Tu się mocno zakrztusił, głowa pomiędzy poduszki upadła i skonał. W tym momencie grzmieć zaczęło na dworze, ale to tak strasznie, że aż zamek drżał cały, wicher się zerwał okropny i strącił pół dachu ze zamku, szyby powybijał, narożną wieżę, w której była kaplica, do połowy obalił; nagle błysnęło kilka razy i piorun uderzył w oborę, a zapaliwszy ją, strasznem światłem cały zamek oświecił. W przerażeniu i strachu wszyscy wybiegli ze zamku ratować, gasić, rozrywać, ja tylko jeden zostałem siedzący na skrzyni, która była przy łożu mojego ojca, i ksiądz staruszek, który klęknął na środku izby, mówiąc: „Przekleństwo pana Wita się sprawdza, zły duch włazi pomiędzy te mury“.

Po pogrzebie mojego ojca wszystko się zaraz zmieniło w zamku. Nie mówię już zewnątrz, bo tam były już tylko zgliszcza i ruiny, ale i wewnątrz. Nic tej dawnej ciszy, tego ładu, tego porządku. Każdy robił co mu się podobało, jadł i pił kiedy chciał, chodził po wszystkich pokojach; guwernerowie moi wyprawiali sobie uczty, z miast przywozili do tych uczt kobiety, jeździli na koniach, w karetach, poczwórnymi cugami. Gintowt stary chodził tylko po dziedzińcu z kańczugiem za pasem, wąsami ruszał i mruczał. Aż jednego dnia złapał mojego Francuza statystę w jakiejś szkodzie, czy na innym jakimś uczynku i sypnął mu z jakie sto kańczugów na progu. Drugiego dnia dał Niemcowi pięścią w gębę i wytargał jak psa za uszy. Trzeciego dnia Włocha zamknął do lochu o chlebie i wodzie. Czwartego dnia Hiszpan, obawiając się zapewne losu swoich kolegów, nocą sam uciekł. Ale piątego dnia rano znaleziono Gintowta nieżywego w łóżku. Po Gintowcie drugi Francuz rząd objął w zamku. Po kilku miesiącach objął administracyę majątku. W rok potem zawiózł mnie do Paryża, sam dojeżdżał do dóbr moich, ale mnie przez

trzy lata trzymał bez przerwy w Paryżu. Miałem już lat szesnaście. Nauczyłem się też był czegokolwiek, bo mnie Francuz dobrze pilnował i złotem płacił nauczycieli. Jednak umiałem się im wykradać, aby wybiedz do miasta; Francuza nawet oszukiwać umiałem, gdy mi było potrzeba nie nocować u siebie. Wziął mnie potem Francuz do Anglii i trzymał rok cały w Londynie. Tam odprawiłem pierwszy mój pojedynek i bardzo mi to posłużyło. Zabiwszy bowiem mego adwersarza na miejscu, poczułem się, że i jam jest człowiekiem i także coś mogę; jakoż i bić się nauczyłem na przyszłość. Po roku pobytu mego w Anglii, Francuz, który zawsze miał przemożny wpływ na mnie i po prostu trzymał mnie za łeb, wywiózł mnie do Italii. Hej! tam to życie! Żyłem każdym nerwem, każdym organem ciała i duszy, każdym oddechem. Ale po trzech latach — miałem już dosyć. Świat zewnętrzny mnie znudził. Jednego wieczora, mając wychodzić dla zejścia się z najpiękniejszą kobietą Florencyi, przyszła mi myśl nie pójść. Drugiego wieczora zapytałem siebie: co też jest we mnie? po co żyję na świecie? — Trzeciego wieczora: czem jest świat? czem ja w nim jestem? czy też ja nie mam jakich obowiązków dla niego? czy nie godziłoby się tym ludziom, którzy mnie tak pieszczą i tak mi dogadzają, coś dać za to od siebie? — Czwartego dnia wpadło mi na myśl, że będąc w Anglii widziałem samych Anglików, we Francyi Francuzów, we Włoszech Włochów: dlaczegóż ja Polak siedzę we Włoszech, a nie w mojej ojczyźnie, w Polsce? — U innych ludzi moment takiego zastanawiania się nad sobą bywa zwyczajnie przejściem na dobrą drogę, u mnie stał się on dopiero przejściem do złego. Krótko mówiąc, zastanowiłem się jeszcze nad sobą i znalazłem najpierwej to, że całkiem już nie umiałem po polsku, bo myśli mi się nawet układały w głowie takim językiem, w jakim kraju bawiłem; a powtóre, żem był cale inny, jak wszyscy ludzie. W Anglii, we Francyi, we Włoszech, gdzie ich tylko widziałem, każdy z nich coś umiał, każdy czemś się zatrudniał; ja nic nie umiałem i do niczego nie byłem sposobny; nakoniec pomyślałem: cóż będę

robił w Polsce? Francuz mi powiadał, że tam nie masz ani miast wielkich, ani zabaw publicznych, ani karnawału, ani morza, że tam kraj barbarzyński, zimny, wietrzny, ludzie mieszkają w chałupach, dzikie bestye chodzą po drogach; powiadał mi, że tam kobiety brzydkie i brudne, nie masz wina, ani muzyki, ani śpiewu, ani zgoła niczego, co jest we Francyi i Włoszech. Przecie mi serce uderzyło do Polski. Całą noc spać nie mogłem i tylko o niej myślałem, a na drugi dzień rano wypowiedziałem służbę Francuzowi. Zrazu Francuz ofuknął się na mnie i powiedział, że na podróż do domu nie może mi w żaden sposób zezwolić, ale kiedym mu dziesięć razy mocniej odfuknął i krzyknął w oczy, że ja pan a on sługa — umilkł i wziął się do argumentów. Jaką ty bronią, taką i ja; ty grzecznie i ja grzecznie, ale kiedy mi nakoniec zadał kwestyę, co będę robił w Polsce i z czego tam żyć będę? — wyrzuciłem go za drzwi. W godzinę potem pocztowe konie niosły mnie już do Polski.

Przyjechawszy do domu, doprawdy nie wiedziałem co począć. Najpierwej trudno mi się było z kimkolwiek rozmówić. Powtóre nie znałem się ani weź na administracyi, ani na gospodarstwie. Gintowt stary był w grobie, a drugiego Gintowta nie było. Zamek stał jeszcze, ale jedna połowa rozsypała się w gruzy i chwastami zarosła; w drugiej wilgoć ściany pojadła, sprzęty pozabierano, piece porozwalano, z okien szyby, z posadzek powydzierano kamienie. W kilku wsiach gospodarstwa żadnego nie było, role stały odłogiem, na łąkach cudze bydło się pasło; inne folwarki były w dzierżawach, albo zastawach, ale anim się mógł dowiedzieć, kto je powypuszczał, kto tenuty odbierał. Nie mogąc sobie atoli sam dać w tem radę, znalazłem sobie jakiegoś Gintowta, który za zapłatą podjął się wszystko przyprowadzić do ładu. Więc on gospodarstwo, ja zaś zamek wziąłem pod moją opiekę. Do roku byliśmy obadwa gotowi, ja połowę zamku zostawiłem w ruinie, tylko ją więcej bluszczem, różami i inną krzewiną obsadzić kazałem; drugą zaś wyrestaurowałem nie wiele zewnątrz, ale wewnątrz jak tylko można było najpyszniej,

sprowadzając do tego wszelki materyał z Niemiec i Francyi. On zaś pokończył rachunki i także ta sama ewidencya pokazała się u niego, co u mnie: połowa majątku pozostała w ruinie. Półtora miliona długu wpakował mi Francuz na dobra! wszystko przez dzierżawne i zastawne kontrakty, które na lat kilkanaście w różnych czasach porobił i na które naprzód pozabierał pieniądze. Był to ciężar nie mały i rzecz dla mnie nie znośna. Postanowiłem kark temu ukręcić. Przez mojego Gintowta udałem się z tem do sądów. Nic nie pomogło — głupszych sędziów nie widziałem na świecie — wszystkie procesa przegrałem. Gintowt poradził pojechać do Warszawy i udać się z tem do króla Pojechałem, prezentowałem się panu. August III był wtedy na tronie. Przyjął mnie grzecznie, uprzejmie. Mówił ze mną po niemiecku, chwalił moją układność, obyczaje, wymowę, kazał mi bywać na pokojach, zaprosił do swego towarzystwa strzeleckiego, które codziennie przez cały miesiąc maj od godziny czwartej do szóstej po południu odbywało swoje ćwiczenia; kazał się rozpatrywać w krajowych sprawach publicznych, obiecał powołać kiedyś do jakiegoś urzędu, ale na moich dzierżawców nie dał mi żadnej rady. Jednak ja sobie sam poradziłem. Zaciągnąłem jeszcze milion długu i powróciłem do domu. Zaraz też dwór urządziłem inaczej. Wziąłem trochę szlachty drobnej na kuchnię i lafę i uzbroiłem sobie pięćdziesiąt Kozaków jak dyabłów. Z tą szlachtą i Kozakami przyjechałem do każdego dzierżawcy lub zastawnika i pytałem: na ile lat masz kontrakt? ile lat trzymasz? ile lat ci pozostaje? — to wyrozumiawszy, mówiłem: tyle a tyle ci się jeszcze należy, tu masz, ruszaj do licha. Był taki co wziął pieniądze i poszedł; który zaś nie chciał i malował sobie jakieś pretensye, tego za łeb, na wóz z żoną, z dziećmi, z bagażami i Kozacy odstawili go za granicę dóbr moich. Było pisku i krzyku dosyć, jednego nawet, który się porwał na mnie, powiesić kazałem na wierzbie, dwaj dostali po sto bizunów, ale też do dwóch tygodni ani jednego dzierżawcy nie miałem. Wkrótce wydano mi kilka procesów, zaczęły mi się palić dworki po folwarkach. Procesa powygrywałem, bo już umiałem sobie z tem dać radę, a palić mnie także przestali, bom trzech włóczęgów, którychem nocą, na czele moich Kozaków patrolując, na moich gruntach połapał, przy rozstajnych drogach popowieszał. Te atoli nocne i dzienne wycieczki moje, jakoż i owe doraźne egzekucye, zwróciły na mnie uwagę sąsiadów moich. Różne wieści porozchodziły się o mnie, niestworzone rzeczy bajano; najpowszechniej atoli utrzymywano, żem dyabłu duszę zapisał, albo żem zgoła sam dyabeł *in persona* i to dyabeł wenecki; a poszło to zdaje mi się stąd, żem się z włoska ubierał i we włoskich sukniach na koniu po okolicy jeździł, Kozakami dowodząc.

Takie życie czynne i ruchliwe, zatrudnianie się administracyą i nadzorowanie gospodarstwa, całkiem inaczej mnie usposobiły: podróże moje i wszystkie zagraniczne praktyki jak sen przeminęły, zacząłem myśleć nad sobą, nad ludźmi, nad światem. Późnymi wieczorami, kiedy już wszystko ucichło do koła, wychodziłem na wierzch ruin powalonej połowy zamku, tam przy narożnej a ocalonej od zniszczenia galeryi na głazie siadywałem i słuchałem wołania sowy i głośnego śmiechu puszczyka — i to mnie bardzo bawiło. Różne myśli mi wtedy przychodziły do głowy, a wszystkie opierały się na tem, czem jestem, i szły tam, czembym ja też mógł zostać na świecie? Widziałem króla w Warszawie i to mi się bardzo podobało. Ma on wojsko, może się bić, kiedy mu się podoba, kraje zdobywać, ludzi gubić, albo z prochu podnosić — czemuż jabym nie miał być królem? ale jakże to zrobić? Trzebaby kraj jaki zdobyć i opanować. Odtąd przez kilka dni wertowałem mapy i szukałem na nich jakiego kraju, któryby mnie się podobał. — Później przyszła mi myśl, że na co mnie szukać kraju gdzieś daleko, kiedy kraj jest koło mnie? Zbiorę sobie trzysta lub więcej Kozaków, wezmę drugie tyle szlachty na jurgielt, i wieś po wsi będę póty najeżdżał i zabierał, póki sobie całego kraju nie zrobię. Później mi przyszło na myśl, że na co mnie szukać nowych sposobów zabierania wsi, kiedy mam jeden gotowy? Jakim przyszedłem do tych, które mam teraz, ta-

kim przyjdę do innych. I długo, bardzo długo myślałem, jakim to ja sposobem przyszedłem do tego, który mam teraz majątku, aż nareszcie przypomniałem sobie, że to ja miałem kiedyś ojca... Wtedy dopiero przyszły mi na myśl wszystkie chwile w domu rodzicielskim spędzone... przypomniały mi się owe sumy hiszpańskie, pana Wita pretensye, choroba, śmierć mego ojca, jego słowa ostatnie... I dlaczegóż to mi zakazywał ojciec żenić się z córką pana Wita? Pan Wit musi być bardzo tęgi człowiek, kiedy tak tęgi pokazał charakter... warto go poznać. Jego córka może być także cale niepospolita panienka — i dlaczegóżbym ja się nie miał z nią ożenić, kiedyby mnie się podobała? Zakaz to jest ciężar i rzecz nieznośna. Aż mi się duszno zrobiło na samą myśl tę, że mam jakiś zakaz na karku. Wsiadłem więc zaraz na koń i pojechałem do pana Wita.

Pan Wit mieszkał o dwie mile odemnie — za godzinę tam byłem. Wszedłem do dworku, zastałem go siedzącego na zydlu i szlifującego szabelkę. Był to starzec już siwy, miał lat siedmdziesiąt. Kiedym wszedł do izby, wstał do mnie i spytał: — „Kto waszmość jesteś?“ — „Ja?... ja jestem Piotrowicz, jakiś krewny waszmości; przyjechałem tutaj żeby was poznać. A gdzież córka waszmości?“ — „A cóż tobie do mojej córki!“ — zawołał stary — ruszaj precz, ty dyable wenecki: czego mącisz spokój mojego domu?“ — Na to roześmiałem się jemu w oczy; bo mnie zabawiła ta poufałość chudego szlachcica ze mną, co mi się jeszcze nie trafiło, odkąd powróciłem do Polski; więc poklepałem go po ramieniu i rzekłem: — „No, no, nie gniewaj się na mnie, mój staruszku, a pokaż mi córkę twoją.“ — Jeszczem tych słów nie skończył, kiedy jakąś piorunową siłą wyrzucony, ujrzałem się nagle za drzwiami. Taki niespodziewany obrót sprawy i mojej osoby cale mnie skonfudował. Stałem w sieni i nie wiedziałem co robić. Wielką miałem ochotę przywołać Kozaków i szlachcica powiesić. Alem się jeszcze namyślał. Wtem z bocznych drzwiczek wyglądnęła do mnie twarz jakiejś prześlicznej panienki.. Twarz ściągła, cera

porcelanowa, oczy prześliczne, rzęsy cudowne, włos ciemny, długi, szklący jak heban. Domyślałem się, że to jest córka pana Wita. — „Pani! — rzekłem tedy, zwracając się do niej — otóż jaka konfuzya spotkała mnie tu dla pani.“ — „Dla mnie? — spytała ona — a toż jakim sposobem?“ — Przyjechałem tutaj, aby upaść do nóg stryjowi jegomości i pannie, i z wszelką atencyą starać się o jej przyjaźń dla mnie, a tymczasem pan stryj zagniewany.“ — „Ej! to być nie może!“ — odpowiedziała z żalem panienka; ale w tymże momencie coś się ruszyło w tym pokoju, w którym był ojciec. Kto raz zadrżał ze strachu, dla tego już nie ma ratunku; prędzej zginie ze strachu, niż się na jeden krok odważny zdobędzie. Na sam szmer już uciekłem, dopadłem konia i popędziłem do domu. Było to pierwsze tchórzostwo w mojem życiu, ale też mam nadzieję że i ostatnie. Jeżelibym jeszcze raz kiedy zląkł się w jakim terminie stanowczym, to już mnie i dyabeł weźmie z kretesem. Bo to ja z ludźmi nie żartowałem, i myślę, że oni ze mną żartować nie będą.

Powróciwszy do domu już o niczem nie myślałem, tylko o tej prześlicznej panience. Dyabeł zaczął palić we mnie, poprzysiągłem sobie, choćby za cenę połowy życia, dostać ją koniecznie. Dnie i noce myślałem nad tem i li tylko nad tem. Zesmutniałem, umilkłem. Miałem wprawdzie środek prosty pod ręką: napaść na dom szlachcica, jego zabić a córkę zabrać do domu. Ale ja chciałem żeby mnie ta dziewczyna kochała; w takim zaś wypadku mogłaby mnie znienawidzić, bo to kobiety kapryśne. Więc jeszcze myślałem. Postrzegł Gintowt tę zmianę we mnie. Przyszedł, pytał co mi jest, czemum tak smutny, tak zamyślony? — Powiedziałem. Tedy on na to: — „Panie! na cóż to tego? na co tu gwałtów, napadów, wiolencyi? na co się narażać na grzywny i wieżę, jeżeli nie na stracenie szyi, kiedy oni sami panu z pocałowaniem ręki dadzą tę pannę. Tylko to trzeba robić rozumnie i zwolna.“ — „Zróbże to — rzekłem Gintowtowi — dostaniesz folwark w dożywocie.“ — I co mógł, zrobił w rzeczy ten Gintowt. Pojechał on najpierw na jakiś odpust czy jar-

mark, tam się zeszedł z panem Witem, i przy lampie wina czy miodu gadu gadu z nim o pszenicy i życie. Drugi raz już o gospodarstwie, więc o moich folwarkach, o doskonałym w nim rządzie i o wielkich z nich intratach. Trzeci raz o mojej osobie, jako ktoś przez zazdrość najgłupsze plotki puszcza w kurs o mnie, jako w tem wszystkiem nie masz prawdy ani joty, jakom ja jest człowiek najlepszy i rozumny i gładki, i jako najgorętszym mojego serca życzeniem byłoby stateczną z panem stryjem znajomość zabrać, i w ten jedyny sposób, jaki jeszcze pozostał, trafić, aby dawne familijne nieporozumienia zatrzeć i na wieki zagładzić. Czwarty raz szlachcic już Gintowta zaprosił do siebie — a za kilka tygodni powiedział mu otwarcie: — Niechże pan Ignacy przyjedzie do mnie; obaczę go bliżej, poznamy się, a z czasem to się to może i zrobi.

Tedy za radą Gintowta przebrałem się w kontusz i żupan, który na mnie ciężył i gniótł mnie jak pancerz; wlazłem w hajdawery takie wielkie, żebym mieszkać mógł był w nich i podzielić je na pokoje; włożyłem czapkę futrzaną na głowę, uzbroiłem się w cierpliwość i pokorę, wsiadłem na koń i pojechałem do pana Wita. Wszedłszy do izby, stanąłem przy drzwiach i pokłoniwszy się panu stryjowi do kolan, przepraszałem za to, że obyczajami zagranicznymi zapsuty, za moją pierwszą bytnością u niego nie umiałem się znaleźć, tak jak na przyzwoitego młodzieńca w kraju przystało. Pan Wit się na mnie popatrzył, rozparł się w boki, nadął się jak pęcherz i powiedział mi srogie kazanie. Ale ja już byłem najpokorniejszym sługą stryjaszka dobrodzieja. Przyszła panna, zarumieniła się, nie wiele mówiła, ale była śliczna jak anioł. Bawiłem się tam przez dwie godzin i musiałem się nie źle sprawować, bo stryjaszek dobrodziej rzekł mi przy pożegnaniu: — Widzisz waść mosanie! i ja umiem po francusku i po niemiecku, umiem po łacinie, czego ty nie umiesz, mam to samo nazwisko i ten klejnot co ty, i fortuna moja mi tak dobrze, a może jeszcze lepiej wystarczy jak tobie; mam nadto jeszcze siwiznę i nie małe zasługi

w swoim, ba i w obcych krajach, czego ty nie masz i może zgoła nigdy mieć nie będziesz — a przecie ludźmi uczciwymi nie pomiatam i znam respekt dla starszych! — To rzekłszy, pożegnał mnie.

Odtąd bywałem tam często, prawie dwa razy na tydzień. A trzeba wam wiedzieć, że ja dotychczas nigdzie nie bywałem i z nikim nie żyłem; wieść więc o mojem bywaniu u pana Wita runęła piorunem na okolicę; powiedziano, że konkuruję o jego córkę, że się już żenię. To mnie gniewało. Postanowiłem koniec położyć tym plotkom. A ponieważ uważałem, że mi panna nie krzywa, jako że i pan Wit dosyć skłoniony ku mnie, więc kazałem sześć koni założyć do karety, wziąłem Gintowta i dwudziestu Kozaków ze sobą i pojechałem z przedsięwzięciem zrobienia deklaracyi i wzięcia ślubu natychmiast. Kiedym wszedł do izby, pyta mnie stary: — Dlaczegóż waść tak paradnie? — Ponieważ ja nie umiałem jeszcze dobrze po polsku, ani się znałem na dziwnie pięknych retoryki polskiej figurach, więc Gintowt, począwszy od tego jak Pan Bóg rodzaj ludzki w arce Noego od potopu wybawił, uciął, mowę sążnistą i skończył na tem, że ja proszę o rękę pana Wita córeczki. Pan Wit tego pięknie wysłuchał, wąs poprawił, czuprynę pogładził, lewą rękę za pas włożył, a prawą gestykulując do mnie i do pana Gintowta, odciął znowu kubek w kubek takuteńką oracyę i ani jednego słowa nie został mi dłużen. Bardzo to ładny obyczaj. Treść atoli tej mowy była taka, że lubo on wcale nie miałby nic przeciw temu maryażowi, i owszem, widzi w nim palec Boży, który zagładza familijne krzywdy i niezgody, jednakże za mało jeszcze zna kawalera, żeby mógł dziecko swoje powierzyć. Niech kawaler, prócz panem, stara się być także sąsiadem i obywatelem, niechaj mnie słucha, niech mi się aplikuje, niechaj bywa w moim domu, aby się dzieci przyzwyczajały do siebie, to się może z czasem i zrobi. — Pan Gintowt wyraził panu stryjowi moją niecierpliwość, moją bytność u króla, jego łaski i tak dalej, ale pan stryj odpowiedział na to, że od jego dekretu

nie ma żadnej apelacyi, bo on jest sam grodem i ziemstwem i trybunałem i królem w tej sprawie.

Kiedyśmy odjeżdżali, powiedziałem Gintowtowi: — Ej! co tam będę się dał za nos wodzić szlachcicowi! zajazd zrobię i pannę zabiorę. Gintowt radził cierpliwość i prosił o zwłokę jeszcze na kilka miesięcy. Przystałem. Bywałem znów w domu pana Wita. Aplikowałem mu się, ale jednakże więcej pannie, która już swojej miłości nie taiła przede mną. I trwało to znów kilka miesięcy; pan Wit stawał się coraz nudniejszy, coraz więcej wymagający, począł mnie egzaminować o moje interesa, o gospodarstwo, o inne sprawy, począł dawać rady swoje, ba! dyspozycye... ja się ciągle aplikowałem. Ale nakoniec i sam dyabeł utraci cierpliwość! jednego wieczora wypaliłem mu taką replikę, że szlachcic zgłupiał z kretesem. — Bunt, mospanie! bunt przeciwko mnie podnosisz! — zawołał on do mnie — tą razą daruję, ale na drugi raz... pamiętaj! — Na drugi raz ja już buntu nie podnosiłem, ale stała się rzecz taka. Kiedym tam przyjeżdżał, bywało zwykle, żem najpierwej ze starym rozmawiał z jaką godzinę, potem zaś szedłem do panny i siedziałem tam do wieczora. Stary wtedy czytywał gazetę, albo do gospodarstwa wychodził, i do córki prawie nigdy nie zaglądał, bo tam była jakaś szlachcianka, która sprawowała urząd ochmistrzyni i posiadała zupełne zaufanie u niego. Ochmistrzyni atoli, co nie zrobiła za dukata, to zrobiła za dwa, co nie za dwa to za dziesięć, co nie za dziesięć, to za sto, dosyć że nigdy tam nie było ochmistrzyni. Otóż jednego dnia siedzę ja na kanapie i trzymając pannę na kolanach, w twarz ją całuję, ale jakem Piotrowicz, tak nie w żadnej złej myśli, tylko tak dla zabawki; wtem wchodzi stary. Panna struchlała na miejscu, ale jam się roześmiał w głos. Nie za całowanie ale za śmiech ten, stary zrobił scenę gwałtowną. Kpał mnie jak żaka, jak szewca, jak hultaja nakoniec. Tego już było mi nadto. Rzuciłem się na niego, chciałem go porwać, związać, wziąć w jasyr do siebie i dopiero traktować o wykupno albo zamianę jeńca, ale zwinny szlachcic odskoczył i w tym momencie taki mi wyciął policzek, żem

upadł na ziemię. Zebrawszy się, chciałem porwać za broń, ale nie miałem pałasza przy boku. W tejże chwili otworzyły się drzwi z łoskotem i wpadło kilku drągalów do izby. — A to co będzie? — zawołałem z wściekłością do starca. — Dostaniesz sto bizunów! — zawołał tenże. — Mości panie! — krzyknąłem — taki to sposób wetowania krzywdy u polskiego szlachcica! takie poszanowanie gościnności w tym kraju! — A ty jakże gościnność szanujesz! — odkrzyknął starzec — ruszajże sobie do milion dyabłów i niech tu noga twoja więcej nie postoi, bo nie sto bizunów ci dać, ale powiesić cię każę na suchej wierzbie! — Ja przecież nie dowierzałem tej kapitulacyi, tylko czemprędzej obróciwszy się twarzą do okna, skoczyłem przez nie w ogródek, z ogródka pod bramę, gdzie mój koń stał przy Kozaku... i uciekłem do domu. I z tego zrobiła się plotka, bo ci drągale powiedzieli, żem nie skoczył przez okno tylko w kąt izby, tam w myszą dziurę wpadłem, z której ze mną tylko kłęb dymu ze smoły i siarki wyleciał i rozszedł się po izbie... i cała okolica uwierzyła tej baśni.

Wróciwszy do zamku, nie było już dla mnie ani snu, ani nocy, ani jadła, ani napoju. Wszystko się gotowało we mnie, drżałem, trzęsłem się cały. Duma obrażona warczała we mnie jak pies rozdrażniony, złość się pieniła, miłość się wzmogła i targała całem wnętrzem mej duszy. Postanowiłem mścić się na starcu, mścić piekielnie i do śmierci; postanowiłem pannę zabrać, posiąść, zadość uczynić mym żądzom i przez córkę mścić się jeszcze na ojcu. Jednakże w tem delirium gorączki, żądz zemsty, złości, miałem chwile, w których cichy, nieznany mi dotąd, spokojny głos serca odzywał się we mnie. Chciałem wtedy upaść do nóg obrażonemu i rozgniewanemu starcowi, pokornie prosić o rękę panny, ożenić się z nią, pogasić w sobie wszelkie gwałtowne ognie, przytłumiać szaleństwa, osiąść w domu, oddać się pracy, służbie jakiej dla kraju i stać się takim człowiekiem, jak inni, jak wszyscy. Był to głos, który dawał jawne świadectwo słabości ducha mojego, był mi przeto nudny, nieznośny, ale zarazem

tyle silny jeszcze, że pomimo wszystkich planów moich ukartowanej już zemsty, musiałem przynajmniej spróbować jemu zadość uczynić.

W tym celu i duchu napisałem list do pana Wita i odesłałem go przez dworzanina. Pan Wit list odebrał, potem ławę kazał położyć na ziemi, dworzanina na ławę, list na dworzaninie, a na liście wypisał wymowną stoma bizunami odpowiedź.

Po odebraniu tej odpowiedzi, w jednem oka mgnieniu już byłem na koniu i na czele uzbrojonych pięćdziesięciu Kozaków. O zachodzie słońca popędziłem do wsi pana Wita. Kozaków zostawiwszy opodal, sam podjechałem o kilkadziesiąt kroków pod bramę. Trząsłem się cały, wnętrzności darły się we mnie, paliło mi się w mózgu, iskry z dymem wylatywały mi z gęby i nozdrzów. Czułem, że dyabeł z całą swoją mocą był we mnie. Gdybym był zaraz uderzył, byłbym mur chiński w gruzy powalił, ale ja chciałem dwór jeszcze obaczyć, jego gładkim widokiem się jeszcze rozjątrzyć, abym tem silniej i zapalczywiej uderzył i tem większą potem miał radość, patrząc na jego ruinę. Patrzyłem więc. I z szatańskim w mej duszy uśmiechem patrzyłem na ów dworek drewniany, jak śnieg bieluteńki, z równie białym ganeczkiem o czterech słupach, na którego czele przybita była Matka Boska Ostrobramska, która ze łzami w oczach i z uśmiechem na licu patrzyła na zielony przed gankiem wyciągnięty dziedziniec, na którym w środku trzy lipy stały z darniowemi ławkami i kamiennym stolikiem pomiędzy sobą. Na dziedzińcu igrały dworskie dzieci ziarnem, którego dość tam było, a gołębie siedząc trzema wieńcami na lipach, zlatywały na dzieci i pokarmiwszy się z rąk ich pszenicą, nazad podlatywały, siadając każdy na swoje miejsce, aby się wieniec który nie rozerwał. Bzy kwitły natenczas i głogi się rozwijały, przechylając się kwieciem swojem przez płoty, którymi był ogrodzony dziedziniec; trzódki wracały z pola i dzwoniły z daleka, fletnia się odzywała z za lasu, powietrze pełne woni cudownej rozściełało się dookoła, a słońce, chowając się za góry, ostatnie promienie swoje posyłało na lipy, na

dwór i dziedziniec. Cha, cha, cha! jak to pięknie było! istna bukolika!... Stałem na koniu za krzaczkami bzu i wina schowany, i patrzyłem i cieszyłem się, że tu jest tyle szczęścia, tyle spokoju, tyle niewinnej piękności... i szatan cieszył się we mnie, że to wszystko jest w mojem ręku, że nad tem wszystkiem wisi zemsta moja, i że za chwilę z tego wszystkiego nie będzie tylko to, co ja zechcę... kropla krwi i garść popiołu!... Kiedy tak myślę i różne ognie warzą się w mojej głowie i sercu, i kiedy już tylko co mam uderzyć, dał się słyszeć dzwonek z niedalekiego kościołka, wołający na Anioł Pański. Zaśmiałem się. Zdawało mi się bowiem, jakby który z moich Kozaków zakradł się do dzwonnicy i sygnaturkę dla konających poruszył. Niebawem jednak ruch się zrobił w dworku, ruch niewielki w dziedzińcu. Gromadka ludzi różnej płci i różnego wieku, pomiędzy nią dzieci nawet, a na ich czele pan Wit z córeczką, wyszła w dziedziniec i uklęknąwszy przed gankiem i obrazem, poczęła się modlić z wielką pokorą. Na ten widok coś mnie zapiekło w sercu, mróz poszedł po ciele. Oniemiałem, ręce i nogi poczęły mi drętwieć, namiętności kładły się jedna po drugiej. A kiedy drugi raz tenże sam dzwonek się odezwał, mimowolnie skręciłem koniem i w milczeniu odjechałem ku moim Kozakom. Milcząc, z spuszczoną głową i nie wiem o czem myślącą, przejechałem pomimo nich i puściłem się stępą drogą ku zamkowi wiodącą. Nie wiem jak długo tak zamyślony jechałem, jednakże wkrótce coś mnie znowu piknęło, obudziłem się i zaśmiałem się sobie w oczy i ze siebie. Potem wpakowałem koniowi ostrogę, zmieniłem front i kopnąłem się całym pędem napowrót do pana Wita. Z całą bandą moją stanąłem przed bramą. Teraz już wszystko wyglądało inaczej... był już wieczór natenczas... słońce już zaszło było... ziemia siniała... księżyc wyszedł na niebo i w lisią czapkę zawinięty, wróżył święto-jankę... czeladka wszystka już spała... okna były pootwierane w dworku... cisza była jak na cmentarzu. Popatrzyłem jeszcze raz na ten dworek i szepnąwszy Kozakom: — Starca i pannę żywcem na koń i do zamku! — uderzyłem i obskoczy-

łem dom cały. Co się tam gdzie działo po innych stronach, tego nie wiem; jam wskoczył do pokoju, w którym spała panna. Znalazłem ją rozebraną, przestraszoną, klęczącą na łóżku ze złożonemi rękami. Kiedym wpadł do drzwi, całkiem czarno ubrany i z ogromnem czarnem piórem u kapelusza, nie wiem czy mnie poznała, czy nie, ale krzyknęła, padła i omdlała. Wtedy porwałem ją wpół, wskoczyłem na koń i popędziłem do zamku. W godzinę byłem już w domu. Panna moja przyszła do zmysłów, drżała jeszcze od strachu i przerażenia i długo milczała. Jednak w kilka godzin przemówiła, uspokoiła się trochę, dopytywała się o ojca, modliła się wiele i ustawicznie. Po północy Kozactwo moje wróciło. Zapewniali mnie wszyscy, że żaden z nich ojca ani widział na oko i że krom trochę rabunku, nic się nikomu nie stało złego. To pannę uspokoiło jeszcze więcej, jednak nie mogła się ani patrzeć na mnie; o dawnej miłości swojej milczała, ciągle się troskała o ojca, ciągle jeszcze modliła. Ja ją wszelkimi sposobami pocieszałem i uspokajałem, przyrzekałem, że wszystko dla niej i jej ojca uczynię, że ją zrobię samowładną i nieograniczoną panią nad zamkiem, nad majątkiem moim, nade mną samym, i byłbym tego niezawodnie dotrzymał, bo krom niej nie było już nic innego w całem sercu i duszy mojej. Ona mnie słuchała, wierzyła i niedowierzała, i śród oddawanych mi pieszczot nie raz wzdrygała się przede mną. Jam zapomniał o świecie całym i od stóp do głów stałem się cały miłością.

Tak trwało dni kilkanaście. Śród nich atoli z przyczyny tego wypadku taki się rumor zrobił pomiędzy szlachtą okoliczną, że kilku dworzan moich, których dla szpiegostwa wyprawiałem w sąsiedztwa, coraz więcej zatrważające przywozili mi wieści. Szlachta się burzyła, odkazywała, psy na mnie wieszała, zbierała się i nad czemś radziła. Powiadano, że pan Wit chodzi od dworku do dworku, od zaścianku do zaścianku, że błaga, prosi, zaklina, beczki z winem i miodem stawia po miejscach publicznych i krucyatę na mnie zbiera. Jednego wieczora nawet dano mi znać, że już zamierzają napaść na zamek; postawiłem załogę pod bronią, sam całą noc czuwałem, ale nic nie było. Dnia następnego Gintowt, który przez cały ten czas milczał, przyszedł do mnie i żądał rozmowy na osobności. Kiedyśmy byli sami, rzekł mi: — Pan popełniłeś zbrodnię, *vim publicam, crimen.* Przyszedłem tedy ostrzedz pana, iżbyś rzecz tę w dobry sposób zakończył i przebłagać się starał słusznie zagniewanego ojca, a ostrzegam pana nietylko dlatego, że sprawka ta gardłem pachnie, ale i dlatego, że jeśli pan się z niej w jaknajkrótszym czasie nie oczyścisz, to ani jeden uczciwy człowiek nie zostanie na pańskim dworze. — Ja Gintowta za takie gadanie wyrzuciłem za drzwi, ale pomimo to słowa jego dobrze mi uwięzły w pamięci. Jakoż tego wieczora, znudzony jeszcze naleganiami panny, abym jej ojca, jeżeli nie przywiózł do zamku, to przynajmniej odszukał koniecznie, i zachęcony jej obietnicami, że w takim razie uspokoi się całkiem i moją zostanie na wieki, wziąwszy kilku Kozaków że sobą wyjechałem do dworku pana Wita. Dworek był, ale pana Wita nie było. Pytałem tam, pytałem wszędzie po drodze, nikt mi nic nie odpowiadał. Późnym wieczorem powróciłem do domu... i cóż powiecie na to?

Wjeżdżam do zamku, i już na samym wstępie uderza mnie to, że jakaś niezwyczajna cisza w dziedzińcu. Pytam, wołam, nigdzie nie masz nikogo. Z bijącem sercem i trzęsącemi od złości wargami zeskakuję z konia, wpadam do zamku, przebiegam wszystkie pokoje... nigdzie żywej istoty. Cisza, milczenie, pustka, jakby tu dżuma dopiero była i wszyscy na nią wymarli. Nie może mi się pomieścić w głowie co to jest, jestem jak głupi, jak zaczarowany, snem mi się to wszystko wydaje. Wypadam na dziedziniec, przebiegam wszystkie kąty, wszystkie oficyny, gumna, stodoły, ogród, piwnice, ruiny... wszędzie taż sama cisza, taż sama głuchota i nigdzie ani żywej duszy. Kozacy, którzy jeździli ze mną na tę wycieczkę, powrócili i także nie mniej zdziwieni poglądają po sobie, lecz milczą. W wściekłości prawie rzuciłem się na nich, pytając co to? Długo nic nie mówili, aż kiedym jednemu pistolet wymierzył do piersi, zawołał: — Powiem, panie. — Mówże! —

krzyknąłem. — Pewnie pan Gintowt wykradł pannę — mówił Kozak — i trochę Kozaków zabrał z sobą, bo już od kilku dni nas burzył. — Gintowt? — krzyknąłem z wściekłością — o! poczekajże wraży synu! kruki się twojem ścierwem napasą!... — I do północy rzecz się wyjaśniła. Istotnie tak było. Gintowt spisał moich Kozaków przeciwko mnie i pannę wykradłszy, uciekł. Reszta Kozaków i innej służby, która mi wierną została, spostrzegłszy co się stało, wsiadła na koń i popędziła za nimi, ale napróżno. Sto szlachty czekało na granicy wsi moich i porwawszy Gintowta z panną pomiędzy siebie, stawili czoło zamkowej pogoni. Pogoń ta uderzyła na nich, ale bez skutku; kilku z nich padło na miejscu, kilkunastu zaś rannych i reszta zdrowych powróciło po północy do domu i o tym wypadku szczegółową mi zdało relacyę. Takim sposobem tyle usiłowań moich poszło na nic z kretesem!...

Ten cios zadany już ugruntowanej miłości, a nadewszystko dumie i ambicyi mojej wzburzył mnie całego i rozburzył na chwilę. Przez kilka dni byłem jak waryat. Dostawałem najprawdziwszych napadów furyi, wściekłości, dyabelstwa. Wtedy wybijałem szyby u okien, druzgotałem sprzęty, strzelałem w łby koniom, chciałem nawet siebie zabić nakoniec. Za odebranie panny mojej i możność pomszczenia się na jej ojcu, na Gintowcie i szlachcie okolicznej, za wycięcie w pień owych szlachetnych zaścianków, którzy w największej części składali pana Wita krucyatę, byłbym zaraz był dał życie. Przekląłem nareszcie siebie, żem jest tak ubogi i słaby, że sobie nie mogę dać rady, i upadłszy na ziemię, krwią się zalałem.

Jak długo leżałem chory, kto mi usługiwał, kto chodził przez ten czas koło mnie, nic nie wiem; — wychorowałem się jednak i w kilka tygodni, lubo jeszcze z łoża wstawać nie mogłem, miałem się już o wiele lepiej i byłem całkiem przytomny.

Wtedy przyjechał do mnie jeden ze znakomitszej szlachty z Warszawy, którego podczas w stolicy mojej bytności poznałem. Szlachcic ten mówił bardzo wiele, zawile i długo, z czego jednak to wyrozumieć zdołałem: — Że

wiadomość o mnie i o moich uczynkach rozniosła się po całym kraju i doszła do uszu króla, który jest tem oburzony i na przykładne ukaranie mnie koniecznie nastaje; że pozew o gwałt publiczny i najechanie domu szlachcica, jako też i o owe dawniejsze moje egzekucye bez sądu, już jest wniesiony; że sprawa ta przez całe obywatelstwo gwałtownie na zgubę moją popieraną będzie, i że ani włosa nie chybi, tylko szyję dać przyjdzie. Jednakże w razie takim, gdybym się przed rozpoczęciem tej sprawy za wczasu wynieść chciał za granicę, nie miałbym się czego obawiać — wszystkie trybunały i wogóle całe sądownictwo jest w ręku partyi, która ma potężną *familią* na swojem czele — partya ta zaś nie da mi ani jednego włosa strącić z głowy, jeżeli akces do niej uczynię. — Tak mówił szlachcic. — A wiedziałem, że prawdę mówi i wiedziałem to, że partya taka, partya poprostu famili w rzeczy istnieje w kraju, że partya ta jest silną: w toż mi graj! — rzekłem sobie. Dałem więc rękę szlachcicowi, że wyjadę — on mnie — że mi ani włos z głowy nie spadnie — wydałem jemu plenipotencyę do administrowania dóbr moich — i wyjechałem do Włoch. Wszystko to uczyniłem w nadziei powetowania krzywd moich — powetowania krzywd i wzięcia pomsty nad szlachtą rozbestwioną na mnie niewinnie i nad owym starcem piekielnego umysłu, który jeszcze w dzień śmierci mojego ojca zaklął fortunę moją, ażeby w nią dyabeł wlazł i rozniósł ją na cztery wiatry! Ale... do dziś dnia nie dał mi Pan Bóg dokonać tej sprawiedliwej zemsty mojej — i może... ej! co tam! wy już śpicie podobno! — zawołał Murdelio, przerywając swoje opowiadanie.

Myśmy nie spali, lecz milczeli.

— Śpicie już? — spytał on znowu.

— Ale dlaczegóżbyśmy spać mieli? cale nie śpimy — odpowiedział pan Fredro — ale powiadaj dalej. Więc to wtenczas zdybaliśmy się we Włoszech?

— Wtenczas! — odpowiedział Murdelio — wtenczas! — i wypił kilka szklanek wina od razu.

— Hej! — zawołał gospodarz — wina!

Kiedy przyniesiono wino, poczęliśmy pić *de noviter repertis*, wymyślając różne zdrowia, to takie, to owakie. I ja piłem równo z nimi, ale mi jakoś nie smakowało, piłem ale mogę powiedzieć że mi każda kropla krwi w gardle stawała, kłójąc mnie jak kość albo piekąc jak ogień. Po chwili Murdelio się znów zaczerwienił i na nowo nabrał ferworu; jakoż podżegnięty przez gospodarza, mówił tak dalej, urywając już atoli lada chwilami i popijając całemi szklankami.

— Jakim byłem przez cały pierwszy rok mego pobytu we Włoszech, nie potrzebuję ci tego powiadać. Krwiby się nikt był we mnie nie dorznął. Drugiego roku dowiedziałem się, że panna moja w kilka tygodni po ucieczce ode mnie poszła za mąż, za jakiegoś chudego szlachcica, stolnika rzeczyckiego, i że w siedem miesięcy po ślubie powiła córeczkę. Jedno mnie rozjątrzyło na nowo, drugie pocieszyło cokolwiek. W trzy lata dano mnie znać, że już sprawa moja zagładzona zupełnie. Dotrzymano mnie słowa, wróciłem, i ja też dotrzymałem mojego. Przystąpiłem do partyi *familii* i przez lat kilka dobrze się zabawiałem. Zrywać sejmiki pić i agitować ze szlachtą, trząść trybunałami i całem sądownictwem po kraju, cha, cha, cha! to przepyszna rozrywka! Ani na wagę złota nigdzieby jej nie można dostać podtenczas w całej Europie. Kiedy mnie Londyn, i Paryż, i Rzym i Neapol już aż do czczości znudziły swojemi redutami, karnawałami, kobietami, dworami, Polska niespodziewanie przygotowała mi taką zabawę. Hulałem sobie tak przez lat pięć z górą. Porobiłem znajomości po całym kraju, wielu pozyskałem przyjaciół, niektórym znakomite oddałem usługi, niektórym stałem się zgoła niezbędnym. Ale dla moich zamiarów nic nie zrobiłem. Trochę szlachcie łbów natargałem, jednego nawet ścięto za moim powodem, ale nic zresztą. Stolnik rzeczycki, za którego poszła była moja panienka, mieszkał przez cały ten czas na Wołyniu i zapewne tam byli szczęśliwi. Nie chciałem im zresztą przeszkadzać, a lubo mnie piekło nie raz we wnętrzu, jednak ciężki już byłem, postarzałem się tro chę, nakoniec może i sposobności do tego nie było, a może mnie jeszcze jakie inne natenczas zajmowały widoki...

Ale po upływie tych pięciu lat z górą dowiaduję się nagle, że stolnik, zostawiwszy jeszcze drugą córeczkę prócz tamtej, umarł na apopleksyę podobno. Wiadomość ta zbiła mnie z tropu. Odpadła mi chęć do burmistrzowania po sejmikach i zjazdach, odpadła ochota do pijatyki i hulanki po dworach, posmutniałem, różne myśli napełniały mi głowę, różne uczucia serce; pojechałem do domu, osiadłem na moim zamku i rok tam cały siedziałem. Śród tego czasu wielka we mnie zaszła odmiana. Wszystkie namiętności, wszystkie ognie pokładły się we mnie. Zapomniałem o zemście nad tym krajem który mi tyle przyniósł nieszczęścia, nad szlachtą, która niewiedzieć za co tak mnie nienawidziła i głównie do wydarcia panny niegdy się przyczyniła, nad owym starcem kamiennym, którego przekleństwo ciążyło nade mną. Całą duszę moją zajęła teraz spokojna lecz silna miłość dla stolnikowej; zapragnąłem widzieć ją koniecznie, jej córkę obaczyć, i byłbym oddał wszystko, gdyby ona była oddała mi teraz swoją rękę i ze mną zamieszkała do śmierci. Począłem myśleć nad tem. W tym też celu niebawem kazałem odszukać Gintowta i napisałem list do niego, że mu wszystko zapominam, przebaczam, byle przyjechał do mnie i pomógł mi do wstąpienia na dobrą drogę. Ale Gintowt odpisał mi: — że onby mnie się gołą ręką nie dotknął, a kto się mną opiekował dotąd, niech się mną opiekuje i nadal". — To mnie zrazu oburzyło, ale po dokładniejszym namyśle jeszcze w głębszy pogrążyło smutek i w czarniejszą zgryzotę. I jadły mnie te smutki znów jaki miesiąc. Nareszcie postanowiłem bądź co bądź jakiś koniec uczynić. Pojechałem na Wołyń. Przebrałem się znowu w kontusz i żupan, przybrałem zmyślone nazwisko i zasiadłem u znajomego szlachcica, w sąsiedztwie tej wsi, w której stolnikowa z panem Witem mieszkała. Intrygami zrobiłem to, że stolnikowa przyjechała do tego domu z wizytą — intrygami i to, że ją na chwilę zostawiono sam na sam w sali. Wszedłem tam. Była piękną jak anioł, piękniejszą może niż

dawniej. Ale jak tylko mnie poznała, wydała krzyk okropny i zemdlała. Otrzeźwiłem ją i uklęknąwszy przed nią, prawie jednym oddechem wypowiedziałem jej wszystko, co miałem i mogłem końcem dopięcia mojego zamiaru powiedzieć. Nie uwierzyła mi. Ponowiłem zaklęcia, zaostrzyłem przysięgi. Wtedy zmiękła, mówiła ze mną długo, przyrzekła o tem mówić z swym ojcem i rozeszliśmy się. Przez cały tydzień, przez który wyczekiwałem jej odpowiedzi, raj miałem w myślach, raj w sercu, raj w całej duszy mojej. Dnia ósmego dostałem list od niej, w którym mnie zaklinała na wszystkie świętości i obowiązki, abym natychmiast z tego miejsca odjechał, że ona wszystko już zrobi sama i o wszystkiem mnie do domu doniesie, żebym tylko był cierpliwy i nie poczynał żadnych kroków gwałtownych. Odpisałem zaraz i przysiągłem najuroczyściej, że natychmiast odjadę, że najspokojniej będę w domu wyczekiwał jej doniesienia, że żadnego a żadnego kroku nie poczęnę, i dodałem niebacznie: — choćby rok, choćby dwa, choćby nawet lat *dziesięć*. Na drugi dzień wyjechałem do siebie. I zacząłem wieść życie porządne, pracowite, gospodarstwu i nadwerężonym sprawom majątkowym oddane. W miesiąc odebrałem list od niej, w którym pisze, że ojciec jest twardy i nieubłagany, że ani sobie mówić nie daje o mnie, ale żebym był przeto spokojnym i cierpliwym; że ona ma jeszcze całą i pełną nadzieję i że o naszej wspólnej przyszłości ani na jedną chwilę nie zapomni. Wszystko było kłamstwo i oszukaństwo! bo ani jednego słowa nie mówiła o mnie. Ale ja o tem nie wiedziałem i to mnie jeszcze pokrzepiło i poprawiło. Oddałem się z większą jeszcze usilnością pracy, gospodarstwu, domowi. Począłem na nowo robić znajomości ze sąsiadami; twardo szło zrazu, bardzo twardo, ale kielich pełny i stół otwarty przecie nie jednego mi gościa przyciągnął. Przynajmniej ci, którzy byli stronnikami familii, nie wahali się mnie nawiedzić. W dwa miesiące dostałem list drugi, nareszcie i trzeci od stolnikowej, obadwa były takie same jak pierwszy, obadwa z bojaźni przed mniemaną gwałtownością moją obiecujące złote góry

na przyszłość — jednak nie zrażało mnie to, postanowiłem już czekać. Śród tego czekania jednak widziałem jawnie, że tylko to jedno mogłoby tego starca nakłonić ku mnie, gdyby poprawiona reputacya moja na drodze publicznej doszła do jego uszu. Potrzeba było to zrobić. Otworzyłem tedy na ścieżaj wrota mojego zamku, począłem dawać obiady, wymyślać zabawy, polowania i różne hece i zapraszałem na to szlachtę z blizkich i dalekich okolic. Jednak to mi się nie udało. Co należało do mojej partyi, albo co było lada jakie, to bywało u mnie tłumami — innych atoli niepodobna mi było przywabić. Omijali mnie jakby dżumę. To mnie gniewało i na nowo jątrzyło; jednak tłumiłem w sobie mocą wszelką namiętność a raczej rzuciłem się do innego środka. Około tego czasu książę Karol Radziwiłł, jeszcze miecznik litewski, zgromadził był swoją, tyle sławną potem po świecie, bandę albeńską. Banda ta, lubo także nie lada jakie gwałty i roznoszone pomiędzy szlachtę niepokoje były jej codzienną zabawką, miała jednak pewne znaczenie i sympatyę w kraju. Postanowiłem przystąpić do niej, i odznaczywszy się przy niej jakimiś świetnymi czynami, zmienić o sobie opinię w świecie i dopchać ją do uszów p. Wita. Napisałem więc do księcia deklarując mój akces. Banda ta ani jej hetman nie wdawali się w pisma, ale odpowiedzieli mojemu dworzaninowi: że przeciw dyabłom weneckim chętnie wojować będą, ale sukursu od nich nie przyjmują. — Ta odpowiedź, której się wcale nie spodziewałem, wprawiła mnie we wściekłość; zapomniałem o stolnikowej, o miłości mojej, o szczęściu przyszłem, o nadziejach, o wszystkiem. Zemsty! zemsty pragnąłem, jak hyena trupów i kości. Ale kiedy już co nie idzie, to już całkiem nie idzie! Chciałem zbuntować tę szlachtę, która u mnie bywała i uderzyć na Albę, ale nikt nie miał odwagi występować przeciwko księciu; i nie dość na tem, że do mnie przystąpić nikt nie chciał, ale jeszcze na nowo wszyscy ode mnie odskoczyli i na nowo jakieś piekielne plotki porozsiewali o mnie. Zostałem znowu sam... ale srodze ciężką była mi ta samotność moja! Zrazu burzyły się we mnie znów wszystkie

namiętności, wszystkie pożądliwości, wszystkie złe i dobre pochucie, i przez czas jakiś byłem jak wóz długiemi podróżami skołatany, przez kilkanaście szalonych koni po kamienistej drodze ciągniony; ale wkrótce konie się zasapały, spieniły, wóz stanął i zastrzęgł w błocie. Wtedy zaciąłem zęby i strawiłem w sobie wszystko, co mnie kiedykolwiek dotknęło. Od stolnikowej długo nie odbierałem listu — nakoniec dowiedziałem się, że wraz z ojcem i dziećmi gdzieś wyjechała. Na tę wiadomość łzy mi się już tylko puściły z oczu — płakałem. Potem żółć się we mnie wylała, chorowałem, a po chorobie zapomniałem o wszystkiem... Wyjechałem po raz trzeci do Włoch. Bawiłem tam znowu lat kilka. Nareszcie król umarł. Nastąpiło bezkrólewie. Powróciłem do kraju. Osadziliśmy tego na tronie, któregośmy chcieli, bez sprzeczki, bez oporu, bez krwi rozlewu. Mruczano wprawdzie na nas trochę po kątach, aleśmy samem spojrzeniem gęby im zamykali. Ja już osiadłem na wieczne czasy na moim zamku i siedziałem na nim spokojnie. Teraz tylko chwilami, kiedy sobie przypomnę szlachtę moją lub stolnikową, wylatuję za zamek, ale to na czas krótki, na chwilę tylko. Nie masz sprawiedliwości na ziemi! Tam, tam dopiero! — wołał zaczerwieniony Murdelio i oczyma iskrzący – tam!... — ale pomiarkowawszy się, dodał łagodnie — tam będzie kara dla złych, a dla dobrych nagroda.

Myśmy słuchali obadwa z panem Fredrem tej dyabelskiej spowiedzi i obadwaśmy jak niemi milczeli. Byliśmy pijani potężnie, a mnie osobliwie dziwnie się kręciło po głowie; różne mi się myśli snuły, różne obrazy i przypomnienia, ale to powtarzałem sobie nieraz, a przynajmniej teraz to mówię: że kiedy się społeczeństwo rozprzęga, takie rodzi potwory.

Tymczasem klasnąwszy w dłonie, pan Fredro:

— Hej! — krzyknął — pić nam dawajcie! — a do Murdeliona łagodnie: — No i jakżeż? i już całkiem nie myślisz o twojej podczaszynej czy stolnikowej?

— Jeszcze dziesięć lat nie minęło — odpowiedział Piotrowicz.

— Cha, cha, cha — zaśmiał się pan podstoli — to już niebawem będzie miała wnuczęta.

Murdelio na to tylko zgrzytnął zębami jak zwierz i nic nie odpowiedział, a tymczasem wniesiono wino. Więc piliśmy znowu. Pan Fredro się chwalił tem winem i prawda, strzelały butelki, pieniły się szklanki, wabiły one do siebie misternie, ale ja już nie mogłem. Lałem w siebie, ale tylko przez przymus. Murdelio gadał coś dalej, coraz głośniej, coraz dobitniej, ale ja już kiwałem się tylko na stołku i mimowolnie drzemałem...

Aż nareszcie opowiadający coś krzyknął głośniej, z całej siły w stół pięścią uderzy, jam spadł ze stołka na ziemię, a na mnie szklanki, butelki i wina strumienie, które, lejąc się po mnie, piekły mnie i parzyły jak wrząca smoła, lub kruszec jaki roztopiony do płynu. Co się koło mnie zresztą działo — nie wiem, bo leżąc popieczony na ziemi, nic nie widziałem; to tylko pomnę, że się zaraz po upadnięciu mojem śmiech taki głośny rozległ po całej izbie, że się aż dom zatrząsł cały i podłoga zadrżała podemną. Po chwili dyabeł sam *in persona* przyszedł do mnie, a wziąwszy mnie pod pachę, rozpuścił ogon i skrzydła i uleciał ze mną w powietrze. Niosąc mnie i gniotąc nielitościwie po żebrach i wyrzucając nosem i gębą kłęby dymów siarczanych i smolnych, świstał tak przeraźliwie, że aż ciemności owej otchłani, którą szła ta wędrówka, rozstępowały się przed nim. Wtedy to gdzieś daleko pod sobą widziałem ziemię piękną i zieloną, na niej niebieskie wstęgi wód i obszarów lasami zjeżonych: gór brunatne pasma, na niej wsie spokojne okolone sadami, święte kościoły staremi ocienione drzewami, brudne miasta przykryte mgłami dymów i kurzu... i wszystko to zmieniało się przed mojemi oczyma co chwila, i przesuwało się tylko jakby malowana wstęga podemną, bom ja leciał jak wicher stepowy, bez pamięci, bez końca...

X.

Kiedym śród tych dziwnych wydarzeń napowrót przyszedł do przytomności, dzień już był biały, ja leżałem w łóżku, a mój Węgrzynek stał nieporuszony nademną.

— Co się dzieje? — zawołałem, przecierając obydwiema rękami sklejone oczy.

— Nic, panie, wszystko dobrze — odpowiedział sługa.

— Gdzież jestem?

— U siebie w łóżku; niech pan będzie spokojny.

Dopiero odetchnąwszy z pełnej piersi i obejrzawszy się dobrze, przekonałem się w rzeczy, żem jest w domu u siebie, i leżę na mojem własnem łóżku. Uspokojony tedy cokolwiek, spytałem znowu:

— Jakże ja się tutaj dostałem?

— Nic, panie, wczoraj pan sobie trochę pozwolił i upadł pan przy stoliku koło tamtych panów na ziemię; ja przybiegłem, chciałem pana rozebrać i położyć na łóżko, ale że tamten pan, co to z mnicha się przerobił na pana i pojechał z nami do Hoczwi, chciał koniecznie zaraz odjeżdżać, więc złożyliśmy pana na skarbniczek i przywieźli nocą do domu.

— To mnie przecie dyabeł nie niósł pod pachą po nad ziemią! Panu Bogu niech będzie chwała! A gdzież tamten pan jest? śpi jeszcze?

— O! gdzież tam panie! już i miejsce po nim zastygło.

— Jakto! odjechał?

— Odjechał, panie. Spał może ze dwie godzin, potem godzinę rozmawiał z karczmareczką, która tu wczoraj wieczór przyjechała z Tarnowa, przebrał się i odjechał.

— Z jakąż znów karczmareczką?

— Owa karczmareczka — odpowiedział Węgrzynek — u której my stanęli noclegiem w Tarnowie wtedy, kiedy to się tam szlachta pobiła z żołnierzami; przyjechała tutaj wieczorem i czeka, póki się jegomość nie zbudzi.

— Cóż to może być takiego? — zapytałem się sie-

bie półgłosem, ale z bijącem i niespokojnem sercem, jakby mnie co złego napotkać miało. Rzekłem więc do Węgrzynka:

— Dawajże mi suknię, niech się prędko ubiorę, a ty idź, powiedz tej karczmareczce, żeby tu przyszła.

Jeszcze się ubierałem, kiedy w rzeczy samej weszła taż karczmareczka, w której gospodzie, podczas mojej drugiej w Tarnowie bytności, przez strzał z pistoletu uspokoiłem burdę — weszła mówię taż karczmareczka i pokłoniwszy się pięknie, rzekła:

— Całuję nóżki jegomości.

— Jak się masz, duszeczko? — odpowiedziałem — miło mnie bardzo cieszyć się twoim widokiem pod moją własną strzechą, jednakże spytać muszę, co cię tu przypędziło do mnie tak daleko i po takich złych drogach?

— Nic tak nagłego — odparła ta piękna niewiastka z filuternym uśmiechem na ustach — tak wolna wola moja.

— Wolna i nieprzymuszona? — rzekłem, żartując — to bardzo ładnie; ale czy nie będzie to co szkodzić nietkniętej reputacyi twojej, kiedy się o tem dowiedzą w Tarnowie?

— Wielmożny pan sobie żartuje, widać że zdrów jest i nic mu nie braknie.

— Braknie albo nie braknie — odpowiedziałem — ale jakżeż tu nie żartować, kiedy z tym Węgrzynkiem już sobie rady dać nie można. Dalej i po gazetach zaczną pisać o tem, jaki to srogi bałamut.

Powiedziałem to w tem domniemaniu, że przyjazd karczmareczki do Bóbrki nie gdzieindziej miał swoją przyczynę, jeno w bałamuctwie mojego Węgrzynka, który sławnym był z tego, że dziewczęta za nim szalały, a to do tego stopnia, że prawie żadna moja dalsza z nim podróż nie obchodziła się bez tego, żeby jakaś nieszczęśliwa ofiara, jeżeli nie osobiście za nim przywędrowała do Bóbrki, to przynajmniej przez listy albo przez posłańce do niego się nie zgłaszała. Była to wielka niecnota w tym kawalerze i zapewne godna tego, żebym go już dla niej samej nie cierpiał u siebie; ale zważywszy sobie jego cnót sie-

demdziesiąt z tą jedną niecnotą, a nadewszystko mając to na pamięci, że każdy sam za swoje grzechy odpowiadać będzie kiedyś przy ryczałtowym rachunku, poprzestawałem zrazu na napomnieniach — a nareszcie i tych zaniechałem, widząc że one nie tylko nie skutkują, ale mu jeszcze tę zabawkę, czyniąc ją już podwójnie zakazanym owocem, tylko tem czynią łakomszą. Obaczywszy więc teraz ową karczmareczkę we dworze, musiał mi koniecznie przyjść na myśl Węgrzynek; jakoż raz jeszcze sobie zażartowałem, mówiąc:

— Niech go kat pali, tego Węgrzynka? co?

Wielmożny pan sobie żartuje — rzekła znów z flegmą a filuternie karczmarka — a tam może kto płacze za jegomością.

— Jakto? za mną — spytałem zadziwiony, bo mi na wieki wywietrzało z pamięci, że przedemną stojąca niewiasta była niegdy służebną w Żwierniku i że mogła wiedzieć o moich afektach, zgoła nawet o całym procederze tej sprawy. Tymczasem ona znów zwolna:

— Możebym się była pokłoniła jegomości od kogo, ale kiedy jegomość tak pusty, to widać już i zapomniał, co się działo nie dawno.

— Nie może być! — zawołałem uradowany — może mnie co przywozisz z Żwiernika? mówże prędko, za jedno słowo ocukruję cię całą.

Panna Zofia kazała się kłaniać.

— Panna Zofia! — krzyknąłem w szale niewypowiedzianej radości, i porwawszy karczmareczkę, posadziłem ją na kanapie, a sam, przysunąwszy sobie blizko niej krzesło, wołałem bez pamięci: — Mówże prędko, jak się ma panna Zofia? kiedyś tam była? kto cię tu przysłał? co mówi matka?...

Ale ona, powstawszy z kanapy i wydobywszy maleńki listek z za gorsecika, oddała mi go, mówiąc:

— Kiedy tak, to czytajże sobie jegomość.

Wyrwałem czemprędzej z rąk jej ten listek i pobiegłszy czemprędzej do okna, rozpieczętowałem i czytałem po raz pierwszy tak łakomie, żem nic a nic nie rozumiał.

Dopiero przeczytawszy go po raz drugi i trzeci, dziwnie mi się zakłębiło w sercu i w oczach, szalona radość i najgłębsza boleść opanowały mnie zarazem, w jednym też momencie i roześmiałem się z pełnej piersi, i rzewnemi zalałem się łzami. Zosia bowiem pisała w ten sens:

— „Wielce mnie miły mości panie skarbnikowiczu! Nie umiem sobie sama tego wytłumaczyć, dlaczego tak naganny krok czynię, że bez wiedzy mamy piszę do pana, ale to już inaczej nie może być. Po kilka razy sama sobie wytrącałam pióro z ręki i darłam list rozpoczęty; ale jakaś moc niewidoma przecie mnie przezwyciężyła nakoniec, żem go dokończyć musiała. Może już tak Bóg chce, żebyś waszmość koniecznie wiedział, co się tu dzieje. Wiedz pan tedy, że z powodu tego nieszczęścia, które się tutaj stało, mama bardzo cierpi i posmutniała, dziadek także bardzo jest frasobliwy, Zuzia się śmieje, a jmć pan Lgocki ma na przyszły tydzień przyjechać po ostatnie słowo... Matka Najświętsza, do której zawsze, jak się wszyscy spać pokładą, ze łzami się modlę, prawdziwy cud swój pokaże nademną, jeżeli mnie da zdrowo przenieść to wszystko, co się wciąż dzieje koło mnie i co się jeszcze dziać będzie. Niema już szczęścia dla mnie na świecie; niechże choć wiem co się dzieje z waszmością. Śniło mi się, że waszmość bardzo jesteś zmartwiony; niespokojną jestem o niego, bo życzę mu z całego serca, abyś żył sto lat i był bardzo szczęśliwy, tylko mi napisz dwa słowa. Zofia“.

Karczmareczka widząc mnie płaczącego, rzekła z troskliwością:

— Czegóż jegomość płacze? czy tam stoi w liście co tak bardzo smutnego?

— Nic — rzekłem, tuląc się we łzach — pewno że nic wesołego. Biedna Zosia!

— Oj! biedna, panie! Koniecznie ją chcą wydać za tego starościca, a tu darmo. Niebożątko po całych nocach płacze i ma racyę, bo do czego podobne małżeństwo z takim, z przeproszeniem jegomości, mazgajem, co jeno ludzie naśmiewają się z niego. Boże! ani to do tańca, ani do różańca; jabym sama nie poszła za niego. Nie wiem

nawet, co się przyśniło pani stolnikowej z takim panem młodym.

— Ot! przyśniło jej się — odpowiedziałem — myśli że już wygrała, kiedy jej zięć będzie miał o parę tysięcy więcej majątku niż inny.

— Boże! Boże! — zawołała karczmareczka, biorąc się oburącz za głowę — ta czegóż oni chcą od jegomości; przecież tu chwała Bogu i fortuna i taki dostatek, że jeno chyba ptasiego mleka brakuje. I w Źwierniku więcej niczego niema.

— Widzisz! — rzekłem i otworzywszy żelazem okutą skrzynię, w której było kilkanaście worków pieniędzy — patrz! i tu jeszcze się najdzie.

— Jezus Marya! — zawołała karczmareczka — i jeszcze nie chcą jegomości!

— A nie chcą.

— Powaryowali, jak Pana Bogam kocham.

— A powaryowali — odpowiedziałem — ale powiedz że mi, jest jaka rada na to? co myśli panna Zofia?

— Panna Zofia nieboga smutna bardzo i wciąż płacze. Przysłała po mnie ukradkiem do Tarnowa, bo ja to jeszcze od dziecka znam tę panienkę, przecie tyle lat byłam w tym domu, bo i prawdę powiedzieć wychowałam się we Źwierniku. Otóż przysłała po mnie Zosia i powiada mnie: — Kasiu! zrób ty mnie to a to. I dlaczegóżbym była nie miała zrobić? pojechać kilkanaście mil nie wielka rzecz. Mąż i tak siedzi, nie sprzeciwi się temu — i pojechałam. Na odjezdnem mówiła mi Zosia: — Tylko na miłość Boga zaklinam cię, przekonaj się pierwej co myśli o mnie pan skarbnikowicz; listu mu nie oddawaj na żaden sposób, aż póki nie będziesz wiedziała na pewno, że tęskni za mną; ale kiedy się z nim rozgadasz, to powiedz jemu, że choćby mnie zabili, ja za Lgockiego nie pójdę. Zresztą nie wiem nic, bo prawdę powiedzieć, to i nie było czasu długo rozmawiać; zawsze to ten, to ów przejdzie i przeszkodzi. Tyleśmy tylko ze sobą gadały, co w oranżeryi.

— Dziękuję ci bardzo, moja droga, za te najmilsze

dla mnie nowiny i bądź pewna, że czy mnie Pan Bóg da kiedy dopiąć mojego zamiaru, czy nie, o tobie nigdy nie zapomnę; a kiedy już tak wszystkie i moje i Zosine wiesz tajemnice, i kiedy od tak dawna poufała jesteś z domem Źwiernickim, powiedzże mnie, jak ty rozumiesz, co tu począć w tym razie? Czy podług twego rozumienia jest jaka droga, którąbyśmy mogli panią stolnikową ku sobie nakłonić, czy nie? Bo ja przyznam ci się, że lubobym Pan Bóg nie wie co nie dał za to, lubobym zaraz i połowę życia poświęcić gotów, jednak od dnia tej nieszczęśliwej rekuzy tak ogłupiałem, że ani jednej myśli w ład przyprowadzić nie mogę.

— A cóż ja mogę wiedzieć, panie? przecie jegomość ma lepszy rozum odemnie.

— Ba, rozum! człowiek ma rozum wtedy, kiedy ma szczęście, ale jak nieszczęście, to i największy rozum cudzych rad łaknie. Słuchaj, ty masz także rozum jak widzę i wiesz pewno niejedną rzecz; czy nie możnaby czego dokazać przez Zuzię?

— Ej! szkoda mówić panie; to takie niedobre pannisko, że prędzej co komu złego zrobi, niż pomoże.

— A stary jegomość?

— Ta! stary jegomość jedno drugie słowoby mógł dorzucić, ale przecie nie to się dzieje co on chce, tylko to co pani.

— A któżby? no to może jaki sąsiad albo sąsiadka mogłaby co wymódz na samej pani? bo jak mi Bóg miły, tak bez cudzej pomocy ja sam ani kroku już nie zrobię. Krew się zagotowała we mnie i takem wyjechał z Źwiernika, że gdzieżby mnie tam teraz oczy pokazać samemu?

— Hm! — rzekła karczmareczka, uśmiechając się do mnie. — Jegomość się mnie radzi, a dalibóg, że jegomość tylko żartuje ze mnie. Wie jegomość dobrze, kędy najlepsza droga.

— Jakto, duszeczko? jak ciebie kocham, tak nic a nic nie wiem.

— A cóż tu robił ten mnich u jegomości?

— Jaki mnich? — zapytałem.

— O! o! już ci dopiero co przed godziną odjechał.

— Murdelio? — zapytałem zdziwiony — a cóż on może?

— Oj! dużo może! — odpowiedziała karczmareczka — dla siebie może nie wszystko, ale dla innych u pani stolnikowej wszystko.

— Nie rozumiem ciebie; powiedz że mi, co wiesz o tym Murdelionie?

— Ej! na co tam jegomości wiedzieć? to tylko jegomości powiadam, że kiedyby on chciał, to zarazby to zrobił, żeby Zosię dali jegomości.

— Ale powiedz-że mi, co wiesz o nim?

— Nikt nic nie wie, ale ja wiem wszystko. Albom to raz podsłuchiwała podedrzwiami, kiedy, bywało, po całych godzinach rozmawia z panią stolnikową w osobnym pokoju? Nikt nic nie wie, ale ja wiem; to jest przebrany kochanek pani stolnikowej, pan wielki, aż gdzieś het z Litwy, czy stamtąd skąd jest stary jegomość. On się starał dawnymi czasy o panią stolnikową, kiedy jeszcze była panną, i już miało przyjść do tego, ale nadeszła wojna, on poszedł do żołnierzy, potem pojechał z wojną w dalekie kraje, a kiedy wrócił, to już zastał panią stolnikową zamężną. Przymusili ją pójść za stolnika; tak mnie to stary furman opowiadał, który tu z państwem przyjechał aż z tamtych krajów. Otóż Murdelio, kiedy z wojny powrócił i zastał panią już zamężną, to bardzo desperował i pani także dnie i noce płakała, bo i onaby była jego wolała, niż tamtego. Ale cóż, kiedy już ręce były stułą związane? Przecie Murdelio, kochając panią, chciał koniecznie co na to poradzić i może byłby co poradził, gdyby był z Bogiem zaczął; ale on dyabłu duszę zapisał i z jego namowy męża pani zabił. Potem chciał się z panią żenić, ale już pani nie chciała. Otóż on za swój grzech teraz pokutuje, a jak go odpokutuje, to się z panią ożeni. I pani jakoś teraz już nie bardzo ma ochotę iść za niego; podobno go się boi, ale przecie pani go kocha jeszcze. Paniby wszystko dla niego zrobiła, tylko iść nie chce za niego, a on nieraz tak prosi, tak ją po rękach całuje, klęka przed nią, dalibóg panie, on klęka przed nią, sama to przez dziurkę

od klucza widziałam. Ale na co jej tego? kiedy on już dyabłu duszę zapisał, a kiedyby pani poszła za niego, to i jej dusza pewnoby przepadła... i ona pewno nie pójdzie za niego; ale żeby jej tylko słówko powiedział, to Zosię zarazby panu dała.

Kiedy to karczmareczka mówiła, ja się przechodziłem po izbie i słuchałem jej pilnie, gdy atoli skończyła, ja stanąłem i rzekłem:

— Moja droga! i ja także cokolwiek wiem o tej historyi, bo i ja podsłuchiwałem pod drzwiami pani stolnikowej, a lubo ta rzecz ma się wcale inaczej, niż ty powiadasz, to jednak proszę cię i zaklinam na wszystko, żebyś o tem nikomu ani jednego słowa nie wspominała. To co pani stolnikowa dziś cierpi, czy to wskutek dziwnego tylko przypadku, czy wskutek własnej słabości, której opanować nie umie, powinno zostać tajemnicą na wieki. Ja sam nawet, choćby nie dla niej, to dla siebie i Zosi, jestem koniecznie za tem, żeby to się nie rozsiewało, bo chociaż wiadomość moja o tem nigdy na nic mi się nie przyda, bo takiego środka do dopięcia mojego celu nigdy nie użyję, toż gdyby się ona rozniosła pomiędzy ludzi, mogłaby mi bardzo szkodzić. Dlatego też i to powiadam tobie, że projektu, który mi podajesz, cale nie uskutecznię. Jeżeli jest w tem wola Boża, ażeby Zosia była moją, to się to stanie bez cudzej pomocy. Gorzkiby mi był dar ten, któryby mi przyszło przyjąć z ręki Murdeliona.

— Ja nie widzę nic w tem złego — rzekła mi na to karczmareczka — jeżeli jegomość Murdeliona użyjesz za swata; człowiek sobie radzi jak może.

— Zostaw-że już to mnie, moja kochana — odpowiedziałem i urwałem rozmowę. Po chwili jednak, począwszy nanowo, obradziłem się z karczmareczką, że bądź co bądź później uczynić wypadnie, teraz przynajmniej należy chwytać za to, co sam los szczęśliwy podaje i z Zosią stałe utrzymać relacye. Wielka to będzie dla nas obojga ulga i pociecha. Ale ponieważ mi ona powiedziała, że na żaden sposób często do Bóbrki przyjeżdżać nie będzie mogła, bo jej mąż jeszcze ciągle siedzi w kałauzie, a nawet już raz

powiadano, że go wieszać będą, więc zdecydowałem się pod jej opiekę oddać mojego Węgrzynka, którego ona obiecała tak introdukować w Żwierniku, żeby mógł przez nikogo niepostrzeżony, tylko przez wtajemniczyć się w to mającego ogrodnika tamtejszego sukursowany, listy od Zosi odbierać, mnie przywozić i nawzajem jej moje doręczać. Tymczasem zaś, odpisawszy list Zosi, w którym jej wypisałem wszystkie moje afekta i na wszystko najświętsze zakląłem, aby tylko czas jakiś wytrwała, oddałem go karczmareczce, naładowałem jej wóz leguminami, wędlinami i Węgrzynkiem, dodałem do tego jeszcze kilkanaście dukatów i wyprawiłem z Panem Bogiem do Tarnowa. Sam zaś zostałem znowu smutny i srodze rozmiłowany, o tyle jednak miałem się lepiej, o ile mi wiadomość od Zosi przyniosła ulgi i nadziei.

Tego dnia po obiedzie przysłał pan podstoli Kozaka do mnie z zapytaniem, jak się mam i czym zdrów dobrze, zapraszając mnie oraz iżbym chorego Urbańskiego odwiedził. Ale ja, zapewniwszy się od Kozaka, że pan Urbański ma się o wiele lepiej, kazałem powiedzieć żem niezdrów i że kilka dni muszę pozostać w domu. Chciałem być sam z mojemi myślami tylko i z listem Zosi, któren po kilka razy do dnia odczytywany przezemnie, wielką mi sprawiał pociechę, a nieraz nawet taką ułudę, jakbym zgoła z samą Zosią rozmawiał. I to mi było najmilej.

Tak w różnych myślach i przypomnieniach minęło mi znowu dni kilka. Ale jeżeli przypomnienia te, im częściej je przywoływałem przed oczy mej duszy, tem mi się stawały milszemi, toż myśli moje tylko coraz to czarniejszy wlokły za sobą smutek. Bo i jakżeż nie było mnie być smutnym natenczas?... czyż listy Zosi nie były tylko chwilową i nader kruchą pociechą? czyż wykryte przez matkę, co się lada chwila stać mogło, nie pogorszyłyby całej tej sprawy, i nie przyćmiły jeszcze bardziej wszelkich naszych nadziei? Czyż miałem jaką pewną postępowania drogę nadal wytkniętą? czy mogłem liczyć na czyją pomoc? czy mogłem liczyć na pomoc Boską, nie pomagając sam sobie?

O! smutny, bardzo smutny był stan mój natenczas, tem smutniejszy, ile że to wiedziałem do siebie, że z namysłem jeszcze żadnego przedsięwzięcia nie doprowadziłem do skutku. Byłem młody i czerstwy, i Pan Bóg rzucił młodość moją w takie czasy, w których wiele było do czynienia... i nie mogę powiedzieć jak tylko to, że wiele rzeczy się już do tego czasu było zrobiło, za które czy to obywatelstwo, czy przełożeni moi otwarcie wypowiedzieli mi wdzięczność, jednakże nic pewniejszego nad to, że żadnego z owych wielu przedsięwzięć nie podejmowałem inaczej, tylko tak jak Bóg dał, zaraz z pierwszego natchnienia. I udały się wszystkie. Co atoli i kiedykolwiek tylko przedsiębrałem, a odrazu mi się nie udało, to pewnie już nigdy nie przyszło do skutku. Cudze rady, cudze doświadczenia nigdy mi się na nic nie zdały. I był li to przymiot tylko mój osobisty, nie chcę tutaj rozstrzygać; to jednak wiem z doświadczenia, że to przymiot jest opłakany. Bo czyż nie płakać nad tymi, których szczęście i powodzenie stoi zawsze tylko na jednej chwili? Czy nie płakać nad tymi, którzy zresztą zawsze cudzej potrzebują porady i cudzego rozumu? Nędzne takich jest życie, nędzniejsze jeszcze przeznaczenie. Z olbrzymiemi fortunami pójdą w niedostatek i nędzę! i nie pozostanie im nic, tylko ta okruszyna z każdym dniem bardziej wiedniejącego serca, którem płacząc nad swojem głupstwem i niedolą, zaledwie litość potrafią obudzić dla siebie u bliźnich.

Ale cóż było robić! wiedziałem to i wahałem się długo, jednakże dnia jednego pojechałem do pana Błońskiego, do Bereski, na radę. On to był, który za najmądrzejszego uchodził w całej ziemi sanockiej, on, który w najzażylszej przyjaźni żył z moim ojcem, on nakoniec, który mi ranne ożenienie poradził; niechże mi teraz poradzi, co począć z rannem sercem i ranną miłością. Ale jeżeli to lichy rozum jest, który cudzej potrzebuje porady, toż nierównie lichszy jest ten, który w miłości idzie się radzić ludzi starych, którzy już dawno zapomnieli co miłość. Pan Błoński nietylko mi nic nie poradził, ale jeszcze, pomimo ca-

łego rozumu swojego, ani zrozumieć nie mógł, czego ja właściwie chcę jeszcze w tej sprawie.

— Dostałeś rekuzę — mówił on — panna jest objecana innemu, czegóż ty jeszcze chcesz?

— Panny! — odpowiedziałem niecierpliwie.

— To panien trzysta masz koło siebie.

— Ale ja tamtej chcę panny.

— No to śmieszna, kochany Marcinie. Jesteś jak dziecko, któremu się szybki z okna, albo gwiazdki z nieba zapragnie. Czy nie wiesz, co to nie można? Owe szaleństwa za kobietami, owe wzdychające miłości zostaw już Francuzom i Włochom. To ich rzemiosło. Polakom, których umysł z natury stateczny i których serce do wyższych daleko rzeczy, niż marna kobieta, wzniesione, taka rozrywka nie przystoi. Żal może być, bardzo wierzę, ale na to jest rada. Wytchnij trochę, popracuj, zabaw się książkami, wzmocnij i otrzeźwij umysł jaką poważną nauką, a kiedy cię to trochę umęczy i znów wyjedziesz pomiędzy ludzi, to ci się znowu inna spodoba panna.

Niechętny i kwaśny wyjechałem z Bereski, przyznam się nawet, żem obwinił pana Błońskiego o stronność i sobkostwo w tej radzie, bo sam miał córkę na wydaniu. Tak to dobrze powiada przysłowie: *cum bonis bonus eris, cum malis perveteris,* co się także tak da zastosować, że kiedy człowiekowi jedna zła myśl wlezie w głowę, to już same niepoczciwości ciągną za nią szeregiem.

Powróciwszy do domu, zastałem Węgrzynka, który już wrócił się z swojej podróży i przywiózł mi nowy listek od Zosi. To lepsza dla mnie była rada, skuteczniejsze lekarstwo. Jednakże nie ze wszystkiem, ale przecie. Zosia mi pisze, że mój list odebrała, że Panu Bogu najpierwej, potem zaś mnie dziękuje za tą jedyną w jej utrapieniach pociechę. Pisze dalej, że najszczęśliwsząby była, gdyby ją tylko tak zostawiono jak jest, żeby tylko mogła żyć ze swoimi kwiatkami i o mnie sobie przypominać czasem. Wspomina nakoniec, że Lgocki był w Żwierniku ze Stojowskim i swoim wujem, panem Kąkolnickim, że zajechali paradnie, koni nie kazali wyprzęgać, że dwie godzin rozmawiali z mamą w osobnym pokoju i potem odjechali, ale ona nie wie o czem tam mówili, bo mama jej nic dotychczas jeszcze nie powiadała. I chwała Bogu! — dodaje Zosia — bodajby mnie już i nigdy mama o tem nic nie mówiła.

Wyczytawszy to i pocieszywszy się tą nową od Zosi wiadomością, głęboko się zamyśliłem. Co być może za przyczyna, że Lgocki tak nagle odjechał? dostał-że on rekuzę? o! gdyby to było! ale to niepodobna. Wziął-że całe słowo od matki? czemużby o tem Zosia już nie wiedziała? przecieżby ją matka chociażby tylko dla formy była o jej wolę pytała. Więc i to być nie może. A cóż jest w istocie? I tak filując sobie: czarno czy biało? przechodziłem się z jakie dwie godzin po izbie. Jednakże nic nie wyfilowawszy pewnego, wpadłem na tę myśl prostą, że daleko lepiej się o tem z pewnego źródła dowiedzieć. Napisałem więc zaraz list powtórny do Zosi, i Węgrzynkowi kazałem się zabierać na popołudniu w nową podróż do Żwiernika. Wypytawszy go jednak o wszystkie szczegóły i wyrozumiawszy, że się doskonale zaprzyjaźnił z tamtejszym ogrodnikiem, że przebrawszy się w inną odzież, wąs i włosy podstrzygłszy, udaje się tam za brata pani ogrodnikowej i że tym sposobem może, jak długo sobie zechce, siedzieć w Żwierniku, rozkazałem mu wziąć parę koni i wózek i postawić go w karczmie we wsi Żwiernikowi sąsiedniej, aby, wziąwszy list lub wiadomość od Zosi, nie potrzebował już czasu tracić na najem podwody, tylko swoją ruszał co prędzej na dzień i noc. Do listu i pieniędzy na drogę dodałem jeszcze:

— Mój Janczi, spraw się dobrze a ostrożnie.

— Niech się pan nie turbuje, niewiele tam ostrożności potrzeba, bo żebym chciał, tobym i w biały dzień szedł na pokoje i list od panny odebrał; ktoby mi co zrobił? na cały dom tylko stary jegomość i stary sługa.

— Nie bądź głupcem! — fuknąłem mu na to — i nie powiadaj lada czego. Jaki mi zuch! w biały dzień iść na pokoje. Rób tak jak każę; główna to, żeby się nikt nie

dowiedział, bo jak tylko cokolwiek zmiarkują, to wszystko przepadło.

— Ej! ja wiem, panie, tylko tak mówię naprzykład.

— Już proszę ciebie przykładów żadnych nie mów i eksperymentów nie rób, tylko idź za tą drogą, którą już znalazłeś i która dobrą jest. Nadewszystko cię zaś obliguję i proszę, zapomnij już nateraz o honorze twoim i o wszystkich choćby i najpiękniejszych dziewczętach; zostaw to już na drugi raz, bo przez takie konszachty najprędzej się sekreta wydają.

— Już niech pan będzie spokojny, wszystko będzie dobrze.

To rzekłszy, siadł i odjechał. Ja zaś, zadowolony tem com uczynił, uspokoiłem się cokolwiek i tego dnia zamyślałem na parę godzin wyjechać do Hoczwi, aby i panu podstolemu złożyć moje uszanowanie i panu Urbańskiemu choremu oddać bratnią i powinną przysługę, a mianowicie, ażeby się trochę rozerwać i świeższem odetchnąć powietrzem. Już wszystko ku temu rozporządziłem celowi, już konie stały zaprzężone przed gankiem, już ja byłem ubrany i tylko co miałem wsiadać, kiedy nagle drzwi się otworzyły i wszedł do izby cale niespodziewany teraz Murdelio. Dwa razy nieprzyjemną była mi w tej chwili ta wizyta; raz, żem już był wybrany sam z domu wyjeżdżać, a powtóre, że mnie już całkowicie odrzuciło od tego człowieka. W dyabłów po ziemi chodzących nie wierzę, ale zły człowiek gorszy, i obrzydliwszy, i straszniejszy dla mnie, niż dyabeł. Tymczasem rzekł on po staremu pokornie:

— Pokój temu domowi.

— Na wieki wieków — odpowiedziałem obojętnie i zaraz dodałem: — Jakże tam waszmości powitano w klasztorze bez przyrzeczonej odemnie jałmużny, której wziąć zapomniałeś?

— Nie zapomniałem — odpowiedział Murdelio — jeno umyślnie nie brałem, bom jej jeszcze był nie zasłużył.

— Jakże to? a teraz już zasłużona?

— Zaraz to obaczymy — odpowiedział Murdelio i dobywszy z rękawa tabakierki, podał mi tabaki.

Mnie się jakoś dziwno zrobiło w tej chwili i serce mi gwałtownie bić zaczęło; zdawało mi się bowiem, wstyd się przyznać do tak grubej omyłki, ale zdawało mi się, że Murdelio, jako to człowiek impetyk i na gorąco biorący się do wszystkiego, zawezwany przezemnie z klasztoru dla dania mi rady na moje frasunki, domyśliwszy się ich, albo zgoła dowiedziawszy się o nich, zaraz też na nie poradził... zdawało mi się, że umyślnie dlatego tak niespodziewanie zniknął był dnia onego z Bóbrki, że poleciał do Źwiernika, że... wszystko już zrobił. Więc podczas kiedy on z tabakierką otwartą siadał w krzesło koło stolika, i ja także niedaleko niego usiadłem, milcząc i patrząc mu w oczy. Ale twarz moja musiała się znacznie zmienić w tej chwili, bo tuż rzekł do mnie Murdelio:

— Czegóż się waszmość tak mienisz?

— Mówże — rzekłem do niego — co jest, bo mi serce pęknie.

— Nic jeszcze nie jest — odpowiedział on — ale dobrze będzie.

Jam zapomniał o wszystkiem i rzuciłem mu się na szyję, wołając:

— O zbawco mój! kimkolwiek jesteś, człekiem czy szatanem, niech ci Bóg nagrodzi!... Tylko na miłość Boga mów, mów prędko, co się stało?

— Pomału! — rzekł Murdelio z wielką flegmą i mocno mi się patrząc w oczy — tylko pomału; nic się jeszcze nie stało, ale wszystko się stać może i stanie się co zechcemy.

Tu urwał i nastąpiła długa chwila milczenia. Jam siedział jak na węglach, ale nie śmiałem nic mówić. Przez tę chwilę srogi człek ten, zwolna obracając tabakierę w rękach, patrzył mi ciągle w oczy i męczył mnie bez miłosierdzia; jednakże w końcu rzekł:

— Więc ty konkurujesz na Rusi?

Jam spuścił oczy ku ziemi. A on znowu:

— Widzisz, na co to tego. Nigdy kłamstwo się długo

nie ukryje, ani też nieufność może kiedykolwiek dobre przynieść owoce. Zawezwałeś mnie aż z klasztoru na radę, ale zawezwałeś mnie na to, aby mnie okłamać. Gdybyś mi był odrazu powiedział tak jak jest rzecz, dotychczas możeby było już wszystko zrobione...

Jam wprawdzie powiedział karczmareczce, że nigdy Murdeliona do pomocy w tej imprezie nie wezwę, i Bóg mi jest świadkiem, że takie miałem przedsięwzięcie... ale w sprawach serca jakże człowiek jest słaby!... W onej chwili jam nie wzywał, alem prosił, błagał, zaklinał Murdeliona, ażeby, jeżeli może, pomógł mi w tej sprawie. On mnie słuchał i po swojemu zimnem okiem patrząc na mnie, nic mi nie przerywał, nic nie odpowiadał: aż kiedym skończył, rzekł znowu swoje:

— Powoli wszystko się zrobi, ale powoli i z namysłem, statecznie, porządnie, dokumentnie! Ostatni to czyn, który przedsiębiorę w tem życiu, niechże się za niego nie powstydzę przed światem.

Tu znowu urwał i milczał przez chwilę, a potem dalej:

— Zosia jest doskonałą partyą dla ciebie i ty dla niej jak trzeba. Głupia jest stolnikowa, kiedy nie zezwala na ten maryaż. Gdyby Zosia była moją córką, albo gdybyś się był starał o Zuzię, jużbyście dawno byli po ślubie. Prawdać to, że ród Piotrowiczów nie na to rośnie i mnoży się na ziemi, aby pospolitej szlachcie dostarczał małżonek, ale i Nieczujowie także coś znaczą. Niewielu Nieczujów jest na świecie, a zresztą Zosia to Strzegocka. Upór babski twardać to rzecz na tym świecie, twardsza nieraz jak *vir tenax propisiti*, jak go nazywali Rzymianie — o! ja wiem co to upór babski!... ale i na to najdzie się lekarstwo.

Ja też na to:

— Ślicznie mówisz, jak mi Bóg miły, ale powiedzże już raz jakie lekarstwo?

— Powoli! — znów po swojemu odpowiedział Murdelio i zażywszy tabaki, zaczął mnie opowiadać starą bajkę o zającu i żółwiu, co mnie niesłychanie znudziło; znudziło tem więcej, ile że mi się wydawało, jak gdyby miał

jeszcze wiele rzeczy, albo przynajmniej coś bardzo ważnego do powiedzenia, i dla niewiadomych mnie przyczyn sam z tem się ociągał. Po bajce milczał znów jaką chwilę, potem zaś spytał:

— Jakaż jest twoja fortuna? tylko mów prawdę co do joty.

— Fortuna moja — rzekłem — gotowizna wraz z sumą zastawną lokowaną u wojewody wynosi trzy kroć sto tysięcy, ale przecież prócz tego jest i gospodarstwo jakieś i inwentarze, że ich w całej okolicy niemasz piękniejszych, i sprzęt jaki taki, i srebra cokolwiek...

— A bydło, a konie? — zapytał Murdelio.

— Bydła jest dosyć, ale co koni, to chyba tylko u pana Fredra najdzie się więcej i może lepsze, ale zresztą zakład stawię, że tu nikt w górach w koniach mi nie dotrzyma. Przecież to w tym momencie stoi ich trzydzieści i siedem takich na stajni, że choćby i zaraz zaprzęgać, albo kulbaczyć i ruszać.

— Trzydzieści siedem koni, no... — powtórzył Murdelio — wszystko jak trzeba. A Zosia jakże? pewno to wiesz, że ma skłonność dla ciebie, i bez wszelkiego przymusu odda ci rękę?

— A jakżeż nie! — zawołałem — przecież listy mam od niej.

— Listy masz? cóż pisze?

— Tu masz, czytaj! — odpowiedziałem, dobywając dwa listy z zanadrza i oddając je jemu. Ale on ręką kiwnął, mówiąc:

— A co mnie tam do tego, co ona pisze do ciebie! No, rzecz skończona, Zosia będzie twoją.

Komu się zdarzyło być w podobnem jak moje było natenczas położeniu, kto sobie tylko wyobrazić potrafi, co to znaczy, po świeżo odebranej stanowczej rekuzie, po skłóceniu się z rodzicami panny w sposób tak gwałtowny, po utraceniu prawie wszystkich nadziei, nagle usłyszeć słowa takie od kogoś, o którym się wie albo wierzy, że wszystko może i wszystko potrafi, ten się wcale dziwować nie będzie, że i ja się wtenczas Murdelionowi rzuci-

łem powtórnie na szyję, nie wydając ze siebie żadnego innego głosu, prócz okrzyków tryumfu i podziękowania. On atoli był wciąż jeszcze zimny i jakby martwy i nie oddając mi moich uścisków, odsunął mnie lekko od siebie, mówiąc:

— Powoli! dopiero to niewód zarzucony, jeszcze w nim ryby niemasz, a głupi kto ryby łowi przed niewodem. Zosię dostaniesz — powiedziałem raz i słowa mego nie cofam. Ale jeszcze to wiele będziemy gadać o tem. Bo to, uważasz mnie, ręka rękę myje, a nic niemasz darmo na świecie. Zrobię ja coś dla ciebie, zrobisz ty dla mnie. *Clara pacta claros faciunt amicos.*

— Ale zrobię, dlaczegóżby nie, tylko powiedz co każesz.

— Zrobisz, ja wiem że zrobisz, bo we wszystkiem twoja własna korzyść będzie. Powiem ci tedy krótko a węzłowato, bo na co tu długich tragiwersacyj? historya mojego życia jest ci już wiadoma... Bywało różnie na tym świecie. Zrobiło się niejedno dobre, ale też i grzechów coś ciąży na barkach. Niejedna dusza poszła na najgorsze drogi przezemnie, niejedno dziecię osierociało, niejedna rodzina poszła z torbami na wieczny głód i nędzę. Od niejakiego czasu nic nie zrobiłem złego nikomu, ale też za to im więcej się latami oddalam od zbrodni moich, tem cięższe i nudniejsze mi życie, tem więcej mar dręczących kładzie się ze mną na nocny spoczynek, tem więcej snów okropnych wstaje ze mną co rano. Nieraz przez całe noce oka nie zamrużę, przez całe dnie nie mam pokarmu na ustach, i błądząc długimi wieczorami samotnie po polach klasztornych, wlokę za sobą jakieś straszne wybladłych cieniów gromady, które mnie szarpią, gadają do mnie, zatrzymują na drodze. Ten mnie ciągnie za połę i potrząsając mi brudnymi łachmanami w oczy, woła: Zgrabiłeś fortunę moją, daj mi jeść, bo mrę z głodu! — drugi mnie chwyta za rękę, mówiąc: Panie! gdzie siostra? inny: Panie! gdzie oblubienica moja? — ówdzie dziatek drobniutkich gromadka chwyta mnie za nogi płacząc i jęcząc pokarmu! — po lewej stronie na trzech suchych wierzbach

skrzypią na wichrze trzy kościotrupy wisielców, a klekocąc do mnie kośćmi i kłapiąc zębami, wołają: przyprowadź nam księdza, poginęliśmy bez spowiedzi! — po prawej ciągną niedobitki jakiejś gromady orężnej, odarci i ranni z opuszczonymi szablami, z poobwiązywanemi głowami i mówią chórem: Poraniłeś nas, dobij nas! — Czasem mi się zdaje, że się ziemia otwiera przedemną i chce mnie pochłonąć — inny raz, że mnie już pogrzebanego wyrzuciła ze swoich wnętrzności i że się moim trupem karmią drapieżne ptactwo i dzikie zwierzęta, włócząc kości moje przez wszystkie one pola, na których z szablą stawałem bić się dla zemsty prywatnej lub krotochwili. Biedny jestem, nędzny, umęczony. Inni ludzie, kiedy już przestępują próg męzkiego wieku, zbierają pierwsze kłosy dawno poczynionych zasiewów, znajdują szczęście i pociechę w kochającej żonie, w dorastających dzieciach, a sowitą nagrodę za trudy i dolegliwości żywota dają im pięknej ich wiosennej młodości wspomnienia. U mnie pierwszymi kłosami żniwa są noce bezsenne i strasznemi zaludnione marami; żoną moją burzące się we mnie sumienie; dziećmi urągania i szyderstwa otaczających mnie ludzi; a na wspomnienia młodości sam sobie ręką muszę zakrywać oczy. I próżno dzisiaj zamknąłem się żywcem w murowanym grobowcu; próżno otoczyłem się ludźmi, których dusza spokojna i czysta jak kropla krynicznej wody i serce jak łza wypłakana przed Bogiem; próżno z nimi się wiążę rozmowami mojemi, sprawami i życiem; próżno na modlitwach i służbach kościelnych długie trawię godziny; próżno się spowiadam, Ciało i krew Pańską przyjmuję, nabożeństwa urządzam, sypię pieniądze na domy Boże i litościwe uczynki — spokoju duszy i utraconej wiary niczem okupić nie mogę. Księża odpuścili mi dawno — ale czuję to w głębi serca, że mi Bóg nie odpuścił i na tej drodze nigdy mi nie odpuści. Jest coś, co mnie wiąże z całym dawnym żywotem moim, z całą przeszłością moją i to tylko jedno zbawić mnie może!...

Tu Murdelio przerwał na chwilę i kręcąc swoją ta-

bakierkę w rękach, patrzył wprost przed siebie, aż zaczął znowu:

— Ale jeżeli w życiu mojem tyle najduje się złego, a mianowicie jeżelim w czem uchybił jako obywatel i dłużnik mojego kraju... to temu nikt nie winien, jeno stolnikowa. Nigdy byłbym nie poszedł temi drogami, gdyby nie ona. Może była we mnie krew zanadto gorąca za młodu, może z przyczyny danego mi wychowania dziwne we mnie się wyrobiło sumienie, ale to wszystko nic jeszcze! Krewby się była wyburzyła sama ze siebie, a sumienie przecie kiedyś byłoby się odezwało swoim przyrodzonym głosem, tak jak się dzisiaj odzywa. Ale ona! ona miłością swoją obałamuciła mi serce, obietnicami głowę, żem się zaszalał, zatumanił, żem wszystko, cały świat stracił z przed oczu, a widział tylko ją i życie z nią, i niczego nie pragnął więcej, tylko siebie i fortunę moją i wszystko podesłać pod niewdzięczne jej nogi. Gdyby mnie była wtedy, kiedy została wdową, stanowczo odepchnęła od siebie i powiedziała, że mnie nienawidzi, że mnie widzieć nie chce na oczy, to byłbym się wściekł może z rozpaczy, ale przecie z czasem byłbym tak człowiekiem, jak inni! Bo czy to jedno przebolało się już w tem życiu!... A ona mnie wciąż nadziejami łudziła i pisała listy za listami, i przysięgała że ojca ku mnie nakłoni, i zaklinała ażebym był cierpliwy i czekał! — Być może, że ona to czyniła tylko z obawy o siebie i ojca, abym ich drugi raz nie najechał, z obawy o mnie, abym sobie w łeb nie strzelił z rozpaczy — o! bo ona wiedziała jakie serce mam dla niej i czem ona jest dla mnie! — Być może, że to była obawa, ale czegóż w tych listach stoją gorące zapewnienia miłości, wynurzenia tęsknoty, żalu, przysięgi na zawsze i do śmierci?... O! ja mam wszystkie te listy! Ja je mam i noszę je tu na piersiach, i z nimi chodzę, i śpię, i modlę się, i nimi owe duchy błąkające się przy mnie żegnam i odstraszam. Ale nie, wyrazy te w listach nie stały darmo — ona mnie kocha od pierwszego widzenia, kochała zawsze i kocha dziś jeszcze. I to jest owa nitka wiążąca mnie z moją przeszłością. Póki tej nitki nie rozerwę na zawsze, albo jakimś mocniejszym węzłem nie powiążę na nowo i na wieki, póty nie będzie spokoju w mej duszy. Rozerwać jej nie mogę, trzeba ją związać koniecznie!

— Ale to jest kobieta uparta! — ciągnął po krótkiem wytchnieniu Murdelio — nabożna, bogobojna, trwożliwa. Możeby zaraz w rok po śmierci stolnika była oddała mi rękę, ale jej ktoś powiedział, żem ja dyabłu duszę zapisał, aby się od moich nieprzyjaciół ochronić — odtąd nic jej już ku mnie nakłonić nie zdoła. Myślałem, że wstąpienie moje do klasztoru, ocieranie się o ołtarze i księży, zachowanie, jakie u świątobliwych ludzi zyskałem, odwiedzie ją od tej opinii; ale gdzieżtam! gorzej jeszcze. Jej się zdaje, żem się przed dyabłem schronił do klasztoru. I napróżno nieraz całemi godzinami u nóg jej leżę, łzami oblewam ręce jej i nogi, tarzam się w prochu przed nią, jak robak, jak płaz najnędzniejszy; napróżno klnę duszę i ciało moje, że będę najłagodniejszym dla niej mężem, że ją obsypię bogactwami i wszelkiemi rozkoszami świata, że nakoniec całą fortunę moją dzieciom jej oddam - ona jest jak głaz niewzruszona. — „Może jeszcze mam serce dla ciebie“ — powiedziała mi niedawno — „ale raczej zniosę wszystkie męczarnie, raczej śmierć, niżbym miała oddać ci rękę. Tyś jest zły duch i potępiony“. — Ale żebym miał świat cały do góry nogami wywrócić, dusza ta, o której wiem, że mi poślubioną była tam gdzieś za światami, choćby na jeden dzień tylko przed śmiercią, musi być moją! — I będzie.

Tak mówił Murdelio. Ja zaś, mając już wyjaśnioną tę całą historyę, która nie mówię już dziwną w sobie, ale dziwnie zdawała się być powiązaną z moimi własnymi losami, i mając czas do odetchnienia i namysłu, rzekłem na to:

— Kochany panie! Waćpan jesteś tak zły człowiek i taka czarna przeszłość cięży nad twoją głową, że nietylko nie zdarzyło mi się podobnego *subjectum* spotkać na życiu, ale nawet ani mógłbym był wierzyć temu, że się co podobnego naleźć może na naszej ziemi. Nie dziwuję

się też wcale, że świat widzi w tobie samego dyabła, bo iście dyabelska dusza jest w tobie. Wiedząc jaki jesteś, nie powinienem się ciebie ani ręką dotykać, ani słowa nawet przemówić do ciebie. Ale jam znowu ani taki rygorysta, ani tak bojaźliwy o moje sumienie, i choćbyś ty i dyabłem samym był i niewiedzieć jak mistycznie mnie pętał, to mnie nie opętasz. Dobrych nauczycieli miałem za młodu i nauka ich w głowie a wiara święta tak głęboko u mnie jest w sercu, że Panie Boże mi pomóż! cale się nie obawiam o siebie. Dlatego mówić będę z tobą otwarcie, i najprzód powiadam ci to, jeżeli to prawda wszystko co powiadasz i jeżeli tak prawda, jak ja sobie tą całą rzecz zresztą wyobrażam, to ja wierzę temu, że ożenienie się twoje ze stolnikową mogłoby się stać dla ciebie zbawieniem. Syt już jesteś łotrowstwa, krew młoda wyburzyła się w tobie; za młodu wychowany ladajako, żadnego uczciwego nie doznałeś uczucia, to jedno silnie zapanowało nad tobą i to jedno, dobrze prowadzone, mogłoby z ciebie zrobić człowieka. Wierzę temu, bo bywały już przykłady, że i najzakamienialsi zbrodniarze, jakiemś jednem czystem powodowani uczuciem, nawracali się na drogę cnoty i stawali się nietylko uczciwymi ludźmi, ale nawet wzniosłym przykładem i wzorem dla drugich, a niektórzy z nich uznani za to przez kościół święty, błyszczą dzisiaj jako najwspanialsze ozdoby całego człowieczeństwa. Daleko to zapewne do tego, tak jak do każdej wielkiej rzeczy, i aby tylko poprawy i oczyszczenia z takich ciężkich grzechów dostąpić, potrzeba już szczególnej łaski Bożej, o czem u ciebie dzisiaj przynajmniej ani mowy być nie może. — Jednakże, bądź co bądź, ja w to wierzę, że ożenienie się twoje ze stolnikową mogłoby ciebie na dobrą naprowadzić drogę. Ale widać albo Pan Bóg już cale o tobie zapomniał, albo Opatrzność zupełnie innemi drogami nad tobą się ulitować zamyśla, bo gdyby Pan Bóg chciał tego, to pewnoby już dawno tak był natchnął panią stolnikową, że do tego czasu jużbyś był zapomniał, kiedyś się ożenił. Zresztą gdyby i tak było, gdyby i była w tem wola Boża, to zawsze jeszcze nie rozumiem, jakim sposobem to uskutecznić zamyślasz; chyba, że znowu zbrodnię jaką masz za rękawem, co, pomimo całej twojej poprawy, jeszcze zawsze być może.

— Hm! — rzekł na to po niejakiej chwili Murdelio — ty nie wierzysz w moją poprawę, a przecież w tej chwili masz najjawniejszy jej dowód. Powiedziałeś mi *Pater noster*, jak ksiądz na spowiedzi; pomieszałeś mnie z błotem, podeptałeś mnie tak jak jeszcze nikt w życiu; gdyby o mnie to był kto dawniej powiedział za oczyma, co ty dziś w oczy, to jużby się dotychczas był kąpał we krwi swojej po uszy; a ja nic na to, a ja słucham ciebie pokornie, jak żak profesora, i kładąc uszy po sobie, biję się jeno w piersi i modlę się po cichu.

Ja też na to:

— Ej! nie bardzoś ty taki pokorny, jak się wydajesz; nie masz jeszcze ani tygodnia, jak za nic, ale to jak mnie Bóg miły za nic, posiekałeś pana Urbańskiego na kwaśne jabłko.

— Na kwaśne jabłko, powiadasz? bodaj ciebie! ot kreseczka mu się mała dostała, której do dzisiaj pewno i znaku już niema.

— Aha! niema! jeszcze i z łóżka nie wstawał.

— No, mój kochany! tож znowu trudno. Nikt się na to nie bije, żeby drugiego pogłaskał, tylko żeby go wybił.

— Ej! to tam mniejsza oresztę i o to nie chodzi; w pojedynku kto kogo rani, czy zgoła zabije, za to nie odpowiada, bo przecie i swojej głowy nadstawia. Niema co o tem mówić; ale do rzeczy, do rzeczy. Więc jakież to masz plany względem skłonienia stolnikowej do swoich zamiarów?

— Owóż więc - rzekł Murdelio, zażywając tabaki — tylko słuchaj mnie uważnie, bierz rzeczy jak są, a nie gorąco, boś widzę porywczy i przy zarozumiałości na swoją cnotę, z którą zresztą dyabeł tam wie jak stoi w rzeczy, masz jeszcze skłonność do kaznodziejstwa, a to nudna rzecz na dzisiejsze czasy. — Więc jedna jest tylko droga i tej się chwycić należy.

— A tą drogą jest?

— Wykraść stolnikową i zabrać do siebie.

Jam osłupiał, Murdelio ciągnął dalej:

— Wykraść czyli zabrać gwałtem, to jedno. I niech ci się nie zdaje, że to będzie coś złego lub zgoła zbrodnia nowa; ja wiem pewnie, że ona tylko czeka na to i pragnie, abym to zrobił. Dobrowolnie pójść za mnie nie może, nie dlatego że jej powiedziałem żem dyabeł, bo u kobiety miłość jest wszystkiem, nie tak jak u nas zabawką tylko, lub krotochwilą! ja to wiem dobrze. Więc nie dla dyabelstwa mojego dobrowolnie nie pójdzie za mnie, ale dlatego, że ojca swojego kocha, a onby umarł raczej, niżby córkę oddał mi na żonę. Ty nie masz wyobrażenia, jak ona do tego starca jest przywiązaną! Ale kiedy ją gwałtem zabiorę i kilka tygodni tylko potrzymam na moim zamku, to obaczysz, że wszystko dobrze będzie. Jej ani na myśl nie przyjdzie opierać się woli mojej, a ojciec... ojciec udobrucha się prędko. I będziemy bardzo szczęśliwi! Fortuna jest w bardzo dobrym porządku, zamek wyrestaurowany i urządzony po pańsku, ba! po królewsku; dostatek we wszystko jakby w raju, ją otoczę sług tysiącami, złotem obiję jeszcze jej komnaty, wschodnimi kobiercami powyścielam posadzki, z Gdańska posprowadzam karety, starcowi dam magnackie wygody i dzień i noc czuwać będę nad tem, aby mu każdą chwilę tych ostatnich dni jego umaić, osłodzić, ozłocić. A kiedy już miły spokój zawita w mej duszy i stałe szczęście zamieszka w domu moim, wtedy wymuruję klasztor wielki w mych dobrach, sprowadzę z Krosna Franciszkanów, nadam im kilka intratnych wiosek, i tak przy zatrudnieniu codziennem, przy pracy około roli, przy staraniach moich około codziennego szczęścia drogich mi osób i przy modlitwach pobożnych ojców za duszę moją, mam nadzieję, że się Pan Bóg zlituje nademną i da mi dostąpić owego spokoju w chwili skonania, do jakiego wszyscy na ziemi wzdychamy. — Co ty na to Marcinie?

Jam się przechadzał po izbie i nie wiedziałem co odpowiedzieć. Wielka walka toczyła się we mnie. Głowa moja uznawała słuszność argumentów Murdelionowych, ale serce odtrącało je, samo nie wiedząc dlaczego. Byłem przekonany, że tak jest i tak się stanie, jak on powiadał; otwartość i szczerość w przyznaniu się do win wszystkich, do grzechów całego życia, bardzo za nim mówiła; ale zawsze owo wykradanie stolnikowej przeciwko jej woli oburzało mnie, i obrzydzało mi tak tą całą sprawę, że wolałbym był nigdy nic o niej nie słyszeć. Zbrodnię zbrodnią naprawiać nie jest to ani rzecz uczciwa, ani jakiemkolwiek prawem pozwolona. Bo gdzież rękojmia, że stolnikowa tylko tego czeka? gdzie pewność, że starzec nie skona w samą chwilę zniknienia córki?... Ale Murdelio był to człek bity we wszystkich rzeczach. Poznał on zaraz, że moja o tej sprawie opinia chwieje się we mnie, więc aby szala jego zamiarom przeciwna nie opadła do ziemi, nie tracił ani chwili czasu i począł w swoje szale nowe ciężarki dorzucać.

— Bo uważasz mnie — mówił on dalej — że stolnikowa w duszy pragnie tego, abym ją wykradł, nie masz żadnego wątpienia. Ja mam listy od niej, które jasno tego dowodzą, ja ci opowiem najświeższe między mną a nią sceny... sceny...

— Hola! — zawołałem ja sam jedną pamiętam.

I dopiero mi się przypomniała owa nocna scena, którą przez drzwi słyszałem, kiedym po raz pierwszy nocował w Źwierniku. Ta chwila przypomnienia była chwilą łaski Bożej nademną. Człowiek jest słaby, a milion razy słabszy, kiedy mu miłość zawiązała oczy i całe wyłącznie dla siebie zabrała serce. Kto wie, coby się było stało i do czego pomiędzy nami przyjść mogło! Bóg mi świadkiem, że tak gorąco pragnąłem wieczną przysięgą powiązać się z najdroższą mi Zosią, i także Bóg świadek, że pokusy tego szatana takie były łudzące, że gdybym był natenczas upadł pod niemi, to dzisiaj jeszcze, jak jestem stary i na sercu zakrzepły, całebym się nie dziwił. Ale Pan Bóg zawczasu wejrzał łaskawie na sługę swego i nie dał go na pastwę nieprzyjacielowi ludzkiego rodu.

Od owej tedy chwili, kiedym zawołał hola! czułem to w sobie, że na mnie jakaś moc wyższa spłynęła; jakoż

i zaraz inne zająłem stanowisko w tej walce, nie pytając wcale na to, jakie ono będzie, żołnierskie czy kaznodziejskie, byleby bitwę z niego wygrać na pewno. Owóż na moje nagłe hola, równie nagle zawołał on obrzydły kusiciel:

— Jaką scenę pamiętasz?

— Jużci tę scenę, kiedyś stolnikowej mękami groził, kiedyś o panu Wicie mówił, że łotr, kiedy dzwonek upadł ze stołu, kiedy krzesło się wywróciło...

— Ja nic o tem nie wiem — odpowiedział najspokojniej Murdelio — mnie tam nie było.

— Ale cóż ty mnie gadasz! poznałem twój głos, poznałem głos stolnikowej, przecie stałem w drugim pokoju pod drzwiami.

— Ale co tobie jest, Nieczujo! jak Pana Boga żywego kocham, że mnie przy żadnej takiej scenie nie było — mówił kusiciel, składając się jak wąż, który Ewie podawał jabłko w raju — gdzieżbym ja stolnikową straszył jakiemi mękami! Być może, że przy jakiej dłuższej z nią rozmowie wybuchnąłem trochę goręcej, żem rozpaczał, zaklinał, groził, że siebie zamęczę, że się zabiję; to wszystko być może, bo człowiek nie jest z lodu, a i najcierpliwszy nakoniec cierpliwość utraci, ale żebym jej czemkolwiek groził, to nigdy być nie może. Byłeś rozespany, przesłyszało ci się i koniec.

Ja też na to statecznie:

— Ale już ty mnie nigdy w tem nie przekonasz, żeby się co przesłyszało. Ja mam uszy i oczy na swojem miejscu, a edukowałem je w polu, na wojnie, gdzie każde niedosłyszenie grozi śmiercią, a przesłyszenie wiecznym wstydem u całej chorągwi, a czasami i gardłem. No, ale prowadźże twoją sprawę dalej, urwałeś w samym środku. Chcesz wykradać stolnikową, wyspowiadałeś się przedemną jakby przed księdzem, obiecujesz mi wyrobić możność ożenienia się z Zosią, powiadasz, że nawzajem czegoś zażądasz odemnie?

Powiadają, że dyabła nikt w sprycie nie przejdzie; i prawda to, i nieprawda. Nieprawda, bo już wiele rzeczy mu się nie udało na świecie, a od niejednej duszy nietylko, że haniebnie odsadzony został jak kot od mleka, ale nieraz jeszcze i z bizunami na plecach powędrował nazad do piekła; prawda zaś, bo zaledwie mnie Pan Bóg natchnął dobrą myślą i uczciwą fantazyą, już Murdelio zaraz to poznał i zręcznego dał kominka. Więc kiedy ja go pytam na seryo a prosto w oczy, czego on żąda odemnie, on mnie dalejże wyplatać androny, jako Zosia jest piękna, jak stateczna, jako ja z nią będę szczęśliwy i tak dalej. Ale ja nic; nie tędy, którędy ty chcesz, jeno którędy ja chcę. Rzeknę tedy:

— Ej! wiem ja to wszystko lepiej od ciebie; ale gadaj-no czego ty żądasz odemnie?

On nic. Umilkł, jakby go kto zaklął w drzewo lub w kamień. Tedy ja po nim:

— A toż ty tu po to przyszedłeś, łotrze jeden, abyś w tę kałużę, w którąś sam wlazł, i mnie ze sobą pociągnął? to mnie do wspólnictwa w łajdactwach twoich chcesz namówić? to nabroiwszy sam po szyję i naładowawszy na siebie zbrodni aż po sam kołnierz, mną się chcesz dzisiaj przed światem zastawić? to tumaniąc mnie Zos'ą i pomocą twoją, chcesz abym dał koni moich i ludzi, i sam abym poszedł i pomógł tobie do umęczenia niewinnej i tak już nieszczęśliwej kobiety? Za kogo ty mnie masz, łotrze jeden, za kogo mnie masz, gadaj zaraz!

— Co to jest! — krzyknął na to prędko powstając z krzesła Murdelio. — Waćpan się zapominasz, mospanie Nieczujo! ja waćpana miałem za uczciwego człowieka i spuściłem się przed nim z tajemnic, o których, jak mnie Bóg miły...

— Co ty się będziesz Bogiem zastawiał, dyable jeden! — zawołałem, na połowę z udanym, a na połowę z prawdziwym ferworem — hej! jest tam który! ja cię tu zaraz nauczę, jak to sedukować sług Bożych i poniewierać szlacheckiem potomstwem! — i udałem, jak gdybym chciał do drzwi iść i wołać na sługi. Ale wtem on, cofając się ku drzwiom i mnie do nich przystęp tamując:

— Mospanie Nieczujo! — krzyknął — waćpan się zapominasz! ja się zwykłem krwawo mścić każdej krzywdy.

Lecz jeszcze i tych słów nie domówił, kiedy już sobą tak silnie we drzwi uderzył, że się te otworzyły na ścieżaj i w tymże momencie rzucił się do sieni i, jakby go nigdy nie było, zniknął.

Ja zaś, Panu Bogu szczerze dziękując za to, że mnie tak szczęśliwie i bez popełnienia jakiegoś gwałtu na gościu moim dał wyjść z tak niebezpiecznej pokusy, ofiarowałem już i resztę dnia tego na wieczną chwałę Temu, który nigdy nie odmawia swojej opieki wszystkim sobie wiernym sierotom na tym padole płaczu, a którego Imię święte niechaj będzie pochwalone na wieki.

— Boże! kto Ciebie nie widzi w pierwszych słowach księgi rodzaju, kiedy, uniesiony w powietrzu nad zakłóconych żywiołów bezładem, wyrzekasz Twoje wszechmocne „Stań się“ i rozstępują się przed Tobą i ogień i woda, i powietrze i ziemia; — kto Cię nie widzi w krzu gorejącym na górze Synai, kiedy upadającemu przed Tobą w proch Mojżeszowi ognistym palcem na kamiennych tablicach piszesz Twoich dziesięcioro przykazań; — kto Cię nie widzi na czarnemi chmurami otoczonej Golgocie, w Synu Twoim, który cierniową umęczony koroną, na drzewie krzyżowem rozpięty, z przebaczeniem na ustach dla swych prześladowców i katów, a oczyma i duchem obrócony do nieba, z niewinnością baranka kona, biorąc na siebie brzemię grzechów całego świata: — kto cię nie widzi w owych lampach odwiecznych, któremi dniem i nocą wszechświatom przyświecasz, w drżeniach ziemi ponocnych, w błyskawicach olśniewających źrenicę, w strasznych gromach bijących w rozgorzałą spiekami ziemię, w prześlicznych tęczach siedmioma igrających barwami, w zorzach rannych, wieczornych, które bladawymi promieniami do pół niebios sięgają; — kto Cię nie czuje na błękitnych niwach, na wielkich stepach, gdzie tak tęskno duszy, gdzie tak niemo i pusto, i głucho, i słychać tylko w górze szum niezrozumianej pomiędzy wichrami rozmowy; kto Cię nie czuje w wielkich i wspaniałych świątyniach w chwili uderzenia

organów, na wielkich cmentarzach, gdzie groby ustępują grobom, trumny trumnom, kości kościom; na ruinach miast wielkich, które dziś witają przychodnia tylko kilkoma chwiejącemi się kolumnami i garścią mchem zarośniętych kamieni, których wielkość dawna żyje już tylko w pieśniach uciekających w góry i lasy przed powodzią nowego świata i w niedokończonych powieściach, tulących się do starych zamków i grodów; — kto Ciebie, Boże! nie widzi w milionach stworzeń, od słonia aż do drobnego robaczka, rozsypanych po ziemi, rozpuszczonych po powietrzu, zanurzonych w wodzie; — kto Cię nie widzi w jasnej zieleni wiosny, w jaskrawych barwach lata, w urodzajach jesieni, w trupiej martwocie zimy, kto Cię nie czuje w uderzeniach krwi własnej, w tęsknocie duszy, w uczuciu i natchnieniach młodości: ten jeszcze Cię znajdzie w własnych poczciwych uczynkach. I może Ty nigdzie się większym i nigdy jaśniej nie objawiasz człowiekowi, jak w owem zadowoleniu i owej niemej, nieopowiedzianej radości, która obejmuje serce jego po każdym tryumfie cnoty, po każdem uczciwości zwycięztwie. Dlatego życzę waszmości szczęścia, panie Marcinie, i szczerze cieszę się z tego, żeś się wczoraj nie dał temu złemu człowiekowi uwikłać w one szatańskie sidła, które na ciebie zastawił.

Tak mówił do mnie mój ksiądz misyonarz, dnia następnego rano, kiedyśmy po mszy świętej, którą on czytał, a do której ja mu służyłem, wyszli z kościoła i na chwilę zatrzymali się w bramie. I w istocie, dnia tego, zaraz po owem wystraszeniu Murdeliona z mojego domu, czułem się tak swobodnym, tak lekkim na duszy, jak gdybym nietylko jakiegoś bardzo pobożnego dokonał czynu, ale zgoła jak gdybym żadnych nie miał na sercu frasunków. A tymczasem w tem sercu były wciąż jaszcze i frasunki i niepokoje; bo któż i kiedy, który pierwszą miłością objęty, miłość tę musi tłumić i zamykać w sobie, nie doznawał frasunków i niepokojów? Więc były one i we mnie, ale ksiądz misyonarz, który wyleczony ze swego pobicia i z gór powracający, iście, jak gdyby przez Boga

zesłany, dnia tego świtem zawitał do mnie, pobożnością i mądrością swoją tak je zaklął we mnie, że ani się odezwać nie śmiały.

Widząc tak dobre skutki na sobie z obcowania mojego z tym zakonnikiem, zapraszałem i prosiłem go usilnie, ażeby choć z jaki tydzień zabawił u mnie, ale żadnym sposobem tego dokazać nie mogłem. Ksiądz ten zawsze tak wiele i tak różnych spraw miał do załatwienia i tak ich ważnością był zajęty, że u niego wszystkie dnie, ba! nawet godziny były już naprzód obliczone. Jakie to sprawy były i czy się wszystkie tyczyły jego misyonarskiego powołania, albo przynajmniej kościoła, nie umiem z pewnością powiedzieć; bo nie był on z tych ludzi, którzy swojemi czynnościami się chwalą i zarazem je wszystkim opowiadają — to jednak pewno, że go wszędzie było pełno: dziś poleciał nocą do Lwowa, za kilka dni spowiadał i miał głośne kazanie w Kalwaryi pod Przemyślem, nazajutrz cały dzień albo dwa dni bawił w jakiem małem miasteczku i chrzcząc mieszczanom dzieci, spowiadając i każąc, nawiedzał ich domy i dawał im jakieś nauki; ledwie tydzień przeminął, on już wraca z Krakowa; wstępuje do dworków szlacheckich i tutaj będąc na imieninach, ówdzie na stypie, a tam na weselu, tu wyprosił jakiś obraz do ołtarza, tam wyrobił gracyę dla jakiegoś dworzanina staruszka lub wdowy obarczonej dziećmi, a gdzieindziej jakieś inne jałmużny lub składki na cele pobożne albo obywatelskie. Czyniąc tak wiele i skutecznie, nigdy nie powiadał w niedzielę, czego mu Pan Bóg dokonać pozwolił w sobotę, ale śpiesząc się zawsze, nieraz się z tem wymówił, że na poniedziałek ma konferencyę ze szlachtą, na wtorek jakąś obradę z księżmi, a na środę być musi w tem albo w owem miasteczku, gdzie na poczcie czekają na niego listy i skąd musi wyprawiać posłańce albo piśmienne wysełać ekspedycye. Więc żadne moje prośby, ani nalegania, ani obietnice nie mogły go nakłonić do pozostania u mnie, a kiedy ja, gorąco jego dłuższej gościny u mnie pragnący, nie krótką oracyę mu powiedziałem *pro domo sua*, on mnie cierpliwie wysłuchał i rzekł nakoniec:

— Już to daremnie waszmość się silisz na to, aby mnie u siebie zatrzymać; Bóg świadek duszy mojej, jakbym to chętnie uczynił, choćby tylko dla samego spoczynku, ale to nie można, to nie można. Człowiek nie do spoczynku stworzony! Jechać muszę, a odjeżdżam nie ze smutkiem, tylko z ukontentowaniem, bo mojego przyjaciela zostawiam na dobrej drodze. Czy to wszystko prawda, co Murdelio o sobie powiadał, nie wiem, bo różnych dróg szatan próbuje ku uwiedzeniu człowieka; ale tego możesz być pewnym, że gdyby tylko dziesiąta część tego prawdą była, to będzie dosyć, aby go dłużej nie cierpiano w klasztorze. Już to moja w tem głowa. Co się zaś tyczy panny, bądź cale spokojny i nie turbuj sobie napróżno tem głowy; bywa to czasem, że uczciwe uczynki Pan Bóg natychmiast wynagradza, i jeżeli jest Jego w tem wola, to i bez twoich turbacyi i trosków stanie się pewno. Tak pisze Pismo, tak powiada i on autor wielki, któremu sam Bóg posyłał natchnienia, mówiąc:

Sam Bóg wie przyszłe rzecy a śmieje się z nieba,
Kiedy się człowiek więcej troszczy niźli trzeba.

Tak mnie uspokoiwszy i pokrzepiwszy na duszy, mój ksiądz misyonarz wsiadł na swój wózek i odjechał. Ofiarowałem mu kałamaszkę i moje konie, jako wygodniejszy sprzęt do odbywania podróży, ale nie przyjął, mówiąc że mu się nie godzi wymyślać i kontent jest bardzo, kiedy ma chłopską podwodę; bo wszakże gorzej i niewygodniej byłoby mu podróżować piechotą, a i to przecie praktykowało się nieraz i praktykuje bez żadnej skargi, ba i bez myśli nawet, że to jest niewygodnie. Taka to skromność była w tym człowieku.

Ja zaś, zostawszy sam, lubo mnie nie raz tęsknota ściskała za serce a Zosieńka co chwila stawała przed oczyma, byłem jednak dobrej myśli i wcale spokojnie wyczekiwałem powrotu mojego Węgrzynka. Spokojnie mówię, bo i wzmocniony byłem dusznie przez misyonarza i pewny

byłem że Węgrzynek prędzej czy później przecie z pewną wiadomością od Zosi powróci, boć ja jasną mu dałem na drogę naukę. Ale minął dzień jeden i drugi i trzeci, ba! i czwarty i piąty i tydzień nareszcie, a jego jak niema, tak niema. Zacząłem po mału zapominać misyonarskie nauki, a drażniony próżnem wyczekiwaniem, zwłaszcza gdy dzień ósmy i dziewiąty bez wiadomości o nim przeminął, zacząłem na dobre się niecierpliwić. Ale cóż i kiedy pomogła komu niecierpliwość. Minął dzień jedenasty i dwunasty tak samo, moja niecierpliwość wzrosła do wysokiego stopnia, postanowiłem już tylko dzień jeden czekać, a dalej już ruszać sam przeciw niemu, aż tu dnia trzynastego, a było to właśnie w samą niedzielę, kiedy się ubieram rano, aby pójść na mszę świętą, nie wiem jakim sposobem włożyłem żupan na wywrot na siebie. Rzecze też do mnie wyrostek Serednicki (szlacheckie dziecko ze Serednicy, któregom był wziął z sobą do konfederacyi, kiedym za trzecim nawrotem do niej się wybrał):

— Chowajże Boże dziś od jakiego nieszczęścia!

— Ot! nie pleć lada czego i nie wywołuj wilka z lasu; — odpowiedziałem mu na to, bo cale mi się żadne nie przewidywało nieszczęście.

Jakoż i zupełnie spokojnie zeszłem na mszę świętą i jeszcze spokojniej powróciłem. Po obiedzie różnemi myślami, które to w samotności zwykle gromadami cisną się do głowy, zajęty, przechodziłem się po pokoju i już zaczynałem smutnieć sobie po trochu, kiedy na dobrych parę godzin przed zmrokiem przyjechał pan Fredro z panem Balem do mnie. Kontent byłem nareszcie z tego i wybiegłem do nich na ganek, a tu zaraz pan podstoli, obaczywszy mnie i jeszcze prawie nie wyłażąc z powozu rzecze wesoło:

— Mospanie! bardzo to nie pięknie dla ciebie, że kłamiesz.

— A to kiedy się stało? — zapytałem zdziwiony, bo niczem się tak nie brzydzę jak kłamstwem i jeszcze mnie podobno nikt na niem nie złapał. Ale on na to:

— Bodajby i niedawno: powiedziałeś Kozakowi żeś chory, a ono widzę ciebie jakby lwa zdrowego i czerwonego.

Tedy ja:

— Możem ja i nie bardzo pokłamał, bo jeszcze to nie koniecznie jest zdrów ten człowiek, który czerwono wygląda, owóż i lew, choćby i najbardziej zachorzał, zawsze jeszcze jako lew patrzy, i umrze, i po śmierci jeszcze każdy po nim pozna, że lwem był za życia.

— Nie chwalno ty się tak bardzo tą lwią naturą — rzecze znowu pan Fredro — bo i lwów bieda bije, a to o tyle mocniej, o ile więcej zapominają, że im lwami być przynależy.

— Otóż to jest! — zawołałem ja na to — lwem się urodzić, to nic nie kosztuje, bo to dar Boski i rodzicielski; ale lwem się utrzymać ledwie dziesiąty potrafi.

— Tak, tak panie bracie — odpowiedział pan podstoli, kończąc i biorąc mnie pod rękę, aby ze sieni przejść do pokojów — tak panie bracie; i ja byłem lwem kiedyś i ot! głupstwo, włoska mysz mnie ugryzła i na nic zeszedłem.

Z tem weszliśmy do izby. Więc ja najpierwej przeprosiłem moich gości, że muszę wyjść na chwilę, i zaraz wybiegłem aby rozporządzić jakie takie przyjęcie. Jakoż w niedługiej chwili zastawiono przednie wino węgierskie, jeszcze chowu mojego ojca, piernik prawdziwy toruński, małdrzyki, kawał marcepana dziwnie pięknie upieczonego a sprowadzonego aż z Przemyśla, i innych jeszcze specyałów po trochu, aby się panowie nie krzywili na moje przyjęcie. Piwnica po moim ojcu została się tak doskonała, jak mało gdzie w okolicy; było w niej też i wino szampańskie, ale nie dawałem go zaraz, aby też nie myśleli, że ich aż winem targowem przyjmować muszę, swego nie mając. Warto zresztą było im co dobrego zastawić, bo znawcy byli; jakoż zaraz pan podstoli, pokosztowawszy tego wina, rzekł do mnie:

— Teraz wcale się nie dziwuję, dlaczego nieboszczyka skarbnika, którego przyjaźnią szczyciłem się od młodości, wszędzie brano na sędziego do winnych procesów, że mu

aż nawet tytuł winnego sędziego przyczepiono w obywatelstwie! Ale, proszęż ciebie, gdzież było to wino, kiedyśmy na święty Marcin byli u ciebie w Rabbach?

— Nie podawałem go tam — odpowiedziałem na to z uśmiechem — bo, między nami mówiąc, wiele górskiego tałałajstwa się najechało; ot tak między sobą, to co innego; ale wypijcie jeno to, to może jeszcze i lepsze się najdzie.

Oni też pili i smakowali sobie w tem mojem winku, co mnie bardzo cieszyło. Spytałem też nareszcie:

— Jakże się ma pan Urbański?

— Lepiej, lepiej, chwała Bogu — odpowiedział pan Bal — chciał już z nami tu jechać.

— Widzisz, panie kasztelanicu — rzekłem do niego — że nie dyabeł to był ów Piotrowicz.

— Nie idzie za tem — rzecze znów on — widziałem ci ja takich, którzy już zgoła w jego szponach byli, a przecie zdrowo i cało powrócili do domu i żyli po kilkadziesiąt lat.

— Już ja temu nie wierzę, i dla przekonania ciebie gotówbym każdą próbę z nim zrobić, którąbyś wymyślił.

— Ot! — rzekł na to podstoli — ja go znam dawniej niż wy oba i powiadam, że to człowiek wcale taki jak inny. Trochę więcej namiętności, trochę dyabelskiego rozumu i nieszczęśliwa miłość, która obraziła serce jego i zanadto wygórowaną ambicyę, i owóż wszystko co go od zwyczajnych ludzi odróżnia. Prawdą jest, że są w nim między innemi przymioty takie, które trącą dyabelstwem i lada jurysta zaraz by nam powiedział, któren paragraf na to przeznacza *poenam colli*, ale to jeszcze nie dowodzi, że tak jest wedle sumienia. Jeżeli zaś ten człowiek was tak bardzo zadziwił, to tylko dowodzi, żeście nie byli za granicą, że nie wiele jeszcze świata znacie i że z waszą uczciwością jest jeszcze jako tako. Ale co się zgoła szczerego dyabła tyczy... ha! zresztą nie wiem, ja przynajmniej w żadnych dyabłów nie wierzę.

— A ja wierzę — odpowiedział stanowczo pan Bal — i nie rozumiem dlaczegobym miał nie wierzyć, kiedy od

niepamiętnych czasów cały świat katolicki w nich wierzy i ustawicznie swoją wiarę faktami potwierdzającą się widzi.

Na to podstoli:

— Tobie się nie dziwuję, bo tyś sam teraz świeży fakt znalazł: stanąłeś za plecyma Piotrowicza i nadeptał cię na nogę.

— Śmiej ty się, śmiej — odpowie na to kasztelanic — a ja ci sto wypadków opowiem takich, gdzie wiarogodni i starzy ludzie naocznymi świadkami byli.

— Proszę ciebie — odparł na to podstoli — jeżeliś mi przyjacielem, to nie będziesz już nic gadał o djabłach; są to rzeczy tak bezrozumne w sobie, że już w cywilizowanej Europie nikt nawet o niej nie myśli; tylko jeszcze w kochanej Polonii najpoczciwsza pod słońcem szlachta, nietylko że rozmowę taką za specyał sobie uważa, ale nawet wiarę w dyabły i duchy ma sobie za jakiś artykuł religijny.

— Prawdę mówi pan podstoli — rzekłem ja na to — w rzeczach każdej wiary, nie mówię już samej religii, wszystkie rozumowania nie są na swojem miejscu.

— Oczywiście — rzekł na to pan Fredro — w rzeczach wiary niemasz rozumowania. Kto rozumuje, ten już nie wierzy. Ale w rzeczach miłości i nadziei dużo się da powiedzieć i to bez żadnej szkody. Jakżeż tedy u ciebie, panie Marcinie? czy zawsze jeszcze *status quo*, czy jest jaka odmiana?

Ja też na to:

— I u mnie odmiana, i tu widzę na stole jest trochę odmiany; zaraz wam będę służył.

To rzekłszy, porwałem klucze i pobiegłem do piwnicy, ale tą razą przyniosłem jeszcze lepszego wina, którego skoro tylko pokosztował pan podstoli, zaraz zawołał:

— To w tobie dyabeł siedzi, nie w Piotrowiczu. Skąd ty masz takie wino? Jak mnie Bóg miły, tak u Ossolińskiego, gdzie każdą beczkę i butelkę tak znam jak u siebie, nie masz takiego kordyału.

— Wolne żarty! panie podstoli dobrodzieju, ale snać znajdzie się tam trochę lepsze, chociaż i u mnie jest je-

szcze jedno, przy którem i to jakby cienkusz tylko wygląda.

— A! panie Marcinie! — zawołał pan Bal — bierzesz nas na tortury! Chyba że chcesz, żebyśmy nigdy nie wyjechali od ciebie.

— Bodajbyście i nie wyjechali! — rzekłem, całując Bala po obu stronach twarzy, na co pan Fredro uśmiechnął się trochę i rzekł:

— Niechże wam Bóg sekunduje! Z czego ta szlachta nasza porobione ma serca, dalibóg nikt nie odgadnie. Dosyć się nadeptałem po cudzych krajach i ziemiach, i grodach, i miastach, i zawsze to sobie powiadam, że nasza *cara patria* ledwieby na pastwisko być mogła dla tamtych; ale co się tyczy przyjaźni i gościnności, toby tamtym wszystkim długo się uczyć u naszej szlachty...

— I snać nigdy się nie nauczyć — dodał pan Bal. — Chodziłem i ja między Niemce i inne Angielczyki, byłem nawet w Szwajcaryi, gdzie to lody wiecznie na górach, a na dołach pomarańcze i lemony, potrąciłem także o Włochy, gdzie znowu tak gorąco, że aż człowiek topnieje — ale niechże nie będę Balem, jeżelim tam co widział z tych cudów, o których wy powiadacie. Ot! zwyczajnie bajki i koniec.

— Nie gadajże tak, proszę ciebie — odpowiedział podstoli, uśmiechając się dobrodusznie, co było już znakiem bardzo dobrego humoru — tyś był za granicą, to prawda, aleś tam był dla potrzeby; przeszedłeś przez Niemcy, nie umiejąc ani jednego słowa po niemiecku...

— Przecie mię rozumieli — przerwał pan Bal.

— Oni ciebie rozumieli, ale tyś ich nie rozumiał.

— Dlaczegoby nie! i ja ich rozumiałem. Do pół Niemiec wszędzie gadają po polsku, w drugiej zaś połowie choć nie gadają, to przecie rozumieją. Ja ani jednego słowa nie umiem powiedzieć z niemiecka, a przecie nigdziem ani głodu, ani pragnienia nie zaznał.

— Poczciwy kasztelanic — rzekł na to pan Fredro — ale na cudzych krajach nic a nic się nie rozumie.

I takeśmy się zabawiali stateczną rozmową, od jednej

do drugiej przeskakując materyi, i bardzo nam przyjemnie czas schodził, bo już to, prawdę mówiąc, nie masz podobno nic na świecie nad dobrą kompanię. A lubo pan Fredro ani na jedną chwilę nie zapominał o tem, że się w starych papierach trochę więcej czego nachodzi o jego, niżeli o naszych antenatach, i z tej przyczyny nawet jeżeli kogo po przyjacielsku brał pod ramię, nigdy nie zaniedbywał łokciem go drapnąć po żebrach, to jednak nie wiem jak komu, ale mnie to nic nie wadziło. Trąci mnie Fredro, trącę ja pospolitszego od siebie szlachcica, tamten znowu trąci zagonowego, zagonowy potrąci mieszczuka, mieszczuk potrąci chłopa, a i chłop jeszcze, kiedy mu przyjdzie ta fantazya, potrąci Żyda lub innego jakiego hultaja, i tak wciąż idzie na tym Bożym świecie i nierozumnyby był ten, ktoby się gniewał za to. Lecz kiedy sobie tak rozmawiamy, ja moim gościom coraz lepsze wino zastawiam i czem mogę im służę, oni zaś ustawicznie się sadzą na pochwały i komplimenta dla mojej piwnicy: nagle nowy turkot nowych gości zapowiedział przed gankiem.

— Widzisz — zawołał na to zaraz pan Fredro — szlachta dobre wino zwąchała i ciągnie do niego, jak mucha do miodu.

Tymczasem drzwi się otworzyły z łoskotem i wpadł ni mniej ni więcej, tylko Stojowski, Lgocki starościc i ów bogaty wuj jego, którego poznałem był w Żwierniku, imć pan Kąkolnicki. Ucieszony tak niespodziewanym darem Bożym, skoczyłem do nich, witając i całując się z nimi serdecznie, oni też ze mną nie mniej kordyalnie, osobliwie też pan Stojowski, z którym już mnie jeżeli nie przyjaźń, to przynajmniej wzajemne poszanowanie wiązało; a podczas kiedy ja się tu cieszę z moimi gośćmi i witam ich, stołki im do stolika przystawiam i jako mogę sadowię i raczę, rzecze pan Fredro, który się wcale z miejsca swego nie ruszał:

— Panie Stojowski, widzę mnie nie poznałeś.

A pan Bal dodał zaraz:

— Ani mnie także.

Stanął tedy Stojowski, przypatrując się im obudwom, pocierał sobie czoło, mówiąc:

— Przysięgnę na to, że was znam obudwóch, zdybywaliśmy się gdzieś podczas wojny, ale żeby mnie kto zabił... otóż to pamięć przeklęta!

Ale kiedy ja pomogłem, skoczyli zaraz serdecznie do siebie, witając się wzajem i jakieś dawne, to szkolne z Warszawy, to wojenne skąd inąd czasy sobie przypominając. Ja też tymczasem witałem się z panem Kąkolnickim, powiadając mu kilka słów grzecznych, jak na gospodarza przystało. Jednakże wkrótce ta urywana rozmowa ustała a nie minęło i pół godziny, kiedy przeniósłszy się z gośćmi do wielkiej sali i naniósłszy doskonałego wina pod dostatek, bawiliśmy się doskonale, będąc sobie wesołej myśli i najlepszej swady. Lgocki tylko jeden, jako zwyczajnie nie wiele miał do gadania, milczał i teraz i chmurno jakoś na mnie spoglądał. Nie miałem atoli czasu ani ochoty uważać na to, a lubo nie raz mnie ta myśl zalatywała, że ta niespodziewana wizyta Mazurów u mnie ma zapewne ważniejsze, niż zwyczajne wizytowe powody, i że snać nie o kogo innego tu chodzić będzie, jeno o tego biednego starościca, toż jednak obowiązek gospodarza nie pozwalał mi myśli moich odrywać od chwili obecnej i moich gości, a wszelkie deliberacye rozkazywał zostawiać na później. Jednakże później rzecz cała wytoczyła się na stół, a to w ten sposób. Pijemy, rozmawiamy, to siedząc, to chodząc, ten z tym a tamten z owym, Stojowski zaś najwięcej już ze mną. Nareszcie wziął mnie pod ramię i zaprowadziwszy do drugiej izby, rzekł mi:

— Kochany panie Marcinie, mamy tu do ciebie prośbę jedną.

- Może sprawa jaka — odpowiedziałem — jeżeli tak jest, to mów śmiało i bez ogródki, ze mnie serce nie bardzo płochliwe.

— Nie jest to sprawa — rzecze on — tylko prośba, której pewno odmówić nie zechcesz; jednak przyznam ci się, że sam nie wiem od czego począć.

Ja też na to:

— Kiedy nie wiesz od czego zacząć, to niechże się bez początku obejdzie, wal prosto *in medias res;* ze mną wiele ceremonii nie trzeba.

— Hm! bo widzisz... jest to zawsze delikatna materya. Lgoccy prosili mnie na mediatora...

— Lgoccy? — zawołałem — czegóż mogą chcieć Lgoccy odemnie?

— Siadajże, proszę ciebie, opowiem ci całą rzecz.

— Mów bez ogródki.

— Owóż taka jest rzecz. Wiadomo ci jest, że Lgocki młody, którego znasz a króry tutaj jest ze mną, stara się oddawna o pannę Zofię Strzegocką. Zaszalał się nieborak do tego stopnia, że już waryuje na czysto.

— Nie dziwię się wcale, bo jest też za czem.

Na te słowa moje Stojowski się popatrzył na mnie z uwagą, jakby chciał z twarzy mojej odgadnąć co one znaczą, a potem rzekł:

— Może jest za czem, ale nie ma dlaczego. Rzecz się bowiem tak ma, że i matka panny i dziadek wcale nie mają nic przeciw temu maryażowi.

— Jakto! i dziadek? — zapytałem obcesem.

Zmieszał się trochę mediator, ale po chwili odpowiedział stanowczo:

— I dziadek. Sam z nim mówiłem; protestował się wprawdzie z początku, zarzucał wiele rzeczy Lgockiemu, ale nakoniec dał się przekonać.

— To widzę dołki kopiecie podemną! — zawołałem, srodze się popatrzywszy na niego. Ale on na to łagodnie:

— Kiedy tak to już niema dalej co mówić.

— Mów, mów, niechaj wiem przynajmniej o co wam chodzi.

— Dobrze, ja będę mówił, ale muszę cię najpierwej uprzedzić, iż ja całkiem obojętny jestem obrotowi tej sprawy. Prosili mnie Lgoccy, abym starościca deklarował...

— Jakto, to już się i zdeklarował! — zawołałem znów niecierpliwie.

Na to Stojowski odsunął się odemnie i przeszedłszy się parę razy po izbie, zajrzał w okno i rzekł:

— Piękne dnie teraz mamy, da Bóg doczekać, będziemy rychłą wiosnę mieli w tym roku.

— Mój Stojowski! — zawołałem natenczas — nie rób ze mną komedyi, bo tobie komedya a mnie serce się krwawi z niespokojności i bólu. Mów co się stało i czego chcecie ode mnie?

— Nic się nie stało i już niczego nie chcemy. Ja sobie tę rzecz całkiem wyobrażałem inaczej. A zresztą gniewasz się, rzucasz sobą, a my tu właśnie nie po gniew i burdę jaką przyjechali, tylko po zgodę i piękne porozumienie się z tobą.

— Mówże prędko, proszę ciebie, już będę milczał jak kamień.

Zaczął więc znowu łagodnie:

— Słuchajże, tylko pięknie i cierpliwie. Otóż przed kilkoma dniami pojechałem ze starościcem do Żwiernika i deklarowałem go pani stolnikowej. Mówiliśmy długo i szeroko. Pani stolnikowa oświadczyła nam, iż nietylko nic niema przeciw temu, ażeby Zosia oddała rękę starościcowi, ale i owszem, będzie sobie to mieć za szczęście i spełnienie najgorętszych jej życzeń. Jednakże, mówiła nam pani Strzegocka — zachodzi tu jedna okoliczność, która mnie bardzo martwi i niepokoi a którą chciałabym mieć koniecznie załatwioną przed daniem całego słowa. Oto imć pan Nieczuja, krewny naszego domu i z wielu względów bardzo szanowny kawaler, niedawnymi czasy także się deklarował o rękę Zosi. Są pewne względy, które mnie nie kazały przyzwolić na to małżeństwo; jakoż odmówiłam panu Nieczui. On atoli, lubo starałam się odmowę moją w jak najgrzeczniejszy sposób ułożyć, przyjął ją z niechęcią, z wielkim gniewem, i z przekleństwem prawie na dom nasz i całą rodzinę, ze Żwiernika odjechał i dotąd się nie pokazał. Ja zanadto poważam sobie pana Nieczuję, zanadto z wielką przyjaźnią jestem dla niego, zanadto zresztą dbam o przyszłe szczęście i spokój mojej córki, ażebym gniewowi takiemu na mnie i całą moją familię mogła dać żywić się dłużej, albo ażebym przed ułagodzeniem go nie omijała rzeczy takich, któreby go

jeszcze mogły rozżarzać. Może ja tu oględność moją zadaleko posuwam i może to wszystko wcale jest niepotrzebnem, ale to trudno; byłam sama świadkiem, jakie okropne skutki nieoględna rekuza sprawiła w pewnym domu w dawnem naszem sąsiedztwie i po prostu się boję. Nie mam tedy nic przeciw panu Lgockiemu — mówiła pani stolnikowa — i owszem, zezwalam; ale pierwej całego słowa mojego nie dam, póki waszmość nie postaracie się o to, aby jmć pan Nieczuja zdjął przekleństwa i groźby ze mnie i domu mojego.

Zatrzymał się w tem miejscu Stojowski, a ja, który przez cały ten czas nawet oddech zatrzymywałem w piersiach, zaczerpnąłem cokolwiek powietrza i odetchnąłem. Jawno mi już teraz było, że doskonałą prawdę mówił Stojowski; jawno i to, dlaczego stolnikowa wymaga odemnie słowa na to, że żadnego nie będę miał gniewu dla niej, ani dla Zosi; pamięć Murdeliona i jego gniewu stała jej żywo przed oczyma .. obawiała się znaleźć drugą taką samą dozę dyabelskiego specyału we mnie... ale nie bójcie się! pomyślałem: nie podług wyjątków należy sądzić ludzi na świecie, nie podług tych, którzy się wyszczególniają i wynoszą nad ogół!... Ja się nie gniewam. Jam niczem nie wystąpił nad masę, jam tylko jest zwyczajną i równą innym cząstkom milionowego ogółu jednostką, ja żadnego wywyższenia nie pragnę; ja żyję w kąciku i postępując wedle odwiecznych praw Boskich i obyczajów ludzkich, które nam przekazane od ojców, nie chcę niczego więcej, tylko być zawsze tem, czem byli oni. I byle tylko nikt wyższych praw sobie nie rościł nadaremnie, bylem ja został po staremu *omnibus par*, *nemini inferior*, to więcej niczego nie zapragnę, i do wywyższenia albo wyszczególnienia się nie użyję ani gniewu, ani złości, ani gwałtu, ani żadnego innego nadzwyczajnego środka; a jeżeli mi Bóg dał jakowe cnoty lub zdolności, to i te niechaj się spalą na ołtarzu wspólnego dobra, wraz z milionami cnót innych mojego zakonu, przez nikogo nieznane i nienagrodzone, tylko twoim oczom widome, o Panie wielki! abyś mi je policzyć mógł kiedyś, kiedy z otwartem całego ży-

cia mojego sumieniem stanąć mi przyjdzie przed Tobą. Ja się nie gniewam i nie gniewałem się nigdy, a jeżeli dnia jednego jakich cierpkich słów kilka wyleciało z ust moich przeciwko bezbronnej kobiecie, przeciwko matce tej niewinnej istoty, która mi stała wszystkiem na świecie, to była to raczej gorąca skarga na los mnie przeciwny, niżeli zła chęć jaka dla domu tego, pod którego dachem szukałem szczęścia na całe życie. I było tak w samej rzeczy. Od dnia, w którym z taką furyą wyjechałem był ze Żwiernika, daleko więcej myślałem nad tem, jakby stolnikową na nowo dla siebie przebłagać, jakby jej gniew słuszny i sprawiedliwy zdjąć ze siebie samego, niżeli żeby w sobie gniew jaki na nią żywić lub rozrzażać *Vana* zresztą *sine viribus ira!* i cóżby mnie było po moim gniewie?... dla mnie matka tej, którą kochałem nad życie, była osobą świętą i nietykalną, i gdyby mi przyszło było iść na wieczną nędzę lub śmierć z jej przyczyny, to jeszcze nie byłbym nigdy potrafił trzeźwemi usty rzucić złe słowo na nią, a nie dopiero podjąć jaki niegodziwy uczynek. O! tak było i pewnie tak było! — jam w niczem nie był podobny do Murdeliona. Ale... myślałem długo i z natężeniem... ale cóż za odpowiedź dać Stojowskiemu? Wyprzeć sięby najmniejszego na dom Strzegockich gniewu, znaczyło to po prostu błogosławić Lgockiemu do ołtarza ze Zosią; przyznaćli się do gniewu, którego ani cienia nie było w mem sercu? — jak to uczynić? Ale rozum, ów niezmordowany rachmistrz duszy człowieczej, ów nieubłagany nieprzyjaciel wszelkich odpowiedzi stanowczych, czegóż bo nie doradzi? Rzekłem tedy do Stojowskiego:

— Cóż Zosia na to?

— Zosia jest dzieckiem prawie — odpowiedział mediator — nie może ona w tak ważnej rzeczy mieć swojej opinii.

— Jakto! — zawołałem — toż nawet tutaj swojej opinii mieć nie będzie, gdzie o nią samą idzie, gdzie idzie o jej szczęście doczesne, o jej życie całe, o jej jedyne i wszystko na świecie? O świat! o ludzie! — zawołałem z żalem i ze łzami w oczach zacząłem chodzić po izbie.

Stojowski stał oparty o krawędź stołu i nie przerywając mi wcale, patrzył, ile mi się zdawało, ze szczerem współczuciem na mnie. Milczenie to trwało długą chwilę; ja ustawicznie chodziłem po izbie, i im więcej się przezwyciężałem, aby się w żalu utulić, tem mocniej mi się serce ściskało i tem obfitsze łzy wyciskały mi się z oczu. Już i rozum, który znów swoją podsuwał radę, umilknąć musiał przed nawałą uczucia. Aby jednak to jakoś zakończyć nareszcie, stanąłem i łkającym głosem spytałem Stojowskiego:

— Czegóż wy chcecie odemnie?

To zapytanie moje przyniosło najlepszy skutek. Skoczył on bowiem zaraz do mnie i także ze łzami w oczach porwał mnie za rękę, a ściskając ją mocno, rzekł:

— Przebacz mi, panie bracie! poznałem cię inszym, a widzę cię wcale inszym. Gdybym był o tem pierwej wiedział, co teraz widzę, nie byłbym się nigdy podjął tego orędownictwa. Ktoby nie szanował praw serca, tego najprzedniejszego klejnotu w człowieku, ten nie wart nawet nazwiska człowieka. Przebacz mi, panie bracie!

— Nie gniewam się nic a nic i na nikogo się nie gniewam — odpowiedziałem ściskając mu rękę z afektem — ale własną ręką swego serca zabijać nie będę. Dziękuję tobie, że mnie rozumiesz, i Bóg jest świadkiem moim, co myślę, ale nikomu nic odpowiadać nie będę. Niech sobie robią co zechcą.

Chwilę jeszcze rozmawialiśmy z sobą w tej izbie, wypowiadając sobie wzajemnie sentymenta; a właśnie kiedy świece przynoszono do sali, poobcierawszy się z łez i odetchnąwszy po kilka razy, powróciliśmy do reszty kompanii. Tam nie wiem z jakiego powodu, ale zapewne w skutek jakiegoś źle wyrozumianego gestu Stojowskiego, albo w skutek fałszywie wyczytanego którejś z naszych twarzy wyrazu, ledwie com wszedł, zaraz ów drugi Lgockiego towarzysz, pan Kąkolnicki, przybliżył się do mnie i wyciągnąwszy obiedwie ręce, rzekł:

— W imieniu Lgockich i całego pani stolnikowej

domu bardzo dziękujemy waszmości; nigdy nawet nie spodziewaliśmy się inaczej.

— Za cóż to mi waszmość dziękujesz? — zapytałem zdziwiony, cofając się przed nienależącym mi się komplimentem.

— A dziękujemy waszmości, żeś był tak łaskaw...

— Ale przepraszam — zawołałem — ja wcale nie byłem łaskaw.

— Jakto! — zawołał znów on, odskoczywszy — czy być może?

— Może i jest! — odpowiedziałem.

On też na to z nieukontentowaniem:

— A to osobliwa! nigdy nie myślałem, żeby się znalazł kto taki...

— Mości panie! — przerwałem mu — czy moje uczynki się panu osobliwe wydają, czy nieosobliwe, to mi jedno! zresztą muszę waszmość uważnym uczynić na to, że tu wcale nie miejsce po temu, aby dysputować o tem, chyba, że chcecie prywatne sprawy koniecznie na widok publiczny wywlekać.

— Ta sprawa — rzecze on — gdyby się i przed całą Europą wywlokła, nic nam pewnie pod żadnym względem nie zaszkodzi.

— Może i zaszkodzi.

— Nie zaszkodzi!

— Ale powiadam, że zaszkodzi.

— Zaszkodzi, ale nie nam.

— Otóż wam właśnie zaszkodzi, bo wyście niedorzeczność zrobili, nie ja.

— Jakąż to niedorzeczność?

— Toż to dorzecznie jest — zawołałem — przyjeżdżać do konkurenta po to, aby swojej pannie pozwolił iść za innego?

— Cha, cha, cha! otóż to osobliwa! — zawołał pan Fredro, a Stojowski w tejże chwili usiadł przy nim na kanapie, dając oczywiście tem do poznania, że od wszystkiego ręce umywa. Tymczasem zaś Lgocki wstał z krzesła i stanął po stronie Kąkolnickiego, który też rzekł:

— Przepraszam waszmość pana, nie ten jest niedorzeczny, który łagodnie prosi o to, iżby mu nie przeszkadzano w konkurach, ale ten właśnie, który się sroży napróżno i upiera przy tem, co być nie może.

A ja mu na to:

— Co mi waszmość gadasz trzy po trzy? sameś głupstwo zrobił i teraz składasz je na drugiego! Co waszmość wiesz co być może, a co nie może!

— Wiem bardzo dobrze — rzekł on — waszmość tej panny nigdy nie dostaniesz; tak już jest zapisano.

— A żeby tam było i na kamieniu ryto, to ja wam powiadam, że wy jej nie dostaniecie!

— Otóż dostaniemy! — zawołał Lgocki — pani stolnikowa dała nam słowo.

— Nieprawda! — krzyknę — nie dała.

— Dała słowo! — zawołał znów Lgocki — i zebyś wiedział Niecuja, zebym cię zaraz zabił, kiedybyś chciał temu pseskadzać!

— Pójdziesz ty z twojem zabijaniem! — krzyknąłem na niego — patrzajże, jaki mi heros!

A wtem pan Bal wstał z kanapy i stanąwszy po mojej stronie, rzecze grubym głosem:

— Hola, mości panowie! o co to chodzi?

— O co chodzi, to chodzi! — krzyknie na to Lgocki już w pasyi — co wasmości do tego?

— Co mnie do tego? — zawołał Bal — to będziecie na cudzy dom najeżdżać i burdy w nim robić! Otóż ja wam powiadam, że panny nie dostaniecie i że pan Nieczuja dostać ją musi! Obraziliście nas tu wszystkich, bo tu nie pojedynkiem, mospanie, tu wszyscy za jednego i jeden za wszystkich.

— Nie damy się napadać! — krzyknął znów Lgocki — tu się z nami wybijcie! — i dodał z płaczem: — Niechze mnie juz zaraz zabiją!

— Tu się z nami wybijcie! powtórzył z ferworem Kąkolnicki i poczęli się brać za szable. Pan Bal też zaraz dobył karabeli, i kiedy ja pośród krzyku i zamieszania porwawszy jakąś szerpentynę z kąta, tuż chcę stawać do

bitwy, woła Bal już rozogniony: — Tu stawaj po prawej! — Przeskoczyłem na prawą stronę i za jedną sekundę bylibyśmy już jak Bóg w niebie uderzyli, ale wtem otworzyły się drzwi z łoskotem i w tymże samym momencie, kiedy w sieni dawał się słyszeć głos kobiecy wołający: Dla Boga! gdzie pan? gdzie pan? — wpadła owa znajoma nam karczmarka do sali i rzuciwszy się najpierw pomiędzy nas, a potem mnie do nóg, zawołała: — Ach panie, co się tam stało w Żwierniku!

— Co się stało? — krzyknąłem przerażony i pałasz opuszczając ku ziemi.

— Ach! panie! — odpowiedziała ona, nie mogąc mówić dalej, bo była nadzwyczajnie zmęczoną i prawie omdlewającą.

Pan Fredro i Stojowski, którzy dotychczas nieruchomie siedzieli na kanapie, zerwali się i przybiegli do nas; myśmy także, pospuszczawszy pałasze, skupili się razem i okrążywszy tą młodą niewiastę, wypytywali: — Co, co tam się stało?

— Pozaprzeszłej nocy... panie... — mówiła ona drżącym i przerywanym głosem — napadł ktoś zbrojnie na dwór żwiernicki...

— Napadł! — krzyknęliśmy obydwa z Lgockim prawie jednocześnie — i cóż uczynił?

— Napadł... i porwawszy panią stolnikową, wywiózł ją gdzieś het!... Bóg wie dokąd.

— Boże! a Zosia? — zawołałem, blednąc cały i drżąc po wszystkiem ciele.

— Wszyscy reszta zostali.

— Hej! zaprzęgać mi czemprędzej do wózka — zawołałem, wybiegając do sieni.

— I nam zaprzęgać! i nam zaprzęgać! — wołali inni, i już się zrobił wielki gwar i zamieszanie. Lgocki tylko jeszcze rzucił mi się na szyję, wołając: — Psebac, panie Niecuja! ratuj Zosię, ja dam milion pieniędzy! — Kąkolnicki zaś, kręcąc się tędy owędy, mówi sobie pod nosem: — Tu niema co robić, trzeba stolnikową ratować! — Stojowski rwie mnie w tę stronę, Bal w drugą, inny w inną:

ale ja już nie wiedziałem gdziem jest i co się dzieje ze mną, więc także, biegając od kąta do kąta, zawołałem jeszcze podstarościego i krzyknąwszy mu w ucho: — Kołkiem waszeć w moim pokoju! — wskoczyłem ja z Lgockim w jeden wózek, Stojowski z Kąkolnickim na drugi, i ruszaliśmy nocą i cwałem do Żwiernika.

A działo się to w dniach pierwszych miesiąca kwietnia; ziemia się rozmarzała, śniegi topniały ustawicznie, pora była dżdżysta i wielka rozkal po drogach, więc łamały nam się w tej podróży koła u wozów, wylatywały sprychy, odpadały i gubiły się lusznie, grzęźliśmy w wielu miejscach; pomimo to jednak dnia następnego po południu pokazała nam się wieś Żwiernik, pomiędzy dwoma podłużnymi piaszczystymi garbami, nad jakąś małą rzeczką w dole wyciągnięta, i taka cicha, taka spokojna, jak zawsze i jakby o niczem niewiedząca. Nareszcie i dwór nam się pokazał ze swojemi białemi zabudowaniami, malowanymi dachami i gładkim przed sobą dziedzińcem, ale i na nim jeszcze nie widzieliśmy żadnych śladów zajazdu lub gwałtu. Dopiero w środek wjechawszy, ujrzeliśmy trochę niezwyczajnego ruchu około domu; dwa wozy naładowane i uprzężone stały przed gankiem, sługi się tu i owdzie kręciły, gromadka chłopków stała z pospuszczanemi głowami przed oficyną i gwarzyła pomiędzy sobą, a dziadek o lasce oparty stał w ganku, i orzeźwiony czy ważnością wypadku, czy jakiejś sprawy przedsiębrać się mającej, głośne wydawał rozkazy i rozporządzenia. Mąż ten w owę chwilę odmłodniał był o połowę lat swoich, a ponieważ ślady setnego wieku i strupieszałości prawie grobowej wciąż na nim widne były, więc wydał mi się na razie, jakby jaki od wieków już w trumnie spoczywający praojciec, który, nową zbudzony wojną, wyszedł z grobu na chwilę.

Kiedyśmy zajechali w dziedziniec i dla owych wozów ładowanych, zastępujących nam miejsce zajezdne, opodal stanęli od ganku, starzec przyłożył dłoń wyciągniętą do czoła i mocnym głosem zapytał:

— Czy Nieczuja przyjechał?

— Nieczuja, panie cześniku, Nieczuja! — zawołałem,

wyskakując z wózka, a przybiegłszy do starca, rzuciłem mu się w ramiona i popłakaliśmy się obydwa.

— Wiedziałem, że mi nie odmówisz pomocy — rzekł pan cześnik po chwili, wypuszczając mnie z swojego objęcia i łzy ocierając. — Kiedyż posłaniec przyjechał?

— Posłaniec? — zapytałem zdziwiony — ja żadnego nie widziałem posłańca. Przypadkiem tylko się dowiedziałem.

— Przypadkiem? no! wszystko jedno. Wiesz co się stało. Ja dziś wyjeżdżam, będziesz mi towarzyszył?

— Ale z całego serca, mości dobrodzieju, wszakże po to tu przyjechałem.

— Ale bo to sto mil drogi — rzekł starzec.

— A gdyby i tysiąc! — rzekłem w zapale — i gdyby przez ogień i piekło, pewnie się nie ustraszę i możesz jegomość liczyć na mnie, jakby na syna.

— Niechże ci Bóg nagrodzi, kochany Marcinie — rzekł starzec, nachylając się ku mnie i całując mnie w głowę — znam się na ludziach i wiem czego w kim szukać.

To mówiąc, pan cześnik wziął mnie pod ramię i nie witając się cale z tamtymi, prowadził mnie do pokojów. Tamci jednak postępowali za nami. Ale ledwie cośmy weszli w próg sali, natychmiast Zosia, która zawinięta i już do podróży ubrana ze spuszczoną główką siedziała pod oknem, ujrzawszy nas, zerwała się nagle i jakby strzała wypuszczona z łuku, skoczyła ku mnie i z głośnym krzykiem: — Pan Marcin! — rzuciła mi się na piersi. Była to scena, jakiej nigdy już potem nie doświadczyłem w życiu. Sam nie wiem co się działo ze mną natenczas, ale to pewna, że jakie tylko uczucia i ile tylko miałem ich w sercu, wszystkie się w duszę moją wylały. Mógłbym był i śmiać się, i płakać, i iść na armaty, i rzucić się na kolana przed Boga, i skonać nawet bez smutku i żalu w onej chwili. I wszystkich to rozczuliło. Ledwie co bowiem Zosia, spostrzegłszy swoją nieuważną prędkość, odstąpiła odemnie, zaraz mnie dziadek znów porwał w ramiona, z drugiej strony Stojowski całą twarz mi obcałował i łzami obmazał, Lgocki głośno płaczący rzucił się na kolana przedemną, Kąkolnicki z przyjacielskiem współczuciem ściskał mnie za rękę. Zuzia tylko jedna, siedząca na kanapie, po tej scenie całkiem zimnym i lodowatym głosem rzekła do mnie:

— Jak się ma pan skarbnikowicz?

Ale ja już nie uważałem na to, ani odpowiadałem, tylko wyrwawszy się z onych przyjacielskich uścisków, w też pędy pobiegłem za Zosią, która, wstydem zarumieniona, zaraz się wysunęła do przyległego pokoju. Tam, przystąpiwszy do niej i ściskając ją w obydwie ręce, rzekłem z przepełnionego serca:

— Zosiu! najdroższa nad wszystko na świecie!... jakiegoż to potrzeba było nieszczęścia, abyśmy się znów widzieć mogli!

Na to ona ze łzami i głosem cichym a łkającym:

— Nie opuszczaj pan nas, biedne sieroty!

— O! nie opuszczę was już ani krokiem, a ciebie, daj Boże, aż do śmierci.

Zosia mnie na to ścisnęła za rękę i tuż chciała coś mówić, ale w tejże chwili wszedł dziadek, mówiąc głośno:

— Mój Nieczuja, daj już teraz pokój karesom, będziesz miał dosyć czasu na to i potem. Chodź-no ze mną, wszakże mamy co z sobą pomówić.

Na ten głos niespodziewany Zosia odskoczyła odemnie, jakby ptaszek po strzale; ja zaś wziąłem pod ramię starca i przeszliśmy do dalszego pokoju, gdzie on, usiadłszy w krzesło, najpierw rzekł do mnie:

— Dobry chłop z ciebie, ale jeszcze pstro w głowie.

— Panie dobrodzieju — odpowiedziałem ja na to — Bóg świadkiem moim, że mi się serce kraje na wspomnienie tego nieszczęścia, które was nawiedziło, ale radość i smutek w tej chwili pomieszały się we mnie, że sam nie wiem, któremu się oddać najpierwej.

— Nic w tem nowego — odparł pan cześnik — na to człowiek ma serce, aby czuł wszystko, co go zblizka dotyka. Ale znów na to ma rozum i sumienie, aby nie trawił darmo czasu nad bezużytecznymi żalami, tylko aby przysposabiał środki ratunku. Więc wiesz co się stało?

— Wiem, panie.

— Wykradziono córkę moją, porwano ją gwałtem po zbójecku. I wiesz kto to zrobił?

— Nie wiem na pewno, ale się domyślam; podobno Murdelio.

— Tak jest, on! Ignacy, ten dyabeł wcielony, który, zakochawszy się w niej zamłodu i dostawszy rekuzę, poprzysiągł mnie zemstę wieczystą i teraz ją wykonywa! Spodziewałem się tego, ale nie mogłem temu zapobiedz. Trudnoż, miałem nadworną utrzymywać milicyę, aby dom pilnować od niego; trudno uciekać było przed nim za granicę, kiedyby to się na nic nie zdało; trudno rozprawić mi się z nim dzisiaj na rękę, kiedym już stary i zakrzepły.

— Ja się z nim rozprawiłem potrochę przed kilkoma dniami — rzekłem na to dziadkowi — ale cóż to pomogło!

— Jakto? ty z nim? a gdzież to było?

Opowiedziałem tedy dziadkowi wizytę Murdeliona u mnie i wszystko co się stało.

— O! nieszczęliwy! — rzekł on na to — toż to dlatego on się w zimie na to odważył.

— Ha! być może! ale cóżem ja temu winien?

— Tyś niewinien — rzekł dziadek — i nikt z nas niewinien. Ale niechże się ma na baczności ten, który winien! Ja wiem gdzie go szukać, a kiedy znajdę!... stary jestem i obydwiema nogami stoję już w grobie!... ale kiedy go znajdę!... — wołał dziadek, trzęsąc się cały i zaciśniętą pięść prawą podnosząc do góry, ale ja go wstrzymałem, mówiąc:

— Niech się jegomość nie irytuje; przy Boskiej pomocy wszystko się to zrobi, jak przynależy, a chybaby już żadnej cnoty w ludziach nie było, żeby nam nie pomożono w tym razie.

— Daj-no pokój! — przerwał mi starzec, uspokajający się już cokolwiek — wiem ja co liczyć na kogo. Szlachta oszmiańska była mi ojcem niegdy i opiekunem opuszczonej fortuny; potrafi ona być mi dziś bratem i pomocnikiem. Więc słuchaj mnie wasze. Córkę moją wykradł Ignacy i zawiózł ją precz do siebie, aż na swój zamek. Pan Strzemeski, który trzyma Strzegocice od mojej córki, pędził za nim zaraz nazajutrz i nie dopędził go wprawdzie, ale po drodze odpytał. Bryką i wozem, zaprzężonymi po cztery konie, popędził on przez Pilzno ku Mielcowi. Na razie można mu było zabiedz drogę i odbić, bo nie miał tylko pięciu ludzi trochę uzbrojonych przy sobie, ale dzisiaj już niema co myśleć o tem. Musi on być już gdzieś koło Lublina, bo to psiemi drogami popędziło to licho. Niema więc innej rady, tylko trzeba jechać za nim. Ja tam mam wioskę w jego sąsiedztwie, mam ludzi przychylnych, całą szlachtę znajomą i kochającą, jest więc *punctum* oparcia się. Ale ja nie pojadę tędy, bom ja już stary i słaby i niezaradny w podróży; ja pojadę za gościńcem na Kraków, na Warszawę, na Grodno. Przyjadę o kilka dni później wprawdzie, ale tem pewniej, a przez ten czas mam nadzieję, że ją tam Pan Bóg będzie miał w swojej opiece. Zresztą jedzie Zosia ze mną, jakże mi się puszczać na małe drogi?

— A panna Zuzanna?

— Panna Zuzanna zostaje z panią Strzemeską na gospodarstwie w Źwierniku. Nie bardzo tego potrzeba, bo któż wie kiedy powrócimy, ja pewno już nigdy, ale kiedy jechać nie chce, to cóż jej zrobię?

— Pewna to — rzekłem — że trudno przymusu używać, ale widzi mi się, że kiedy państwo wyjeżdżacie, to już lepiejby ile możności zabrać się ze wszystkiem. Kto wie jak tam długo posiedzieć wypadnie? a jeżeli tu chodzi o imć pana Konopkę, toż przecie konkurent...

— Ale gdzie tam! Konopka sam chce jechać z nami, ona nie chce. Niechże sobie siedzi. Więc słuchajże. Kiedyś tak dobry, że się ofiarujesz jechać z nami, to jedź. My dziś wyjeżdżamy na noc do Koszyc, do Konopki, gdzie on już dziś rano wyjechał, aby nam nocleg przyrządzić, jutro bowiem zawczasu chcemy być w Krakowie i zapewne cały dzień tam zabawimy; więc ty jedź z nami do Tarnowa, stamtąd sobie wyszlij kogo do domu, abyś

jakoś na ten czas gospodarstwem zarządził i przez to straty jakiej nie cierpiał, a potem nas dopędzisz gdziekolwiek na drodze, albo i w samym Krakowie.

— Hm! Boże mój! — rzekłem na to — ja tu ani koni nie mam takich ze sobą, ani powozu, ani Węgrzynka... a! no! jakoś to będzie; niech jegomość będzie spokojny.

To rzekłszy, wybiegłem do Zosi spytać się o mojego Węgrzynka. Ale ku wielkiemu zdziwieniu dowiedziałem się, że był, ale dwa dni jeszcze przed owem pani stolnikowej nieszczęściem wziął kartkę wieczorem i miał zaraz odjeżdżać. Więc ja niezadowolony tą wiadomością, a wiedząc o tem że ogrodnik miał być wtajemniczony w tą całą sprawę, pobiegłem do niego, ale i tam jeszcze nie dowiedziałem się nic takiego, coby mnie choć na domysł jego dotychczasowego zniknienia naprowadzić było mogło. Ogrodnik bowiem tylko potwierdził to, co mi powiedziała Zosia, dodając że ile jemu się zdaje, pan Mighaza musiał pojechać na Tarnów, bo się bardzo uskarżał na małe drogi, że były złe i bardzo błotniste. Tak tedy, pozbawiony najwierniejszego sługi mojego i nie mając nawet czasu do namyślenia się nad sposobami odszukania, musiałem pobiedz napowrót do dziadka, którego już ubranego w szubę i żegnającego się z domownikami zastałem w ganku.

— Mój Nieczuja — rzecze on do mnie — wszystko już gotowe, jeno na ciebie czekamy.

— Jam także gotów — odpowiedziałem, bo moje konie już także zaprzągnięte stały przed oficyną.

— Niechże Zosia jedzie sama z służebną, a ja siądę do twego wózka; będziemy z sobą rozmawiać przez drogę.

Tak tedy Zosię wsadziliśmy do powozu, a sami, pożegnawszy się z Zuzią i panią Strzemeską, pozostającą z łaski swojej na gospodarstwie w Żwierniku, i oddawszy dom ten nieszczęśliwy Panu Bogu w opiekę, ruszyliśmy w drogę. Tamci trzej panowie smutni i całe skonsternowani, to pani stolnikowej nieszczęściem, to zimnem i obojętnem ich przyjęciem przez dziadka, wlekli się jakie pół

mili za nami, a nareszcie znudzeni powolnością podróży naszej, minęli nas i zniknęli nam z oczu.

Ja zaś, wrzeszcząc przez całą drogę każde słowo dziadkowi w ucho, że aż mi gardło ochrypło, tak się z nim umówiłem, aby kontynując swoją podróż, całe się nie zatrzymywał przezemnie i nie uważał na to, gdzie i kiedy z nimi się zjadę.

— Że się z wami zjadę — powiadałem dziadkowi — to pewna, ale teraz nie umiem miejsca oznaczyć, bo przyznam się jegomości, że bez koni i sługi, a nawet bez potrzebnych do tego pieniędzy, że nie wspomnę już o pozostawionem tak na Bożą opiekę gospodarstwie, w tak daleką podróż puszczać się nie mogę, tem też bardziej, że mając całą prawie fortunę w domu i w gotowiźnie, kiedyby jeszcze i tego chciało nieszczęście, mógłbym z Oszmiany wrócić do czterech węgłów i wiekuistej golizny. Jedź zatem jegomość spokojnie i bez żadnej przerwy, a ja czy dzień, czy dwa dni jeszcze się zabawię w Tarnowie, to zawsze was na gościńcu między Krakowem a Warszawą dogonię.

Tak powiedziałem dziadkowi, ale kiedy mi się przyszło z nim a osobliwie z najdroższą i przez łzy na mnie patrzącą Zosią pożegnać w Tarnowie, to mi się strasznie duszno zrobiło około serca, bo mnie z jednej strony miłość, z drugiej obowiązek kawalerski, a z trzeciej obowiązek dla mojej fortuny, w takie wzięły obroty i na tak niebezpieczny szańc wystawiły sumienie moje, że trzeba było prawdziwej łaski Bożej, abym cały wyszedł z tej fatalnej okazyi.

Jednakże za pierwszem postępując natchnieniem i całe nie czekając na to, czy mi się gdzieś przypadkowo nie wynajdzie w Tarnowie Węgrzynek, zaraz tej nocy jeszcze pchnąłem żydka najętego konnym wózkiem do siebie, z takim do podstarościego rozkazem, aby mi natychmiast na dzień i noc przysyłał cztery konie, pakowny karabon, sukni i bielizny co trzeba i szkatułkę podróżną, w której było tysiąc czerwonych złotych. To uczyniwszy, trochę

spokojniejszy położyłem się spać w lichej, jak zwyczajnie u nas, gospodzie.

XI.

Owóż wyprawiwszy onego żydka do Bóbrki i całe uspokojony tem zdarzeniem sobie a pewny, że już bez żadnej przeszkody będę mógł przedsięwziąć onę, tyle dla mnie ważną i obiecującą, podróż na Litwę, wstawszy drugiego dnia rano, znalazłem się rzeźwym i silnym i w dobrej fantazyi. Więc ubrawszy się prędko, zarzuciłem na siebie szubę i zamiast szabli, na którą u nas już niechętnem okiem patrzano po miastach, wziąwszy tylko dobrze okuty czekanik do ręki, szedłem na mszę św. do franciszkańskiego kościoła.

A działo się to jakoś dni kilka po środopoście i wszędzie po kościołach odprawiały się nabożeństwa piękne i stateczne. W franciszkańskim kościele, lubo tak rano, ludu już było pełno, ciężko się nawet było przecisnąć, a nie tak dla natłoku, jak dla towarzystwa kapników czyli biczowników, którzy o tej porze właśnie przyszli byli z procesyą do kościoła i swoją nabożną praktykę tam odbywali.

Kapnicy, było to towarzystwo ludzi pobożnych, złożone zwyczajnie z mieszczan bogobojnych, szlachty po miasteczkach osiadłych albo innego gatunku subjektów, których światowego znaczenia trudno zresztą oznaczyć dokładnie, bo nie opowiadając się nikomu, tylko pomiędzy sobą się znali i twarzy swojej nigdy nie pokazywali. Zawiązywali się oni, jak w jakiem mieście, ale zwyczajnie raz tylko do roku i to w ostatnią zapustną niedzielę, właśnie przed poczęciem czterdziesto godzinnego nabożeństwa; przez cały post wielki praktykę czynili, a po rezurekcyi znowu się rozwiązywali, żegnając się, komuby Bóg dał doczekać, znowu aż do przyszłego roku. Zakon ten, ile ze świeckich ludzi i na pewien czas tylko złożony a żadnym dożywotnim ślubem nie związany, nie miał też żadnych innych ani względem świata, ani kościoła obowiązków,

tylko te, które sam włożył na siebie. Toż praktyka tych kapników ograniczała się tylko na codziennem nabożeństwie, społem i wzajemnem siebie biczowaniu, skąd ich także w niektórych miejscach biczownikami zwano. A robili to tak. Rano zawsze przed nabożeństwem schodzili się wszyscy u swego starszego, tam rozbierali się z szat wierzchnich i koszul, i brali na siebie długie, płócienne, szarego koloru wory, które były rozprute na plecach, a rozpory te poprzykrywane kapkami tak, że za pociągnieniem sznurka z łatwością się otwierały, nagie plecy odsłaniając do biczowania. Na głowach mieli długie, spiczaste, także płócienne kaptury, które całą głowę zakrywały i tylko na oczy miały z przodu powycinane otwory, zresztą opasywali się w stanach szarymi także sznurkami, z ogórkami nakształt mnisich, poświęcanymi albo o jaki obraz cudowny pocieranymi. Każdy z tych kapników niósł w lewej ręce świecę woskową i książkę do nabożeństwa, który czytać umiał, a który nie, to różaniec; w prawej każdy miał dyscyplinę z opiekanymi na końcu rzemykami, aby ciało do krwi szarpały. Wychodząc z domu swego starszego, szli procesyą ordynkiem: więc naprzód starszy z krzyżem drewnianym w obydwóch rękach, potem bractwo parami, a nakoniec dwóch jeszcze także kapników, ale już niby to marszałków, bo ci mieli potężne laski w rękach, któremi znaki dawali, bo mówić żadnemu nie wolno nic było. W takiej procesyi przychodzili do kościoła i w takim porządku stali, klęczeli i krzyżem leżeli pomiędzy ławkami wzdłuż nawy. Przyszedłszy, za danym znakiem przez marszałków zaraz krzyżem się kładli, a powstawszy znowu za danym znakiem, obnażali sobie plecy i biczowali się wzajem, niektórzy przy biciu dodając słowa: *ad majorem Dei gloriam*, albo inne jakieś formułki, których słów ani całkowicie dosłyszeć, ani spamiętać mogłem. Sroga ta ceremonia do skończenia mszy św. powtarzała się kilkanaście razy, przyczem każdemu z nich dostawało się po jakie kilkaset doskonałych dyscyplin, niektórzy zaś już w połowie tego czasu byli tak zbici, że im się aż skóra porozpadała na plecach, a przy końcu krew z nich pluskała na

ziemię, a nawet i na lud obok klęczący, lub personatów miejskich w ławkach siedzących. Ja pierwszy raz wtedy widziałem i ten zakon i jego praktykę, i nie wiem jak komu, ale mnie się nie zdawała ona być czysto *ad majorem Dei gloriam*, tylko także cokolwiek *ad sui ipsius*, to jest tych praktykarzy *agandam famam*, bo do czegóż to czynić publicznie i w kościele? Dobrze też mówił szlachcic obok mnie tamże klęczący:

— Gdyby tak na mnie, mości dobrodzieju, to jabym nie pozwolił z domu Pańskiego robić teatrum dla takich scen barbarzyńskich. Kiedy szewców skóra świerzbi, to niech sobie dadzą i po tysiąc bizunów, ale w domu, w kąciku, ale niech nie straszą kobiet i dzieci po kościołach. Moja żona na widok tej krwi zasłabła tu przeszłego tygodnia i do dziś dnia się jeszcze z tego obaczyć nie może.

Tak więc, daleko więcej czasu straciwszy na przypatrywaniu się obrzędom owych kapników i na przysłuchiwaniu się opowiadaniom szlachcica, niż na przyzwoitej, dla której tam poszedłem, modlitwie, wyszedłem z kościoła, a przeszedłszy ulicami na rynek, zmierzałem prosto do pańskiego domu, to jest do onej gospody, na której moja najpoczciwsza karczmarka siedziała. Supponowałem, że już musiała powrócić z Bóbrki, i że z nią sobie jeszcze co porozmawiam, że się co przecie dowiem o moim Węgrzynku, o czem wszystkiem przedwczoraj w Bóbrce ani wspominać nawet nie miałem czasu, ni pamięci.

Aliści ledwie co pominąłem kościół farny i wszedłem na ulicę ku pańskiemu domowi wiodącą, zastępuje mnie drogę jakiś hultaj, niby z mieszczańska a niby już z niemiecka ubrany, mówiąc srogim głosem:

— Aha! tuś mi ptaszku! poczekaj, już mi nie ujdziesz teraz z ręki!

— Cóż to? — rzekłem, zadziwiony tą bezczelną napaścią wśród dnia białego — rozbój w samym środku miasta?

— Na rozboja rozbój! — zawołał on, podczas kiedy ludzie zaczęli się pomału gromadzić około nas — to ludzi będziesz strzelał jak ptaki? ha!

Dopiero mi się przypomniała owa burda u karczmarki, u której strzelałem był z pistoletu. Na to przypomnienie włosy mi kołkiem stanęły na głowie i strach mnie zdjął wielkooki; jednakże zebrawszy się prędko:

— Ruszaj — krzyknąłem — jam tu pierwszy raz w mieście i nie strzelałem do nikogo! — To rzekłszy, chciałem iść dalej, ale on hultaj tuż rękę wyciągnął do mojej szyi, wołając:

— Stój! ani kroku ciebie nie puszczę: pójdziesz na odwach!

Wtedy odskoczyłem od niego i kiedy go wytnę w łeb czekanikiem, padł. Ja też w nogi i byłbym uszedł jak Bóg na niebie, ale już się tumult taki zrobił na ulicy, że ani rusz przepchać się było. On też hultaj, źle trafiony przezemnie, lubo upadł, jednak nie stracił przytomności, tylko wołając:

— Gwałtu! ratujcie! brata mi zabił! poznałem go! on białowłosy — tarzał się po ziemi i krzyczał. To też na ten tumult i hałas, co się wszystko działo prawie w oczach odwachu, zaraz na raus zawołano, dobosze uderzyli larum, a ront z pięciu żołnierzy, wybiegłszy z odwachu, oświecony przez najpoczciwszy lud miejski o co rzecz chodzi i na mój trop naprowadzony, dopadł mnie zaraz i obskoczywszy, porwał i zaprowadził na odwach. Ledwiem tam wszedł, zaraz mnie znowu obskoczyli oficerowie, sierżanci i inni oglądając mnie, długo coś po swojemu gadali. Jam się po kilka razy do nich odzywał to tym, to owym językiem: mówiąc żem jest człek spokojny, żem nic nikomu nie winien, żeby mnie wypuszczono — ale mnie nikt nie słuchał, a z owego gadania to tylko wyrozumiałem, że zakomenderowano i rozesłano ronty na wszystkie strony miasta; bowiem ta suppozycya, że jakiś napad jest zamierzony na miasto, któren przezemnie wydał się przedwcześnie.

To wyrozumiawszy, bardzo mi się smutno zrobiło na sercu, bo widziałem już jakąś długą i fatalną historyę

6*

przed sobą, która kto wie kiedy i jaki koniec wziąć może, a powiadając sobie w cichości tę naukę, że nigdy żadna rzecz lekkomyślna bez gorzkich owoców się nie obejdzie; zamyśliłem się srodze. Ale nie dano mi długo rozmyślać: zaraz bowiem przystąpił do mnie jakiś żołnierz, i zabrawszy z sobą, przeprowadził przez kurytarzyk, drzwi jedne żelazne na wielką kłódkę zamknięte otworzył i wtrącił do paskudnego kałauzu.

Kiedym wszedł, jakiś człowiek, który się zdawał zasypiać, leżąc na tapczanie w tej ciemnej dziurze, zerwał się i przyskoczył do mnie, i proszę sobie wystawić moje zadziwienie, kiedym poznał w owym człowieku mojego Węgrzynka jespana Janczci Mighazę de Isztvanferet.

* * *

Czas upływał na różnych protokólarzach, wypytywaniach i audencyach, a we mnie krew się burzyła, bo co się tam działo z Żwiernickimi mieszkańcami, co Zosia o mnie pomyśli, co dziadek powie; a tu rzecz gmatwała się coraz bardziej, czekać ani sposobu, trzeba było koniecznie wybić się z biedy, a Węgrzynek miał piłeczkę, którą mu Cygan siedzący przedemną z nim razem w tym samym więzieniu użyczył, zabraliśmy się więc do dzieła i skończyliśmy je dnia siódmego.

* * *

Była to właśnie wielka sobota, więc kiedy już się zmierzchać zaczynało, wiele ludu zgromadziło się na mieście, wojsko wyciągnęło się długą linią na rynku i przed farnym kościołem, aleśmy go nie widzieli, bo nasze okno patrzyło na południową stronę, a kościół farny stoi w rogu między północą i wschodem.

Dobry zmrok już był, kiedy zaczęto bić w dzwony i kilka salw dano. Po chwili rynek już był napchany ludem i przy świecach i pochodniach zaczęły się procesye. Myśmy się także modlili i pewno goręcej, jak cały lud tamten i taka w nas była determinacya, że Węgrzynek rzekł do mnie.

— Panie, niema co czekać — dalej, uciekajmy.

I ja na to przystałem... Jakoż, wsunąwszy się po ciemku pomiędzy tłumy, wygniotłem się na rynek, gdzie znowu tłum, i tak przeciskając się niepoznany, dostałem się do naszej gospody na przedmieściu, gdzie już sprawą karczmarki, która wiedziała o mojem uwięzieniu i listownie przez kratę zniosła się z nami, stały moje cztery konie zaprzężone do karabonu, a przy nich o konie oparta karczmarka ze szkatułką w ręku.

Podziękowałem jej uściśnieniem ręki, wsiedliśmy na wóz i kazałem ruszać w imię Boże.

Woźnica konie zaciął i w ciemną noc ruszyliśmy na dół na prawo gościńcem, mniejsza o to dokąd, byle precz z tego fatalnego mieściska.

XII.

Wyjechawszy z onej gospody o dobrym zmroku, jechałem wprost gościńcem ku Wojniczowi i pewno już z jaką milę upaliłem podolską, zanim odgłosy rezurekcyjnych salw i dzwonów przestały mi szumieć w uszach, a dopiero widok miasteczka Wojnicza, o półtorej mili odległego od Tarnowa, obudził we mnie zupełną przytomność. Stanąwszy tedy na środku gościńca, uczyniłem z moimi sługami wielką naradę, jak jechać, gdzie i którędy? — i zgodziliśmy się wszyscy trzej na to, żeby jechać bez wypoczynku i wprost za Wisłę. O to tylko chodziło którędy? Ale i na to znaleźliśmy dobrą odpowiedź zaraz w pierwszej gospodzie; jakoż z niej wziąwszy sobie przewodnika, puściliśmy się ku Wiśle, a mianowicie ku Ujściu Solnemu i Opatowcowi, na całą noc.

Kto zna tamtejsze okolice i gościńce, temu się może dziwnem wydawać będzie, dlaczego ja wtedy z przed Wojnicza nie jechałem wprost dalej gościńcem ku Krakowu, ale w nocy puściłem się na małe i nieznajome mi drogi;

ale kto słuchał dawniejszych moich opowiadań, ten sobie przypomni, iż miałem siostrę rodzoną Jadwigę — rokiem starszą odemnie, a już przed laty dziesięciu wydaną za imć pana Krzysztofa Michałowskiego, herbu Poraj, stolnikowicza sandomierskiego, i mieszkającą na swoich własnych wioskach w Sandomierskiem — i temu zboczeniu mojemu cale się dziwić nie będzie.

Pomiędzy siostrą moją a mną w wieku naszym dziecinnym i pacholęcym była wielka przyjaźń i miłość, a to do tego stopnia, że nietylko to wyrobiłem u mego ojca, iż ją po zamężciu wraz z zięciem blizko rok jeszcze przytrzymał w Bóbrce, ale kiedy przyszło do pożegnania, przyrzekliśmy sobie najuroczyściej iż koniecznie z czasem tak się z naszymi majątkami uregulujemy, żebyśmy kopcami granicznymi przytykali do siebie. Ale, jak to zwyczajnie bywa na świecie, póki człek młody, to nie dosyć, że mu niezliczone mnóstwo najpiękniejszych rzeczy roi się po głowie, ale jeszcze zdaje mu się, że co tylko pomyśli za młodu, to to niezawodnie kiedyś wykona. I powiedz ty nawet młodemu, że tylko połowa jego planów olbrzymich jest czczym snem i marzeniem, których za lat kilka sam się wyprze albo zapomni, to się jeszcze obruszy na ciebie i powie, że go nie znasz i żeś mu jest nieprzyjaciel; — a tymczasem któż nie wie, jakiby to piękny był świat ten, gdyby tylko setna część snów młodzieńczych w rzeczywistość się zamieniła!

Takim też snem młodzieńczym, który snem tylko pozostał na wieki, był i ów plan nasz zbliżenia się z siostrą w sąsiedztwo. Po jej wyjeździe od nas ze swoim mężem, mój ojciec sam rządził przeznaczoną dla mnie połową fortuny i nie pozwalał się wtrącać do niczego. W cztery lata potem wybuchła wojna, w której i ja, zrazu dla zabawki, potem już z obowiązku służyłem. Śród wojny zaszła śmierć mego ojca — fortuna się została na Boskiej opiece i tak rok cały przetrwała. Po wojnie łatało się dziury w sercu i w fortunie znowu przez rok okrągły, do tego jeszcze kordon mnie odgrodził od siostry; a kiedy potem zapłonęła we mnie owa nieszczęśliwa żądza dziedzictwa, dalibóg że, lubo jeszcze nie byłem stary i pewnie tak samo siostrę kochałem jak dawniej, jednak już nowsze sny i marzenia tak wyrugowały dawniejsze, że te ostatnie ani mi na myśl nie przyszły.

Jednak teraz była rzecz inna. Począłem miłość i konkurencyę o czem jeszcze nic a nic nie wiedziała Jadwisia; przeszedłem świeżo takie terminy, które mnie w jednym momencie uczyniły wygnańcem i Bóg wie na jaki los całe życie moje podały; jechałem prosto gdzieś daleko, i jeżeli także nie na niebezpieczne okazye, to przynajmniej ze stałą determinacyą choćby życie położyć dla Zosi — więc choć teraz, najpierwszym i obowiązkiem i serca mojego pragnieniem było, widzieć się przed tem z Jadwisią.

Z Opatowca tedy, dokąd się szczęśliwie przeprawiłem przez Wisłę, prowadziłem podróż moją wprost dalej i dnia drugiego stanąłem w nieczujowskich wioskach. Tam jednak już mi Pan Bóg tak nie poszczęścił, jak się tego spodziewałem; siostrę bowiem zastałem słabą na ciele i srodze posmuconą na duszy z powodu straty ulubionego dziecięcia. Więc zamiast co miałem się przed nią wyspowiadać ze wszystkich moich smutków i miłości, zamiast w jednej rzeczy rady od niej zasięgnąć, w drugiej pomocy lub pociechy, to musiałem z bólem serca wszystko swoje starannie taić przed nią i jeszcze się zdobywać na słowa pociechy. Szwagrowi tylko, który był mąż cnót niepospolitych i dziwnie wzniosłego serca kawaler, opowiedziałem wszystko co do joty. Zafrasował on się tem nie pomału i rzekł mi:

— Wiele tu tego złego jest, panie bracie, więcej nawet niżeli, jak uważam, sam sobie liczysz. Bo i konkurencyę taką trzeba prawie na równi kłaść z nieszczęściem, i lekkość umysłu twego nie brać za szczęście; o procesie tarnowskim to już niema co i powiadać. Chwała Bogu żeś osobę twoją przynajmniej zeń wyratował, ale przyszłość twoja i fortuna uwięzła przy nim na długo, kto wie, może i na wieki.

— Jakto rozumiesz? — zapytałem.

— Całkiem po prostu — odpowiedział pan Michało-

wski — niema ciebie, to mogą zabrać twoją fortunę, bo kto wie jakie tam prawa. Ale ja cię tak nie zostawię, kiedy cię głos serca woła za Zosią, to jedź już z Panem Bogiem za nią, ale ja zaraz jutro pojadę do Bóbrki. Tego tak nie można zostawić, bo kiedy nieszczęście zechce, to wszystko możesz utracić, a tak, na razie przynajmniej choć gotowiznę ci uratuję i przecie coś zrobię około twojej sprawy, a kiedy nie, to choć się dowiem o wszystkiem.

Nie chciałem zrazu przyjmować tej od niego posługi, bo miał swoje gospodarstwo nie małe i, co gorsza, żonę słabą w domu, ale zważywszy, że siostra moja nie była tak bardzo słabą, a mnie tu w złym razie mogły grozić nie małe rzeczy, przyjąłem jego ofiarę z wielką wdzięcznością. Zwłaszcza kiedy jak zwyczajnie przyszło do tego, że moja siostra tego dnia jeszcze o wszystkiem się dowiedziała, to już ani mowy być o tem nie mogło, żebym tak został bez ratunku; ona bowiem spłakawszy się nademną jak dziecko, determinowała się sama raczej wstać z łóżka i pojechać do Bóbrki, niżeli mnie tak na los szczęścia zostawić. Zostało tedy przy tem, że Michałowski miał zaraz nazajutrz wyjeżdżać do mnie, i umówiliśmy się tak, iż on o wszystkiem co zrobi lub, o czem się dowie donosić będzie żonie, ona zaś mnie pocztą, lub gdyby tego potrzeba było, to i umyślnym posłańcem wprost do Oszmiany. Tak więc dnia następnego, rzewnemi żegnając się łzami, rozjechaliśmy się każdy w swoją stronę, nie wiedząc wcale kiedy i w jakich losach nam się Pan Bóg znowu widzieć dozwoli.

* * *

Podróży mojej dalszej opowiadać nie będę, nic bowiem w niej nie zdarzyło mi się osobliwego, i chybaby to tylko do osobliwości policzyć, iż z pod Sandomierza dnia trzynastego przed wieczorem znalazłem się koło Oszmiany, i słońce jeszcze miało z godzinę biedz ku zachodowi, kiedy ja już z pagórka o kilka staj tylko przed sobą ujrzałem wieś dziadkową, Z bijącem sercem i wielką niespokojnością zbliżałem się do niej, ale i ja mogę powiedzieć o sobie, że poznałem ją zaraz! Dworek drewniany z ganeczkiem o czterech słupach, na którego czele przybitą była Matka Boska ostrobramska, ze łzami w oczach i uśmiechem na licu, z dziedzińcem gładkim przed sobą, wysokimi okolonymi płotami, przez które bez turecki przechylał swoje gałęzie, a w którego środku stały trzy lipy rosochate, niegdy piorunowym ogniem osmalone; dworek ten, mówię, o którym tyle słyszałem i od dziadka, i od Murdeliona, jakżeby mi się był nie miał zaraz ze wszystkiem przypomnieć? — Nie wyglądał wprawdzie teraz ani on, ani jego okolica tak jak wtedy, kiedy dziadka wypędziła z domu owa bezecna macocha, lub kiedy Murdelio, ujrzawszy przed gankiem modlącą się sług Witowych gromadkę, tak był tym widokiem pochwycony choć za dyabelskie swe serce, że konia odwrócił i swego zbójeckiego zamiaru zaniechał, ani też tak, kiedy po świetle księżycowem krwawy ów napad w rzeczy wykonał; bo teraz była to dopiero połowa maja i ledwie pierwsza zieleń okrywała ziemię i drzewa, na łąkach jeszcze wody tu i owdzie stały i podrywało się z nich ptastwo błotne, szukające żeru albo noclegu; pługi krajały ziemię skrzętnie, rozsypawszy się po niej jak stado mrówek naokoło, skowronek jeszcze śpiewał swoje pierwsze piosenki, a słowik dopiero lutnię swą stroił; — jednak mając ów bór po lewej, w którym niegdy modlącego się łzami krwawemi dziadka, olśnił pożar macoszynego domu, i mając wszystkie słyszane opowiadania świeżo przywołane w pamięci — smutno się zamyśliłem.

Konie moje, długą forsowane podróżą, noga z nogi wlokły karabon po błocie, woźnica kiwał się na koźle i drzymał. Węgrzynek, jako sławny między gawiedzią geograf, ciekawie się rozpatrywał w około, a ja myślałem o owym domku drewnianym i sobie. O nędzny domku! ty, który już tyle razy naprzemian byłeś świadkiem i cnót wielkich i zbrodni, który chowałeś w sobie i anioły i gady, który między twojemi ścianami mieściłeś bezecną babę z obrzydliwymi gachami, i dawałeś na twej podłodze roz-

pustne za sieroce pieniądze lusztyki, który patrzyłeś na najszlachetniejszego z młodzieńców, obłożonego we własnym domu guzami, wyrzuconego za bramę, wyszczutego psami, a przecie nie mającego jeszcze złej myśli w sercu i poświęcającego wszystko dla pamięci swojego ojca i czci niepokalanego imienia, który byłeś świadkiem starodawnej cnoty sąsiedzkiej, opiekującej się skrzętnie sierocym groszem przez lat kilkanaście, który potem obejmowałeś w swych ścianach tyloletnie szczęście domowe i jakby łza czyste pożycie stolnikowej rodziców, który śród tego czasu wypiastowałeś śliczną jakby anioł i dobrą jak anioł panienkę, a która jednak była złą gwiazdą, prowadzącą za sobą tyle złości i zbrodni i krwi niewinnie rozlanej, i niespokoju i zmartwień, i nieszczęść dosięgających biczem swoim aż serca następujących pokoleń, który nakoniec sam świadkiem byłeś i zgody i niezgody jednego z potomków imienia, ich rzucenie się sobie w ramiona, a potem na siebie, ich gróźb i wyrzutów i przekleństw i napadów!... domku lichy i niepokaźny, cóż ty masz dla mnie w zanadrzu? co tam dla mnie chowasz pomiędzy twojemi ścianami? jaka z kolei chmura zawiśnie teraz nad dachem twoim, czy biała i przezroczysta, złotymi wesołego słońca obwiedziona brzegami, czy czarna, groźna i nowymi gromami ciężarna?...

Takiemi myślami zajęty, zajechałem przed ganek. Zrazu wydawało mi się, że cały ten dom jest pusty i że w nim nie masz nikogo, tak jakoś cicho było na dziedzińcu; ale kiedy się obejrzałem i wzrok rzuciłem na okno, serce mi tak uderzyło, że aż wykrzyknąłem z radości. Zosia była w okienku i wyglądała w dziedziniec na drogę. Poznawszy mnie, pędem strzały zniknęła w oknie i wybiegła do sieni, ja też także nie leniwo zeskoczyłem z wozu, i w jednem oka mgnieniu znaleźliśmy się razem na ganku, a ja drżący cały, ze łzami w oczach ściskałem już tę bielutką rączkę, której wtenczas może więcej jak nieba na wieczne posiadanie pragnąłem.

Milczenie wtórujące temu uściśnieniu trwało dość długo; ja przynajmniej, lubo przez drogę miliony wiadomości dla

Zosi zbierałem, teraz, jak mi Bóg miły, nie umiałem ani słowa powiedzieć, ale ona, zasłaniając chusteczką oczy dwiema ślicznemi łzami ozdobione, rzekła najprzód półgłosem:

— Myśmy myśleli, że pana Marcina gdzieś na drodze zabito.

— Dziękujeż wam za tę myśl — odpowiedziałem — bo prawda, że chyba tylko śmierć lub więzienie mogło mnie w tej podróży zatrzymać.

— Więzienie? Boże! — zawołała Zosia — któż waszmości śmiał więzić?

— Był taki co śmiał, ale to potem opowiem. Cóż tu się dzieje? mama?...

— Mama jest na zamku Piotrowiczowym — odpowiedziała Zosia z westchnieniem.

— Jest? chwałaż Bogu i za to — odpowiedziałem — już my ją stamtąd dobędziemy.

— Daj Boże! — rzekła Zosia i teraz wierzę, że mama nazad do nas powróci, kiedyś waszmość przyjechał. Ale chodźmy do dziadka, on się bardzo ucieszy pana Marcina przybyciem.

To mówiąc, otworzyliśmy drzwi po prawej stronie, wiodące do izby dość dużej, w której przy jednej ścianie siedział dziadek w poręczowem krześle; przy nim stoliczek mały po staremu z butelkami miodu czy wina, a za stolikiem drugi szlachcic, także już podeszłego wieku, ale mnie nieznajomy. Wszedłszy, przyskoczyłem do dziadka, witając się szczerze i serdecznie. A on też do mnie także od serca:

— Jak się masz Nieczujo? Widoczny to cud Boży, żeś tu przyjechał, bo pewno w niemałych być musiałeś obrotach; już ja myślałem, że cię zgoła zabito.

— Dziękuję jegomości za tę dobrą o mnie opinię — odpowiedziałem starcowi, całując go w ramię — zabić mnie nie zabito, ale mnie uwięziono.

— Uwięziono? jakże? toś waszmość był pod kondemnatą? — zapytał on szlachcic siedzący przy dziadku i pijący miód z kubka.

— Pod kondemnatą? uchowaj Boże! — odpowiedziałem — dopiero miano wypisać dekret na mnie, ale uciekłem przecie.

Na to dziadek:

— Siadajno, siadaj Nieczujo i powiadaj, co tam z tobą wyrabiali i za co, bo to doprawdy ciekawe rzeczy.

— Dobrze — odpowiedziałem — siądę i opowiem od deski do deski, ale pierwej nie, póki mi jegomość nie powiesz, co się tu dzieje; bo jużci to ciekawsza a nadewszystko ważniejsza.

Westchnął starzec na to i rzekł:

— Co się dzieje! źle jest, bo gdyby było dobrze, tobyś był moją córkę już tutaj obaczył. Ale w Bogu nadzieja; w Bogu i w jmć panach sąsiadach — dodał dziadek — którzy nas przecie nie opuszczą.

— W Bogu, w Bogu tylko panie, cześniku dobrodzieju — rzekł na to szlachcic — bo my chociaż całym powiatem staniemy przy waszmości, to jednak tylko nasz obowiązek zrobimy, tak jakeśmy już raz zrobili, kiedy po raz pierwszy córkę jegomości z tego przeklętego zamku dobyli. Ale jak się to pierwszy raz dało zrobić z łatwością, tak i teraz się zrobi; bo czy to się niema dość siły na to? czy się to nie zna każdej dziury w tym zamku?...

Ja się na to popatrzyłem na tego szlachcica, ciekawy ktoby to był, który tak zna wszystkie dziury w Piotrowiczowym zamku, co spostrzegłszy dziadek, rzekł zaraz, wskazując ręką na niego:

— To jest jmć pan Gintowt, teraz cześnik wendeński, a niegdy plenipotent pana Ignacego, ten sam, który...

— Wiem, wiem — przerwałem dziadkowi — który niegdy pół załogi zamkowej spisał przeciw Murdelionowi i panią stolnikową wywiózł, aby ją oddać ojcu.

Tak jest ten sam — rzekł pan Gintowt, ściskając mi rękę — wtedy był młody i czerstwy, a dziś już stary i siwy, jednak i dziś jeszcze, da Bóg, z równem szczęściem będzie głównym motorem takiejże samej imprezy.

— Daj Boże — odpowiedziałem na to — tylko, że

to dziś, trzeba będzie podobno bić z wierzchu na zamek, nie tak jak pierwej, wymknąć się tylko ze środka.

— Nic to nie wadzi i to się potrafi. Na przyszły wtorek mamy tu sejmik powiatowy w Oszmianie i ja tam będę, a jaką szlachtę i ile jej stamtąd przywiozę, to waszmość obaczysz i sam osądzisz, czy można z nią bić na zamek, czy nie.

— Ślicznie to waszmość mówisz — odpowiedziałem — czy tylko zechcą przyjechać?

— Ja bo waszmości nie koncept z głowy powiadam, tylko rzecz dokumentną; przecie to już jest udeterminowane.

Dopiero dowiedziałem się całej rzeczy, która była następującą.

Murdelio, porwawszy stolnikową z Źwiernika, jak i kiedy z nią dojechał do swego zamku, tego nikt wtedy nie widział i do dziś dnia nikt nie wie, powiadam to, bo mi rozum tak mówić każe; jednakże stał się przy tem porwaniu jeden szczegół dziwny i nieodgadniony, który swojego czasu potwierdzony był świadectwami dwóch prawie całkowitych powiatów to jest: pilznieńskiego i oszmiańskiego, a pomimo to jednak dzisiaj u nikogoby wiary nie znalazł. Szczegół ten zasadzał się na tem, że zaraz następnego dnia po owej fatalnej nocy, w której Murdelio porwał stolnikową w Źwierniku, wieść się rozeszła po powiecie oszmiańskim nie o tem, że Piotrowicz porwał panią Strzegocką z jej domu, ale o tem, że ją już przywiózł do siebie, a nawet byli tacy, którzy go dnia tego rankiem widzieli wjeżdżającego dwiema brykami w zamkową bramę. A przecież to była przestrzeń mil stu dwudziestu! — Kiedy mi to opowiadano, na żaden sposób nie chciałem wierzyć i mówiłem Gintowtowi do oczu:

— Ale już wy mówcie co chcecie, ja w żaden sposób nie uwierzę. Człowiek tego żadną siłą zrobićby nie potrafił, a chociaż nie mało ludzi gadają o tem, że żywe dyabły chodzą po ziemi i niektórym ludziom nawet w ich sprawach dopomagają, to już daremne, ale póki ja co takiego na własne oczy nie ujrzę, póty też nie uwierzę.

Prawda, że nie mówię już nadzwyczajne, ale nawet i zwyczajne rzeczy tego Piotrowicza, dużo dyabelstwem trącą, nie zaprę się nawet tego, że i mnie samemu o nim nie raz się co takiego przywidywało, że doprawdy trudno to sobie po prostu wytłumaczyć, ale czy to jednego człowiek nie rozumie w tem życiu, a przecie zaraz nie nazywa dyabelstwem?

Na to Gintowt:

— I dobrze waszmość w tej materyi mówisz i nie dobrze; bo chociaż to nie bardzo się chce wierzyć w dyabły człowiekowi takiemu, który ich nigdy nie widział, toż jednak jakże znów nie wierzyć, kiedy w nich wierzy cała Litwa? — Pana Piotrowicza, o którym mowa, ja sam znam tak blisko, jak mało który z sąsiadów, bo, Panie Boże mi odpuść, służyłem u niego lat kilka; lecz co się tyczy dyabelstwa jego, to Bogiem a prawdą, sumiennie nie mógłbym ani tak, ani owak zaświadczyć. Widziałem ci ja nie jedną taką rzecz po nim, przed którą się ludzie żegnają, i jam się żegnał, ale zawsze daleki byłem od tego, żeby aż dyabła w nim widzieć; i jeżeli przyszło do tego, żem jego służbę samowolnie porzucił, to nie inny był powód temu, jeno ten, żem się o jego szkaradnej nieuczciwości przeświadczył. Wieleby to dziś gadać o tem i dalekoby sięgać potrzeba, żeby życie tego człowieka doskonale wyświecić, ale ilekolwiekbym nagadał, to zawszebym w tej rzeczy tak rozumiał jako i dziś powiadam, a to: że ani ci którzy go szczerym dyabłem być powiadają, ani owi, którzy go tylko bardzo złym człowiekiem być mienią, nie mają racyi, bo któż zaprzeczy, że można nie być dyabłem, a jednak mieć pomoc dyabelską?... Ale co się tyczy tego teraźniejszego jego przybycia tutaj, to wierz sobie waszmość lub nie wierz, a ja ci to jeszcze powtarzam, że o samem środopościu! w dzień św. Pankracego wyznawcy, byłem tu u pana Żaby w sąsiedztwie, i właśnie siedzieliśmy sobie przy piwku marcowem, rozmawiając to o tem, to o owem, kiedy wpadli do niego pan Kasper Magnuski i Jur z Borowiczek i powiedzieli nam, że dyabeł wenecki ukradł panią Strzegocką mężowi gdzieś na Mazurach i dziś o świcie przywiózł ją na swój zamek. Jeszcześmy się sprzeczali o to, że pani Strzegocka nie ma już męża, bo ja sam byłem na nieboszczyka stolnika pogrzebie, czego wszystkiego świadkiem był pan Żaba, który, kiedy mnie wiary niema, sam to waszmości przytwierdzi, a zresztą i wszystka szlachta z okolicy, bo tegoż dnia jeszcze wiadomość ta rozeszła się najmniej na pięć mil na około.

Tak mówił Gintowt, a tymczasem rzecz znowu była pewną i przez cały pilznieński powiat potwierdzoną, że Murdelio panię stolnikową ukradł w samą wigilię św. Pankracego wyznawcy. Sto dwadzieścia mil z czubem upalił jednej nocy ten dyabeł wenecki.

Ale powracając do rzeczy, opowiadam dalej, iż skoro tylko wieść o tym czynie Piotrowiczowym rozeszła się po okolicy, to tak szlachtę tamtejszą, wedle świadectwa dziadkowego, najpoczciwszą pod słońcem, oburzyło, że aż chciała churmem na zamek uderzyć. Ale z onego napadu zamierzonego w pierwszym impecie ledwie pamiątka groźby została. Jednakże szlachta, pomimo to, że się wyburzyła od razu, nie długo potem dała dowód tego, że w tej sprawie przynajmniej i na zimno nie myślała inaczej, jak na gorąco; bo skoro dziadek pojawił się w wiosce swojej, zaraz też wszyscy sąsiedzi przyjechali, nie tylko z oświadczeniem dawnej i do dziś dnia nie wygasłej dla niego przyjaźni, i nad teraźniejszem jego nieszczęściem kompasyi, ale nawet z uroczystem zapewnieniem, że panią Strzegocką wydobędą z zamku a Murdeliona rozsieczą, za wstyd i hańbę wyrządzoną wszystkim. Gdyby kto inny był w miejscu dziadka, albo gdyby pan cześnik jeszcze teraz miał by tę krew i fantazyę, jaką miał kiedy sługiwał w chorągwi i za Sieniawczykami uganiał się po Rusi, toby był dotychczas umiał już ukuć co z tego żelaza, które mu samo podawało się w kleszcze; a ja kiedym przyjechał, byłbym już zastał stolnikową u ojca, a z Piotrowiczowego zamku ledwie gruzy i zgliszcza, ale nie darmo to mówią, że starość nie radość: dziadek do dziś dnia nic jeszcze nie zrobił. A boćwinkowie, łubo lud setny, bo znam ich, gdyż z nimi służyłem, jednakże bez przynuki sami nic nie zro-

bili. Oni, wyspoczywawszy się przez lat parę po wojnie ostatniej, której mało doznali złych skutków, dziś radzi byli, że ich co nowego zbudziło ze snu; więc zamiast rzecz tak małą od razu zacząć i zakończyć, zabawiali się tą nowiną i różnymi dla niej wykuwanymi planami, przygotowując się na ten lichy zjazd, jakby na wielką wojnę. Więc najpierw urządzili pomiędzy sobą kolej, po której co dwóch co nocy przyjeżdżało do dworu pana Wita i tam trzymali nibyto szyldwach, na wypadek jakiego niebezpieczeństwa; inni śród tego czasu robili podjazdy pod zamek, bawiąc się po żołniersku chwytaniem wieści o sile i innych zasobach nieprzyjaciela; pan Gintowt siedział wciąż u pana cześnika i odbierając codziennie raporta a właściwie li plotki, trutynował je ze staruszkiem i ze wspólnych narad wynikające codziennie wydawał rozkazy; młodzież zaś inna, owi to młokosikowie, którzy nigdy na życiu w żadnej nie byli potrzebie i sposobiąc się do lada burdy powiatowej, zazwyczaj okrutnie srogie miny robią, wiele krzyczą, latają i po żołniersku się prężąc, wielką okazują służbistość, aż póki im dobrze kto skóry nie nagarbuje i nie poznają sami, że bitwa to nie zabawka, a harcowanie na pięknym koniku to jeszcze nie służba — ta młodzież, jako zwykle, to na koniach, to wozikami, tak latała po całej okolicy, że kto obcy byłby przysiągł na to że tam się przygotowuje wielka wojna. Tymczasem zaś Murdelio, jako opowiadały wieści, trzymając stolnikową pod dobrą strażą, zamek jak mógł opatrywał, swoich ludzi uzbrajał i przez powierników wysyłanych na okolicę, tak różną hołotę i tak wiele jej zbierał, że już do dwóchset głów samego teraz nowo uformowanego wojska liczono na tym dyabelskim zamku. Ale jak i gdzie tam panią stolnikową trzymano na zamku i jak się z nią obchodzono, o tem napróżno starano się dowiedzieć.

Więc kiedy tak siedząc przy miodzie, obadwaj staruszkowie opowiadają mi te wszystkie szczegóły, rzeknę ja do nich:

— Bardzo to wszystko ładnie, co mi tu waszmość opowiadacie; ładnie że sąsiadów ta sprawa tak żywo obeszła, ładnie że po kolei strzegą jegomościnego dworku, ładnie że się przygotowują i obiecują na zamek uderzyć, tylko to jedno nie ładnie, że właściwie dotychczas nic jeszcze nie zrobili; bo czy to taka czy siaka impreza, to nigdy nie rozumiem takiej polityki, żeby dla kilku przysposobić się mających szabel lub koni, dawać czas nieprzyjacielowi do wzmocnienia się i przygotowania.

Gintowt słuchał i wpatrywał się we mnie gdym mówił, a kiedym skończył, spytał mnie zwolna:

— Waszmość służył gdzie w wojsku?

Ja też na to:

— Służyłem i to nie tylko w wojsku, ale we wojnie, a co mówię, to z doświadczenia.

— No, to waszmość czynił swoją praktykę z Mazurami i z nimi może wiesz jak poczynać, ale u nas inaczej.

— Prawdę to jegomość mówisz, że u was inaczej, ale ja-bo wiem jak i tutaj, bo i z wami się sługiwało i dlatego właśnie to mówię.

-- Jakto? — rzekł na to Gintowt — to waszmość o Litwinach powiadasz, że kiedy im się co odwlecze, to i uciecze?

— Ja tego nie powiadam już całkiem na pewno, jeno tak suponuję, a i to nie bez pewnego powodu, bo stołowicka potrzeba stoi mi jakby dziś przed oczyma.

Tu jmć pan Gintowt, niebieską kwiecistą chustką nos utarłszy i pociągnąwszy pół kubka miodu, zaczął *per longum et latum* opowiadać stołowicką potrzebę. Zosia siedziała w tymże samym pokoju pod oknem, a ja, nie widziawszy jej sześć tygodni, ledwiem się z nią był przywitał! Gadał więc Gintowt swoją rzecz bez przestanku, a mowa jego podobną była chodowi wyuczonego konia, który równym stępem czesze milę, dwie albo i dziesięć; ale ja już i uchem, i okiem, i duszą całą byłem przy Zosi i czekałem tylko sposobnej chwili, aby się od rozgadanych starców oderwać. Jednakże ani myśleć było mi o tem, bo lubo stary ten konfederat zrazu ciął swoją sztukę, nie oglądając się wcale na usposobienie słuchaczów, toż jednak później, kiedy przyszedł z kolei na takie fakta, którymi

moją opinię przerobić miał nadzieję, z pospolitego szlachcica stał się niepospolity a umiejętny orator. I nie przestawał on już natenczas na samem opowiadaniu, ale w swojej zelozyi pragnął zarazem, aby co powie było potwierdzonem przezemnie. Rzucał mnie więc ustawicznie pytania albo do połowy tylko doprowadzone peryody, których dokończenia wyczekiwał odemnie, a kiedy widział, że mu odpowiadam ni to ni owo, to mnie brał za rękę, szarpał za frendzle u pasa albo za połę żupana, a kiedy i to nie pomogło, to wstawał, i położywszy ciężką kościstą rękę na mojem ramieniu, podniesionym głosem i w samo ucho wrzucał mi swoje nieodwołalne sentencye. Jakem się kręcił na stołku, z jaką grzecznością kiwałem na wszystko, a przytem ile cierpiałem natenczas, opowiadać nie będę, bo komuż dziś nie są znane smętne kochanków cierpienia? — Ale pan Gintowt był już stary i nie znał się na miłości, więc ani nadziei nie było aby się zlitował nademną i z swoich objęć oratorskich mnie puścił; musiałem tedy cierpieć i słuchać, ale byłbym był Pan Bóg wie co dał za to, gdyby mu kto był przerwał tę arcywymowną obronę. Jakoż wysłuchał Bóg prośby mojej, bo kiedy jmć pan cześnik wendeński, przyjąwszy z rąk dziadka świeżo napełniony kubeczek miodu i wypróżniwszy go do połowy, szeroko odetchnął piersiami, ażeby zrekapitulowawszy wszystkie motiwa, ostatecznym do mnie wystrzelić argumentem — drzwi się otworzyły z łoskotem i dwóch młodych Litwinów, na których kolej owej nibyto służby przypadła tej nocy, weszło do izby. Pan Gintowt, chcąc nie chcąc, musiał przerwać swoją oracyę, a podczas kiedy dziadek powiadał mi nowo przybyłych nazwiska i tytuły i nawzajem im moje, wniesiono nowy zasiłek miodu, do którego zasiadłszy, oczywiście nowa musiała się zacząć rozmowa. Jeden z tych bardzo młodziutki, ale zadzierżysty kawaler, właśnie jeden z takich, o których dopiero co wspominałem, że okrutnie bębnią słowami przed lada jaką praktyką, był do tego jeszcze jakiś daleki powinowaty dziadka przez nieboszczkę panią cześnikową, to też, pociągnąwszy zaraz ze dwie szklanice, kiedy to pocznie bić na zamek Murdeliona, to aż włosy na głowie powstawały od samego słuchania.

— Ho ho! mospanie! — gadał on młodzik, na nieszczęście obracając się do mnie — waszmość ani wyobrażenia nie masz jaką my kurtę wykroimy temu dyabłu weneckiemu! Ja sam mam więcej trzydziestu ludzi zebranych z sąsiedzkiego zaścianka i czekam jeno na wtorek. Ale to nic jeszcze! przyjedź-no waszmość na wtorek do Oszmiany, mamy tam sędziów obierać, ale kat ich będzie obierał! Od pana Żaby przyjdzie tam sześć beczek miodu, od pana Zembrzuskiego pięć, od Jokity trzy miodu a jedna gorzałki, jegomość pan cześnik dobrodziej ma już cały wóz z jadłem i napojami nagotowany, ba i odemnie pójdzie furka z wędliną, kołdunami i beczką wina, co mi mama podarowała. Otóż kiedy to wszystko zajedzie, a kiedy to stanie, ot! pan Gintowt dobrodziej, pan Magnuski orator, Demostenes z Zalasówki, i Seneka Giembutowicz z gębami a Jur z Borowiczek i my za nim.

— Ba! Jur z Borowiczek! — poderwał drugi Litwin dyżurny — pewno że kiedy ten się weźmie do czego, to tam nie ma już co poprawiać.

— Ba! to nie nowina! — odpowie znów młodzik — dlatego też ja najpierwej jemu rzecz zakomunikowałem! Zrazu nie chciał i ociągał się, powiadając: A co mnie do tego, że kto babę wykradł Mazurom! to niech się Mazury pilnują! a zresztą wartoż-to wojować o starą babę, jeszcze do tego z dyabłem? Bo to przecie stolnikowa kiedy szła za mąż, to ja jeszcze i szabli udźwignąć nie mogłem i teraz się będę bił o nią, żeby mnie wzięli na języki i gadali co im się podoba! Nie chcę, dajcie mnie pokój! mnie Piotrowicz nic nie zawinił. — A ja jemu na to: — Ale mój Jurciu! co tobie do tego czy to o młodą, czy o starą rzecz idzie? co ci na tem? wszakże kiedy panią stolnikową odbijać będziesz, to nie dla siebie, ani sam pójdziesz na tę wyprawę, jeno pójdziemy wszyscy! a zważaj sobie to, że jakoś nieładnieby było, żeby przy takiej imprezie Jura z Borowiczek nie było! Zważ że i to — powiedziałem — że, lubo nam bardzo wiele na tobie zależy, to jednak czy

ty pójdziesz, czy nie pójdziesz, zawsze się ruszymy i pociągniemy pięknie, a kiedy ciągnąć będziemy, to jużci nie bez tego, żeby ten lub ów nie zapytał: a gdzież nasz Jur z Borowiczek, co nas wodzi po wszystkie czasy, że go nie widać na przedzie?... Wstyd mi będzie powiedzieć, ale trudnoż zmilczeć, że Jur siedzi za piecem.

Kiedy tak opowiadał młodzik, w pierwsze wybierający się pole, jako doświadczonego wszystkich zajazdów przywódcę z wielką pracą dla tej sprawy kaptował, Gintowt siedział milczący i popijając miodek powoli, chmurzył się coraz bardziej i słuchał, a kiedy tamten, wyrecytowawszy i wszystkie swoje i owego Jura przy onem kaptowaniu mówione słowa, na tem zakończył, że przecie nareszcie Jura do tej sprawy namówił, Gintowt pociągnął jeszcze raz miodu i rzekł:

— Dziwuj że się tu czemu mospaneńku, kiedy taka młodzież się rodzi! Toż to ja sam w mojej osobie, jako już powiadałem, siedziałem już z panem Żabą w jego domu przy piwku marcowem, kiedy wpadli pan Kasper Magnuski i tenże sam Jur z Borowiczek, i pierwsi przywieźli nam wiadomość o wykradzeniu pani stolnikowej i osadzeniu jej na zamku Piotrowiczowym — i sam w mojej osobie słyszałem, jako Jur, opowiedziawszy zdarzenie, rzekł do mnie w te słowa: „Cóż panie Bartłomieju? nie porać to do zajazdów i ma już człek tego dosyć, ale tu trudno! hańba to wyrządzona całej okolicy; trza snać będzie uderzyć na to gniazdo dyabelskie,“ — a ten tu młokosik, który pewno aż w jakie kilka dni potem dowiedział się o tej rzeczy, powiada mnie w żywe oczy, że on Jura skaptował! Tfe! A myszy żeby do waszego domu wlazły, tobyście ich szukali! A z muchami wam wojować po ścianach! Tfu!

— Ale panie cześniku dobrodzieju! — poderwał znów młodzieniaszek — ja nie powiadam żeby Jur z Borowiczek nie pierwej odemnie wiedział o tej rzeczy, ale że z początku inaczej o niej rozumiał niż teraz, to pewna! Przecież ja powiadałem wyraźnie...

— Ale co ty powiadałeś — zawołał Gintowt — co

ty masz do powiadania! ty nawet gęby nie powinieneś otworzyć, aby mówić o Jurze. Byłeś ty takim towarzyszem albeńskim, którego cała Alba nosiła na rękach; byłeś nie sługą ale przyjacielem księcia pana; byłeś w jakich kilkuset potrzebach a zawsze w największym ogniu; służyłeś pięć lat krwawym trudem, brałeś niedźwiedzie oszczepem, szukałeś niebezpieczeństw na własną rękę po Węgrzech, po Multanach, po Tureczczyźnie, odprawiałeś z jakie dwadzieścia zajazdów, ze sto pojedynków? he?... Otóż kiedy to wszystko odprawisz, to wtedy będziesz mówił o Jurze, jak o twym równym.

Zmieszał się trochę młokosik; ja myślałem że już zgoła uderzy się w piersi i umilknie, ale gdzie tam! ledwie co przebrzmiał głos Gintowtowy, on się znowu poderwał i dalejże w argumenta, usiłując jeżeli już nie dowieść koniecznie, że w rzeczy on Jura skaptował, to przynajmniej siebie z zarzutów obronić. A podczas kiedy Gintowt rad nie rad na każdy argument odpowiadać musiał, i stąd się rozpoczęła wielka między starością i młodością dysputa, ja, jako nie mogący stawać ani z tej, ani z owej strony i przez nikogo już nienagabywany, pochwyciłem tę porę aby od nich uciec a zbliżyć się do Zosi.

Ale Zosi już nie było w tej izbie. Serce niewinne i tkliwe a do tego różnemi uczuciami ścieśnione nie może znieść gwaru i krzykliwej rozmowy, niemych świadków nawet nie lubi i najswobodniej mu w samotności. Więc kiedy w pierwszej izbie wojennymi planami zajęci mężowie wadzą się z sobą o Jura z Borowiczek, a potem znowu w niemniej gwarliwej dyspucie układają środki zjednania szlachty, porządek zajazdu i rodzaj dobycia zamku: w drugiej izbie, przy maleńkim stoliku, na którym smutny płonie kaganek, siedzi Zosia nad książką i modli się Panu Bogu gorąco, aby dobył matkę z więzienia i oddał sierotom. Opodal od stołu na drewnianym zydelku, pod ścianą, cała cieniem zakryta, siedzi staruszka ochmistrzyni, ta sama, która niegdy ochmistrzowała stolnikowej za czasów jej panieństwa i pochyliwszy głowę na piersi a ręce złożywszy jak do pacierza, wtórzy w duchu modlitwom sieroty, wzbi-

jającym się jakby promień jakiej zbłąkanej gwiazdy, wprost na łono samego Boga.

Kiedym próg przestępując, obaczył tak cichą a jednak tak uroczystą z Panem Bogiem rozmowę, przystanąłem na progu i chciałem, przypatrzywszy się tylko cokolwiek, nazad do pierwszej izby powrócić; ale Zosia mnie natychmiast ujrzała i prawie mimowolnie rzekła:

— Panie Marcinie.

Przystąpiłem bliżej, ale już po raz drugi nie wiedząc od czego zacząć ową rozmowę, w której tysiąc rzeczy miałem do powiedzenia, usiadłem tylko koło niej i milczałem. Na to ona znów do mnie, ale bardzo smutnym głosem:

— Panie Marcinie! czy wróci mama do nas, czy już nigdy nie wróci?

— O! wróci, jak Bóg na niebie, tak wróci!

— Och! Boże! — zawołała ona na to ze łzami i oparłszy główkę o ręce położone na stole, płakała.

Płacz ten, któren pewnie tyle ważył u Boga co najgorętsza modlitwa, trwał długą chwilę, przez którą ja, także ze sercem ścieśnionem i złożonemi rękami, siedziałem smutny i milczący. Nareszcie Zosia podniosła głowę, teraz łzami zalaną, otarła i rzekła do mnie:

— Panie Marcinie, pilnuj-że waszmość już tej szlachty, żeby zrobili, co obiecują, bo oni będą krzyczeć, hałasować, odgrażać się, a nakoniec rozjadą się i nic nie zrobią.

— Niech się panna Zofia już spuści na mnie — odpowiedziałem — ja wyrozumiałem rzecz jak należy i miarkuje sobie, co mi potrzeba, a kiedybym i dziś się przekonał, że oni sami nic nie zrobią, to już ja wiem gdzie czego szukać. Niech panna Zofia będzie spokojna; pani matkę uważam za swoją własną.

– Niechże Bóg to waszmości stokrotnie nagrodzi! — odpowiedziała Zofia. — Kiedy pan przyjechałeś, to ja wierzę, że i mama powróci.

Przycisnąłem usta moje do jej malutkiej rączki, a ona do mnie:

— Ale cóż-to się tam z panem działo w Tarnowie?

Na to pytanie musiałem opowiedzieć obszernie; poprawiwszy się więc na zydlu, opowiadałem jej zdarzenie za zdarzeniem, szczegół za szczegółem, tak jak się działo w istocie. Zosia słuchała mnie z wielkim zajęciem i z wielką uwagą, a żywe współczucie malowało się na jej twarzy. Kiedym przyszedł do tego dnia, w którym ów baron niemiecki mnie po raz pierwszy nawiedził, przerwała mi Zosia, mówiąc:

— I Holmfels waszmości wydobył?

— Nie, nie wydobył — odpowiedziałem — bo nie mógł, ale jednakże dał mi dowód takiej przyjaźni, że wielkie ukontentowanie byłoby to dla mnie, gdybym mu się mógł za to wywdzięczyć.

— A wie pan — rzekła Zosia — że temu baronowi Zuzia się bardzo podobała? Co jej nie nagadał wtedy!

— To wiem — rzekłem — bo on mi to sam powiadał, alem mu radził, aby sobie to wybił z głowy, bo jej ani się śni o nim.

— A nie! — zawołała Zosia — on jej się może jeszcze więcej podobał!

— Jakżeż? — rzekłem oburzony — to jest po zaręczynach z Konopką i tamtemu ledwie głowa nie pęknie od samych jej grymasów, a teraz jej znów się baron podobał?

— O! o! jej się co chwila inny podoba; to nic nowego.

— Życzęż ja szczęścia panu Konopce, ale mu go nie zazdroszczę.

Poczem dalej opowiadałem moje fatalizmy aż do samego końca, których wysłuchawszy Zosia pięknie, rzekła do mnie:

— Chwałaż Bogu, że panu Marcinowi przynajmniej z więzienia umknąć się udało; żebyż choć się na tem skończyło.

— A! ja też tak sprawy nie zostawiłem...

Wtem dał się słyszeć z drugiego pokoju głos dziadka, wołającego Zosię do siebie. Ona też porwała się z miejsca i powiedziawszy do mnie:

— Zostań pan tu, ja tu zaraz powrócę — wybiegła do dziadka. Tymczasem staruszka ochmistrzyni przysunęła się do mnie i popatrzywszy mi w oczy, spytała:

— To to jespan konkurujesz o pannę Zofię?

— A... nibyto ja — odpowiedziałem cale nieprzygotowany na takie pytanie.

— To jespan z Mazurów? — spytała znowu ochmistrzyni.

— Nie tak z samych Mazurów jak z ziemi sanockiej, która do województwa ruskiego należy.

— Aha, z sanockiej... a długo to już trwają te waścine amory?

To mi już nadto było, jakoż po tem pytaniu rzuciłem się trochę; jednakże zauważywszy, że słowo starej ochmistrzyni czasem nie mało waży w całym domu, starałem się być grzeczny i odpowiedziałem:

— O amorach nic nie wiem, a o względy i łaskę u panny Zofii i całego domu staram się od połowy zapust.

— Acha, acha! to wszystko dobrze; jespan jesteś niczego familii, znałam kilku Nieczujów, znałam i ojca waścinego, kiedy wziąwszy słowo od panny Mężykówny, przyjeżdżał tu do mojej siostry, pani starościny Trockiej, prosić o błogosławieństwo. Tęgi to był człowiek swojego czasu.. i jespan widzę niczego kawaler, sługiwał w wojsku jak słyszę, ma niczego fortunę, rozamorował się podobno w Zosi na umór, przeleciawszy za nią z półtorasta mil, aż z Mazurów, i wszystko to dobrze... ale na co takich amorów? znowu będzie jakie nieszczęście.

— Z mojej przyczyny, moja mościwa pani, pewno żadnego nie będzie...

— Tak, tak, nie będzie. Takto było i z Hanią, a teraźniejszą Strzegocką! Com się nagadała, com się naprosiła, co naperswadowała, przepowiadając że to człek taki, a taki, że się chował za morzem, Bóg wie pomiędzy jakimi ludźmi, że nabrał obyczajów nie ludzkich, że tu przyjechał i ludzi napada, drugich rozbija, kilku nawet powiesił, że jak mówili domownicy, z jakimiś nieczystymi duchami ma konfraternią, że go aż dyabłem nazywają weneckim — nie i nie, choćby mnie zabić miano, kocham i kocham na śmierć i na wieki. I otóż masz kocham!

— Ha! tak to, tak, mościa pani — rzekłem ja na to staruszce — miłość u kobiety to nie zabawka, ale rdzeń i miazga całego życia; bij i zabij, a prędzej podobno duszę wypędzisz z ciała, niż miłość zakorzenioną z serca.

— Niema co mówić, trafia to się u kobiet, ale też to źle jest i niedorzecznie. Bo przecież i ja jestem kobietą, i ja swego czasu wiedziałam co miłość, ale to dawniej nie tak bywało; nie nazywano tego nawet miłością, tylko, jak należy, afektem. Ja też mówiłam Hani: Co ci zależy na tym Piotrowiczu? czy koniecznie ten już najlepszy? moja Haniu, mało ty jeszcze znasz tego świata, a kiedy go więcej poznasz, to się snadnie przekonasz, że jeden mężczyzna tak jak i drudzy, a wszyscy takuteńcy jak jeden. Nie, nie i nie! ja tylko tego. Przy takich afektach panny, a tak uporczywym amancie, bo to jespan nie znasz pana Ignacego, co to za gwałtowny jest człowiek, dziwnoż to, że te amory za daleko się posunęły? — Ja, Panie Boże mnie skarz, jeżelim choć się domyślać mogła... aż tu jednego wieczora, bach! pan Wit wszedł z nienacka do alkierzyka Hani i na własne oczy obaczył, jak pan Ignacy Hanię w gębę całował. No, nie taka to wielka zbrodnia, ale u starego, co to bywało dawniej cały dom przed nim chodził jak klawisze, zaraz to była już Sodoma. Co się tu działo wtenczas, niechże i piekło się schowa, bo i stary nie w zimnej wodzie kąpany... Ja jeno uklękłam przed obrazem Matki Najświętszej, prosząc żeby mnie tylko nie zabił... chociaż to ja mu dość blizka, bo przecież nieboszczka matka jego a moja matka były sobie przyrodnie... ale przeszło to jakoś. Wpadł jeno do mnie i z największą pasyą a z ściśnionemi pięściami powiedział mi w oczy: Do samej śmierci jejmości tego nie zapomnę! — Nie wiemże, jak tam jest, czy zapomniał, czy nie? nie powiadał co jespanowi?

— Nic, mościa pani, nic mi o tem nie wspominał pan cześnik.

— Hm! to źle — mówiła dalej ochmistrzyni — bo

to widzi jespan, człowiek dziś jutro, a Panie Boże mnie skarz, jeżeli przy skonaniu mi jaki inny grzech na sumieniu zaciąży prócz tego. A za grzech sobie to mam, żem za mało oka miała na Hanię, chociaż Panem Bogiem się świadczę, że i sto ócz byłoby nie pomogło. Bo przecie potem porwał ją z domu rodzicielskiego, wywiózł na swój zamek, ojcu tyle tem zadał frasunku, że myślałam, że umrze stary od samych łez i żałości... ba! i odbili ją nazad, i poszła za mąż, i mąż ją odumarł, a kiedy jej potem za jakiego kaduka przebrany pojawił się pan Ignacy, to tak na nowo waryować poczęła, że aż ją stary wywieźć musiał na Mazury. Więc coby tam było moje pilnowanie pomogło?... Ale stary tego nie wiedział i wierzyć temu nie chciał, kiedym mu to powiadała, i całą winę złożył był na mnie. Nie wiemże ja teraz?... toć to i to wykradzenie teraźniejsze... hm! nie chcę zresztą sądzić... ale hm! a niemógłby jespan tak zdaleka dowiedzieć się od pana Wita?...

— Cóż? czy jejmości jeszcze oną dawną winę pamięta?

— To to — odpowiedziała staruszka — bardzobym chciała wiedzieć... może by jeszcze... hm! bo jak tu z braterskim gniewem na sobie pokazać się przed Panem Bogiem? — I ocierała łzy biedna ochmistrzyni.

Ja też perswadowałem:

— Ej! nie płacz jejmość, uspokój się, już ja to biorę na siebie, że pan Wit sam jejmości powie do oczu, że jej nic nie pamięta.

— Nie chcę, nie chcę tego! niechaj Bóg broni! — zawołała ona na to — jabym umarła ze wstydu na samo to wspomnienie. Niech jespanowi powie że mi zapomniał.

— Dobrze, dobrze, to on mnie powie.

— Niechże ci Bóg nagrodzi. A za to przyjmże tę radę ode mnie, że nie dobrze sobie amorami głowę nabijać, bo wiem ja coś i o waszeci. Siła mi tu Zosia nagadała różnych rzeczy, a dalibóg że to nie dobrze. Zawsze będą jakie nieszczęścia, bo podobno jest i drugi konkurent? Słuchaj waść... sfolguj trochę, sfolguj trochę, jeżeli mnie dobrze życzysz.

— Ja jejmości życzę jak najlepiej, ale jakem Nieczuja, tak nie rozumiem w czem mam folgować.

— Sfolguj trochę w afektach, bo to dziewczę w tobie tak rozszalone, że doprawdy przyjdzie do jakiego nieszczęścia.

— Ale do jakiegoż nieszczęścia, moja jejmość kochana? Prawdą jest, że ja mam wielki afekt dla panny Zofii, i jeżeli ona go ma dla mnie, to chwała Bogu! ale ażeby przyjść miało do jakiego nieszczęścia, to żadną miarą nie może być, boć ja przecież, nie chwalący się, mam głowę i serce na swojem miejscu. Zresztą nie widzę nawet, jakieby powody ku temu mogły być, bo wątpię, żeby mi po drugi raz jeszcze odmawiać chciano.

— O tem ja nie wiem — odpowiedziała staruszka — czy jespana już przyjmą, czy nie przyjmą, bo w konkurach dopiero wtedy jest pewność, kiedy państwo młodzi wracają od ołtarza; dlatego też sfolguj i sobie i Zosi w tych afektach, bo na zły wypadek znowu będzie jakie nieszczęście.

Ja też na to:

— Jejmość pani, jak widzę, tak prestraszoną jesteś nieszczęśliwym losem pani stolnikowej, że już dziś w każdym kawalerze widzisz Piotrowicza, a w każdych konkurach gwałty tylko i nieszczęścia. A tymczasem w całym świecie co rok mnóstwo ludzi się żeni, a o gwałcie jakim lub wykradzeniu ledwie raz da się słyszeć przez całe życie.

Wtem wbiegła Zosia do tegoż pokoju, ale zarazem dał się słyszeć głos dziadka, wołający: — Mospanie Nieczuja!

Rad nierad litościwe tylko spojrzenie rzuciłem na Zosię i musiałem przejść do pierwszej izby, ale zamiast dowiedzieć się czego chciał dziadek odemnie, musiałem usiąść i słuchać, jako imć pan Gintowt, wygrawszy z młodzieniaszkiem oratorski spór o pierwszeństwo skaptowania Jura

z Borowiczek dla przedsięwziąć się mającej sprawy, otrębywał zwycięstwo swoje w ten sens:

— *Ergo* nie ty mospanieńku, który się zrazu niebacznie tem przechwalałeś, ale ja, jako mnie tu waszmość widzicie, doprowadziłem i Jura i Demostenesa do tego, że nie mówię przystąpili do tej sprawy, bo oniby to byli i bez namowy uczynili, ale że ją wzięli za swoją. I stanie się tak jak potrzeba, co jest *conclusum* pewnie i nieodmiennie. We wtorek wszyscy pojedziemy do Oszmiany, a my, którzy już jesteśmy zmówieni, będziemy się mieć na oku; ale nie będziemy wyborom przeszkadzać, tak jak to waść mówisz, mospanieńku, i owszem, funkcyę naszą zrobimy; po wyborach dopiero uczynimy tak, jakeśmy się umówili, a o czem waszmości, chociaż się pierwszym tej sprawy promotorem powiadasz, ani się śni, mospanieńku! Wtedy całą kupą zjedziemy się tutaj, pokłoniwszy się panu cześnikowi, przekąsimy co z łaski jego i ruszamy; a jakie przy zdobywaniu tego dyabelskiego zamku dziać się będą sztuki, o tem się waszmość możesz dowiedzieć od tych, którzy wąs barabański mają pod nosem, ale nie mleko, tak jak ty mospanieńku!

To mówiąc, pan Gintowt wąsa sumiastego całą garścią pokręcił i powstał, jakoż i wszyscy powstali, żegnając i rozchodząc się zarazem, my na spoczynek, a dwaj dyżurni do przygotowanej dla nich kordegardy.

I tak się skończył pierwszy dzień mego pobytu między szlachtą oszmiańską.

XIII.

W dniach następnych aż do samego wtorku nie zaszło ani w domu dziadkowym, ani w okolicy nic nadzwyczajnego.

O prawdziwym losie pani stolnikowej, ani też o tem, co myśli i jak się na przyjęcie gości przygotowuje Murdelio, nie można się było nic pewnego dowiedzieć. Zamek ten był pod tamte czasy tak groźnym i strasznym dla

wszystkich, że za żadne skarby świata nie można było ani jednego sługę namówić, aby podszedł pod jego mury i starał się stamtąd przynieść jaką wiadomość. Szlachta zaś, nie mniej przesądna od pospolitych ludzi, także nie zdobyła się na taką przysługę. Jeden tylko Węgrzynek ofiarował mi się sam z własnej chęci z tem, że się chce zawerbować do Murdeliona, a pobywszy tam kilka dni i dowiedziawszy się o wszystkiem naocznie, uciec do nas napowrót; ale na to już ja nie pozwoliłem i miałem pewne do tego powody. Zamek bowiem ten, lubo niegdy warowny jak każdy inny dwór murowany w Polsce dawnymi czasy, jednak nie był fortecą; nie mogło więc tam w nim nic się znajdować, o czem powzięta wiadomość dawałaby już zwycięstwo; znał go zresztą pan Gintowt i wewnątrz i zewnątrz, jak własną kieszeń, i podejmował się do prowadzenia; — a strata tego wiernego sługi, która przy jego porywczości łatwo nastąpić mogła, nie mogłaby mi być nigdy niczem wynagrodzoną. Wszakżeż nakoniec i bez tego wszystkiego można było być pewnym, że Murdelio nie wysypia się spokojnie w swoich złoconych komnatach, i że budzony przypomnieniami zbrodni całego życia, dobrze się obwarowuje przeciw jakiejkolwiek napaści, której się pewno spodziewa. Jakoż o tem, że pogruchotane murzyska, o których naprawieniu w tak nagłym terminie ani pomyśleć nie może, mocną osadził załogą, że dużo hultajstwa nałapał i ciągle jeszcze łapie, że nawet armatami dwie jeszcze od zniszczenia ocalone baszty opatrzył, pewne były wieści w okolicy.

Zosia smutną była przez cały ten czas, jednakże, jak mi to sama powiadała, o wiele jeszcze weselszą i spokojniejszą niż przed tem, w czem ja, przypisując to sobie i mojemu przybyciu, wielką nachodziłem pociechę.

Ochmistrzyni modliła się tylko ustawicznie to przed tym, to przed owym obrazem, prosząc Pana Boga o powrócenie Hani do domu, a widząc w szczęśliwym córki do ojca powrocie tem większą pewność, że jej zapomnianym zostanie ów jakiś grzech dawny, podwajała gorącość swych modłów.

Dziadek zaś... o! z jakiemże nieraz poszanowaniem i zadziwieniem patrzyłem na tego dziadka, i jak gorąco przytem modliłem się Panu Bogu, aby, jeżeli mi to jest przeznaczone, takiej dał dożyć starości!

Wprawdzie los tego człowieka przed grobem nie był do pozazdroszczenia ze wszystkiem, bo kiedy komu przeznaczono jest cierpieć, a te cierpienia przyjdą nań z powodu własnego dziecięcia, toć to nie jest dola, którejby można zapragnąć, ale kto zna to życie ludzkie i widzi niczem nieprzyćmionemi oczyma, jako ono w swych splotach same ciernie i głogi prowadzi, a kwiatków tak mało, że ledwie jaki silny listeczek uchowa się cało i zielono, ten też wie dobrze, jak wielkiej łaski Bożej doświadczył ten, który przy czułem i nieskażonem sercu zdołał wyrobić w sobie ową potężną siłę rozumu i wiary, która go czyni wyższym i mocniejszym nad te wszystkie światowe dole i nieszczęścia. Człowiek taki podobien jest owemu najwyższemu pagórkowi Krępaku, który głową patrząc w słońce i jego oddychając promieńmi, czuje, lecz zarazem i niewzruszenie spogląda na to, jako w kadłub jego i serce biją ziemskie fale i niepogody.

A takim mężem błogosławionym był dziadek. Przez całe życie jego, i teraz jeszcze w dniach przedgrobowych, biły w niego i burze i gromy, i czuł on je sercem ojca i obywatela, i rozumiał całą ich moc i naturę, i stuletniemi łzami je skrapiał, i nieraz po kilka godzin wieczornych nad niemi tak głęboko rozmyślał, żeby go i wystrzałem wtedy z tego snu nie obudził; ale duch jego, unoszący się pamięcią i doświadczeniami nad tyle światów i pokoleń, niósł się i teraz zawsze tak wysoko, że nie było choćby jak rozumnego człowieka, któremby się żakiem nie czuł przy tym duchowym olbrzymie.

Miewał ci on wprawdzie chwile, w których czy to koleją rzeczy żył tylko dla ziemi, czy tak całkowicie oddany niebu, że zapomniał o sobie, nieobznajmionym z nim zblizka wydawał się dziecinnym lub też zdziecinniałym, jakby mu życie było li zabawką, a nieszczęścia li żartobliwą swawolnego losu igraszką; ale i te jeszcze chwile świadczyły

tylko o onej duszy milionami nieszczęść zahartowanej, która, podniesiona ponad poziom pospolitych dusz ludzkich, bliżej dotykała się nieba niż ziemi.

Mnie przynajmniej mąż ten stuletni, czy to wieczorami siedział przy miodzie z Gintowtem i szlachtą dyżurną i żartobliwym tonem opowiadał im rzeczy stare, i już chyba tylko w starych księgach litewskich najść się mogące, czy zasiadłszy w domowem kole, zastanawiał się nad losem swej córki i całej rodziny, czy siedzący przed obrazem Boga ukrzyżowanego, mówił swoje milczące modlitwy, czy z czapeczką na głowie, a oparty na grubej trzcinie, przechodził się po ogrodzie, pomiędzy ogromnemi a niegdy przez siebie samego posadzonemi drzewy, — mnie zawsze ten mąż stuletni taką cześć wpajał ku sobie i tak potężnie działał na mój umysł młodzieńczy, że raz mi się zdawało widzieć promienną koronę koło jego głowy, drugi raz widziałem w nim nie tego, który niebawem ma wnijść na wieczny odpoczynek do trumny, ale tego, który już mnogie lata tam odpoczywał i dziś obudzony wyszedł z pod kościelnego sklepu na chwilę, aby się ważnemu w swojej rodzinie zajść mającemu przypatrzył zdarzeniu; inny raz znowu zdał mi się jednym z tych duchów białych, mieszkających po starych zamkach, którzy w wigilię każdego nieszczęścia pokazują się na krużgankach, na basztach narożnych, lub w alejach wysadzonych lipami... idą oni powolnym krokiem i milczą, wionie od nich tylko chłód wilgotny, grobowy, i drżą z przerażenia natenczas pognuśniałe serca ich wnuków.

Jednakże pomimo owej wyniosłej siły duszy, która dziadkowi dozwalała panować nad nieszczęściami doczesnemi, im więcej się zbliżała ta chwila stanowcza, która miała rozstrzygać o losie całej Strzegockich i Piotrowiczów rodziny, i on miewał chwile, w których zdawał się być niespokojnym. Zapadł on wtedy w smutne milczenie i jeżeli sam nigdy wiele się nie rozgadywał ani o swojej córce, ani o Murdelionie, ani o dawniejszych pomiędzy nimi stosunkach, to wtedy nawet imię jednego lub drugiej, choćby najobojętniej przez kogoś wymówione, zdawało się go ra-

zić tak bardzo, że zwyczajnie głowę odwracał, albo, niby to z kubka pijąc, twarz swoją zasłaniał, albo zgoła umyślnie kilka słów takich wrzucał, które rozmowę na inny zwracały przedmiot. Dojmował-li go ten wypadek tak bardzo, czy wstydził go się przed światem, czy miał gniew jaki na córkę, tego nie mogłem odgadnąć.

I tak mijały dnie jeden za drugim, i tak minął czas aż do wtorku.

Gintowt w poniedziałek jeszcze odjechał wprost do Oszmiany, aby być tam zawczasu i naprzód przygotować co trzeba. I ja chciałem z nim jechać, bo i ciekawy byłby był dla mnie sejmik litewski i supponowałem, że mogąc tam niejednego znaleźć, mógłbym był może co pomódz, ale Gintowt tego nie dozwolił, mówiąc:

— Siedź waszmość tutaj, kiedy ci dobrze, ja wszystko sam zrobię.

Śród takich okoliczności i usposobień nadszedł nareszcie wtorek. W dworku pana Wita już od samego świtu panuje ruch nadzwyczajny. Wymiatają i wyprzątają próżne o tym czasie szopy i stodoły, i ubierają jak mogą na przyjęcie gości, obwieszają kilimkami ściany, zastawiają stoły i nakrywają, wnoszą ławy i całe beczki z trunkami, przyczem mój Węgrzynek główną trzyma komendę. W kuchni i w piekarni w miasteczkach ponajmywani kucharze sieką zrazy, przyprawiają bigosy, pieką kury, kapłony, gęsi i całe cielęta. Inni odgotowują wędliny, kiełbasy i inne mięsiwa, inni pieką chleb biały, pirogi i różne pieczywa, a wszyscy sadzą się na to, aby jedzenie było smaczne i dostatnie, a niekoniecznie wykwintne. Nad tem wszystkiem dozór i komendę wziął na siebie imć pan Kościuszkiewicz, dzierżawca dziadkowej wioski, człek stary, lecz sprytny i dużo po świecie obywały. A tu i tam wszystko idzie tak ładem i prędko, że jeszcze i południa nie było, kiedy już wszystko stanęło gotowe, choćby i na przyjęcie całych dwóch chorągwi komputowego wojska. Ale to jeszcze nie zaraz mieli nadjechać oczekiwani goście. Gintowt powiadał, że nie myśli wyborom przeszkadzać, a lubo ja w mojem przekonaniu wątpiłem bardzo, ażeby,

kiedy projekt zajazdu już był rzucony pomiędzy szlachtę, materya wyborów choć przez godzinę mogła się utrzymać na ustach, to jednak nie mogło się stać tak prędko; bo gdzie są Demostenesy i Senekowie, a każdy z nich z naprzód już wymyślonej oracyi ani jednego słowa podarować nie zechce, tam pół dnia ledwie można liczyć za jedną chwilę. Więc zawsze ledwie o zmroku można się było spodziewać ich przyjazdu, jakoż to samo utrzymywał i dziadek, który, siedząc przy stole kamiennym, stojącym pomiędzy lipami na środku dziedzińca, patrzył na gąsior kowieńskiego miodu postawiony na stole, ale go nie pił. Kiedym ja się koło stołu nawinął, on, ręką oczy zasłoniwszy od słońca, spojrzał na mnie i zawołał:

— Nieczuja!

— Służę jegomości — odpowiedziałem, przystępując do niego bliżej, a on do mnie:

— Siadaj tu przy mnie i napij się miodu, bo mi tak smutno samemu.

— I owszem — odpowiedziałem — jak jegomość rozkaże.

I usiadłem do miodu, lubo niechętnie w tej chwili podawałem usta trunkowi, bo to był dzień gorący i parny, a ja jak na to wziąłem był ciężki lamowy żupan na siebie, który zwykle ubierałem natenczas, kiedy się w jakiej bitwie być spodziewałem; lama ta bowiem była tak gęsto grubemi nitkami srebra przetykana, że cięcia szabli nie przepuszczając, mogła stanąć za dobrą koszulkę. Żupan ten miałem po moim ojcu, a nosił go jeszcze dziad mój nieboszczyk i w co piękniejszych bitwach zażywał; znać nawet na nim było na kilku miejscach cięcia nieprzyjacielskiego żelaza, w kształcie fałdów na wieki wieków zagiętych; jakoż i żupan ten znano swojego czasu powszechnie, przynajmniej w całej sanockiej ziemi i pogranicznych, a skuteczność jego tak nie podpadała żadnemu zwątpieniu, że kiedy mnie kto wyzywał na rękę albo ja kogo, com się Panie Boże mi odpuść młodszemi, ba, i późniejszemi laty nie nabrał tego żupana na siebie. Więc duszno mi było pod taką suknią już zwierzchu, a cóż dopiero w dzień

parny lać jeszcze ogień wewnątrz siebie, ale dziadek kazał pić z sobą, więc nalałem sobie kubek miodu, siadłem podle niego i piłem. Wtedy on do mnie:

— Co rozumiesz o dzisiejszej inprezie?

— Nie wiem jeszcze co mam rozumieć — odpowiedziałem — bom nie oglądał jeszcze tych ludzi, z którymi mamy uderzyć na zamek.

— Niema co oglądać — rzekł dziadek — to szlachta oszmiańska.

— Ja nie wątpię, że dobra, ale zawsze to kiedy człowiek oglądnie, to nie zawadzi. Najwięcej boję się tego, żeby sobie nadto nie podciągnęli w Oszmianie, bo jak jeszcze tutaj doleją, to gotowi nam wstydu narobić, albo i rzecz całą zepsuć na zawsze.

— Wstydu! wstydu! — zawołał dziadek — szlachta oszmiańska nikomu wstydu nie zrobi, ale też i tego nie zmaże, który kto sobie sam zrobił. Bo wiedzże sam, czy można było większego wstydu, większej hańby dożyć na starość, jak ja jej dożyłem?... O! zanadto ja ojcem dobrym byłem dla niej! zanadto!... Trzeba mi było poprostu: żywisz w sercu afekt przeciwny woli rodzicielskiej, żyć przestajesz dla świata. Klasztor był jedynem lekarstwem! Byłbym nie miał córki, to prawda, ale byłbym umarł spokojny i czysty stanął przed Bogiem. Dzisiaj, któż to wie, jak to było i jak jest w rzeczy? dzisiaj co gadają po całej Litwie, a co już nie gadali za pierwszą razą! i czy wini kto stolnikową?... Dzieckiem była, powiadają, dzieckiem, kobietą: ona niewinna, ale on winien, on, ojciec! I cała hańba i wstyd i paskudztwo to na mnie. A ja mam dziewięćdziesiąt trzy lat i hańby nie znałem przez całe życie!... Aż dopiero u grobu... Więc cóż mi z tego, że oni tu przyjadą? Ja wiem, cały powiat się zwali, i pojadą i rozniosą zamek ten lichy na proch, i żaden opór nic nie pomoże, bo djabeł odstąpi gdzie kuso; ale cóż mnie już z tego?... po kogo oni pojadą do zamku? kogo mi stamtąd przywiozą?...

I zadumał się stary. Ja też wziąłem za słowo i perswadowałem dziadkowi jak mogłem. Wprawdzie i w moich oczach stolnikowa nie była bez winy; bo jużciż, nie rzecz jest dwom panom służyć, nie rzecz i woli ojca chcieć dogodzić, który Murdeliona nie nawidził, i Murdelionowi, który się żenić chciał koniecznie i zawsze: nie rzecz igrać sercem i afektami, choćby nawet niedobrego człowieka, jednakże zawsze, że aż do takich skutków przyszło, winny tu podobno więcej były okoliczności niż ona, a gdyby i ona sama winną była, toż jej wina pochodziła li ze słabości serca i umysłu, co kobietom przecie się winno przebaczać. Więc nietrudna tu była perswazya a niemało się znalazło powodów i do uniewinnienia stolnikowej i do wystawienia samej rzeczy w nie tak bardzo złem świetle; ale nie staremu to umysłowi co wyperswadować, albo inne o raz już pojętej rzeczy nadać wyobrażenie! To też i dziadek słuchał i słuchał cierpliwie, lecz wysłuchawszy, rzekł swoje.

— Mój Nieczuja! ty mi powiadasz rzeczy takie, które jabym był także potrafił powiedzieć. Mój rozum wprawdzie już stary i zapewne, że nie taki obrotny jak twój, kiedy młody; nie jest on w stanie co moment nowe wynachodzić argumenta, nie jest w stanie lekko i bez namysłu co chwila przerzucać się na inną ścieżkę. co chwila w innej się zakrzepiać krynicy, bo już stary, zakrzepły, zakamieniały, ale za to droga, którą on postępuje, ręczę tobie, że to bity gościniec. Dlatego wierz mnie, że to wstyd i hańba wieczysta!... Niektórzy ludzie, którzy długo żyją na świecie i mieli dość czasu dać się z każdej strony poznać swoim sąsiadom i ziomkom, i nabyli dobrej sławy u nich, i ta sława ich niewzruszona stoi już łata i lat dziesiątki, tych dobrego imienia pewno, że nie tak łatwo lada plotka się chwyci, lada potwarz splugawi, lada drobne zdarzenie nabawi wstydu — ale wiesz ty, że jeżeli niemałą sztuką jest umieć żyć na tym świecie, toż nierównie większa jest umieć umrzeć w samą porę. Ja tego nie umiałem i dlatego jeszcze raz powtarzam, że wstyd i hańba wieczysta!... A kiedy nie wierzysz, to posłuchaj co będą gadać Litwini. Bo to u Mazurów świat inny i głowa inna, a niejedno złe, które tam już oddawna stało

się ciałem i mieszkało, tutaj jeszcze za dziw nad dziwami uchodzi. I u was to może byłoby nic, ale u nas wstyd i hańba wieczysta!... Ty bo może nie wiesz wszystkiego — dodał dziadek po chwili — i dlatego tobie rzecz ta inaczej się wydaje; ty może nie wiesz... Tu urwał dziadek i spoglądnąwszy na mnie z góry, nagle zapytał:

— Czy zawsze stały jesteś w afektach dla Zosi?

— Zawsze i do śmierci, mój kochany jegomość, i mam nadzieję...

— No! więc ja ci to dawno już miałem powiedzieć, bo i należało się; więc wiesz ty, że Zuzia?...

— Wiem, wiem, panie dobrodzieju; ale tylko szczególnym przypadkiem dowiedziałem się o tem.

— Ty przypadkiem — rzekł dziadek — a inni na prostej drodze. Więc widzisz, jakkolwiekbądź to się stało, winna ona czy nie winna, nie wstyd to i hańba wieczysta? Ja przed tą hańbą porzuciłem najukochańszą mi Litwę i uciekłem na Wołyń, i dyabeł mnie tam wynalazł i wygnał mnie stamtąd; z Wołynia uciekłem w Mazury, a w Mazurach nietylko mnie stara hańba znalazła, ale jeszcze nową przyprowadziła ze sobą, i tak zamiast jednej, aż przez dwie takie jędze wiedziony, powróciłem do ojczyzny mojej, do Litwy, która już zapomniała była o hańbie mojej, a pamięta tylko starego Wita, który z chwałą reprezentował ją po cudzych wojuach, który przez lat tyle cześnikował swojemu powiatowi, który sto spraw osądził, sto procesów wydarł sądom, stu nieprzyjaciół zwaśnionych na wieki pogodził ze sobą!... I myślałem, że jeżeli mi kiedy Bóg da wrócić na Litwę, to mnie szlachta powita jak ojca, jako towarzysza swych ojców i dziadów, i myślałem, że moje dobre imię, na które przez lat kilkadziesiąt krwawym trudem pracowałem, będzie już dzisiaj wyższe nad niepoczciwe języki i złośliwe rozumy, i że choć teraz przed grobem zabłyśnie w należącej się jemu chwale... Myślałem, że choć jak ona lampa, która przez cały ciąg swego żywota to tak to owak świeciła, jednak przed zgaśnieniem jasnymi na wszystkie ściany zabłysła promieńmi... myślałem że i ja tak zabłysnę... I prawda, wielu tu znalazłem przyjaciół, wiele czci, wiele poszanowania, wiele gotowości do pomożenia mi w tem nieszczęściu — ale dlaczegóż oni to czynią? z litości! A czyż nie nędza to ostatnia, kto aż litości doświadczać musi?... Słuchaj mnie, Nieczujo! gdyby nie ona, gdyby nie to dziecko moje, które, pomimo to wszystko, kocham jak dziecko jedyne, jabym im za tę litość!... ale tak... co ma robić dziś stary? Kilka godzin codziennie z Bogiem, kilka ze samym sobą, a zresztą już tylko pić, pić i upić się, i przez oczy mgłą obciągnięte patrzeć się na tych ludzi, którzy nigdy sprawiedliwymi nie byli w sądach i nigdy nimi nie będą. Pij, Nieczujo!

Ja piłem, ale dziwnie mi się jakoś zrobiło na sercu i duszy. Słowa one dziadkowe, które mi jawnie wypowiedziały, jakiem okiem pogląda szlachta na stolnikową, na matkę najukochańszej mej Zosi, jakby gwóźdź rozpalony zawierciły mi w mózgu. Wstyd i hańba wieczysta! jakiemże okiem będzie poglądać na mnie ta szlachta oszmiańska? jakiem okiem moi współziemianie i sąsiedzi, którzy się pewnie o wszystkiem dowiedzą?... I lubo który ze śmiertelnych kochać może kobietę, i lubo wiedziałem w głębi, że cóż to dziecko winno obyczajom swej matki? jednakże tak się wtedy zachwiałem, że byłbym się miał za najszczęśliwszego, gdyby mnie kto był nagle w rok miniony przerzucił. Myśl ta tak mi zajęła duszę, jakiś żal łzawy tak mi osmucił serce, że siedząc koło dziadka, głowę opuściłem na piersi i nie wiem jak długo tak przesiedziałem. Jaki był stan mój przez ten czas zamyślenia się mego, nie umiem opowiedzieć dokładnie, bo ani toczyła się jakakolwiek walka we mnie, ani układałem sobie cokolwiek na przyszłość, ani się spowiadałem przed sobą z przeszłości, ani wiem nawet dobrze co czułem; to tylko pomnę, żem był cały ciężkim objęty smutkiem; gorzką jakąś napojony trucizną i jakby z nóg powalony. I byłbym tak siedział kto wie jak długo, bo już kilka godzin minęło, już i słońce się nachyliło, już i dziadek, wygadawszy się do woli, odszedł był odemnie — a ja jeszcze siedziałem i byłbym był wdzięczny ludziom, gdyby mnie

byli nie obudzili i gdybym był mógł z tego smutku i z tej chwilowej przejść do wiecznej martwoty.

Ale nie dano jeszcze żadnemu człowiekowi umrzeć wtedy, kiedy sam pragnął śmierci, i mnie też nie dano; Zosia, widząc mnie tak samotnie zadumanego pod lipą, zbliżyła się do stołu i oparłszy się oń, rzekła do mnie:

— Biedny pan Marcin! czegóż tak zamyślony? pewnie o mamie mojej nieszczęśliwej.

Zbudziłem się. Lecz popatrzywszy na nią, tak mnie ten widok ścisnął mocno za serce, żem zawołał tylko: Zosia — i łzy mi się strumieniami puściły z oczu. Widząc łzy moje i ona się rozpłakała jak dziecko, i usiadłszy na drugim końcu ławy, wciąż płakała. I płakaliśmy oboje, ale z dwóch cale różnych od siebie źródeł płynęły łzy nasze! a lubo ja o przyczynie jej łez zaraz się dowiedziałem, przyczyna moich została dla niej tajemnicą na wieki.

Śród tej sceny dał się nagle słyszeć tętent kopyt końskich zdaleka i w tymże momencie krzyk na dziedzińcu: Jadą już, jadą!

Zerwałem się z ławy, łzy chustką otarłem, Zosia spłoszona pobiegła do domku, a nim ja kilka kroków dałem naprzód, aby z za lip popatrzyć w pole, już też wjechało w bramę kilkunastu jezdnych i stanęli w dziedzińcu.

Widok ludzi zbrojnych i koni, nie wiem jak na kim, ale na mnie zawsze czynił dobre, mogę nawet powiedzieć, że wesołe wrażenie. Zaraz więc stałem się inszym i nie było ani śladu łez na mej twarzy, ani pamiątki smutku na sercu, a kiedy Gintowt, który pierwszy zsiadł z konia, przystąpił do mnie z powitaniem i nieznaczną pochwałą swojego dzieła, ja witałem się już z nim ochoczo, jak gdyby mi przez cały ten czas serce drżało od niecierpliwości widzenia jego i przybyłych z nim towarzyszy.

Drugi szlachcic, który równocześnie z Gintowtem zeskoczył z konia, był to chłop duży i prawie głową mnie przenoszący. Pomimo wzrostu swego, który także do niepospolitości należał, wpadł on mnie z innej przyczyny natychmiast w oko, a to po prostu z swojej doskonałej żołnierskiej postawy i ubioru. Mąż ten miał krótką ze zielo-

nego sukna na węgierską modę uszytą kurtkę na sobie, na głowie czapkę rogatą ciemnego koloru, na nogach buty jałowicze cholewami powyżej kolan sięgające; do tej prostoty ubioru łączył on odpowiednią prostotę w uzbrojeniu: miał bowiem tylko potężną szablicę na skórzanym pasie przy boku i parę pistoletów lekkich za pasem. Kto znał szlachtę tamtego czasu i widywał ją w różnych okazyach, ten wie bardzo dobrze, jak złe wyobrażenie ona miała o moderunku wojennym. Dawnemi laty kiedy szlachcic wyjeżdżał na wojnę, to nie wspominam już o tem, że brał na siebie co najlepszy żupan i kontusz z wylotami, które nieraz w ucieczce, zaczepiwszy się o drzewo, zsadzały go z konia, ale to główna, że uzbrajał się od stóp do głów, a pałasz, strzelba, nóż wielki lub kordelas przy torbie i trzy pary pistoletów na jednym szlachcicu z pospolitego ruszenia obaczyć, była to rzecz zwyczajna. Starzy żołnierze, którzy czy to w swojem czy w cudzoziemskiem wojsku czas dłuższy sługiwali i nauczyli się z doświadczenia, że nie ilość, tylko gatunek broni a głównie serce stanowi żołnierza, naśmiewali się z tak objuczonych wojaków; a mój ojciec nieboszczyk nawet mawiał: że im więcej który broni zawiesza na sobie, tem ci pewno tchórz większy; — jednakże nic to nie pomagało, a moda ta, która niby we krwi szlacheckiej już być się zdawała, uchowała się aż do ostatnich czasów. Później dopiero dowódzcy, sami zawsze ubierając się w kurty węgierskie i uzbrajając się tylko pałaszem i jedną parą pistoletów, zaprowadzali także ten obyczaj i między szlachtą, i na ten pojedynczy ubiór i uzbrojenie się tak nastawali, że u nas weszło to było w przekonanie, że po ubiorze i uzbrojeniu się poznasz zaraz gatunek i serce żołnierza. Owóż gdy obaczyłem tego szlachcica, że także był po naszemu ubrany, zaraz mi się przypomniały dawne czasy i nie gadawszy z nim ani słowa, czułem już instynktowo, żem się zdybał ze swoim. Jakoż nie omyliłem się: był to bowiem ów z opowiadania innych już mnie znajomy Jur z Borowiczek. Kiedy mi to Gintowt powiedział, nastroiłem się zaraz i podając rękę Jurowi, rzekłem do niego:

— Tyle mi tu już pięknych i dobrych rzeczy nagadano o waszmość panu i bracie, że za jeden z najpiękniejszych dni mego życia uważam sobie ten, w którym los fortuny podaje mi sposobność poznania waszmości; to mnie tylko jedno zadziwia i zaraz zasmuca, że chodząc prawie jednemi drogami, nie zdybaliśmy się nigdy dotychczas.

— Nic w tem dziwnego — odpowiedział mi Jur na to, ściskając mi rękę — jeżeliśmy się nie zdybali, kraj to wielki i ludzi siła; ja sobie przecie przypominam nazwisko waszmości, a no nie wiem, był-li to brat waszmości, albo waszmość sam, który przed bitwą widawską przywiózł depeszę naszemu Niemcowi?

Niemcem nazywano Zarębę, że się nosił z niemiecka; a ja rzeczywiście te depesze woziłem, więc odpowiedziałem:

— Ja to sam, panie bracie, woziłem tę depeszę, ale i to mnie jeszcze nie naprowadza na przypomnienie sobie waszmości, lubo przecież bowiem i w bitwie widawskiej partycypowałem i po bitwie jeszcze dni kilka tam bawiłem.

— A wiem, wiem — rzekł Jur z Borowiczek. — Owóż nie dziwno, że waszmość za swoich kilka dni nie poznałeś wszystkich, którzy tam byli, i nie dziwno, że ja waszmości nazwisko pamiętam, bo przed bitwą, kiedy oficer z depeszami przyjedzie, toć o nim wiedzą w całym obozie.

— Tak, tak, panie bracie — odpowiedziałem — no, ale jakto! góra z górą się nie zejdzie, a tu gdzie Widawa, a gdzie Oszmiana, i tam bywszy razem, nie znając się, tu dopiero się poznajemy.

Wtem tamci pozsiadali z koni i po jednemu poczęli się zbliżać do nas, a podczas gdy Gintowt powiadał mi niektórych co przedniejszych nazwiska i zapoznawał mnie z nimi, w bramę wwaliła się druga takaż jezdnych komenda, niebawem też i trzecia i czwarta, a wszystko z wielkim brzękiem i hałasem; dalej to po jednemu, to po trzech, to po pięciu wjeżdżali a wjeżdżali, a nie minęło i pół godziny od przyjazdu Gintowta i Jura z Borowiczek, kiedy już cały dziedziniec od ganku aż do bramy tak był napełniony ludźmi i końmi, jakby plac obozowy.

Śród tego zbierania się ja porzuciłem mojego Jura a poszedłem bliżej trochę oglądać ową tak zachwalaną mi szlachtę oszmiańską. Ale nie obaczyłem nic nadzwyczajnego. Wielu było ludzi pięknych i koni jak trzeba; ale też i hołoty nabiegło niemało, osobliwie też owych zagonowych, których lada kubkiem i do piekłaby zwabił, a na których patrząc, przypominało mi się owo przysłowie, które powiadają: że szlachcic Oszmiany jedną nogę tylko ma w bucie, a drugą w łapciu chodzi. Uzbrojenie też całego tego tłumu było jako i ludzie różne i rozmaite: jedni z nich po staremu byli zbrojni od stóp do głów; na jednym człowieku i pałasz, i nóż, i strzelba lub garłacz i pistoletów dwie pary, a trzecia przy kulbace; drugi ledwie miał dwoje broni, a niejeden był taki, który miał szablę bez pochwy lub goły rapir u boku, ale pistolet jeden wielki na temlaku, ale i ten taki, że zjadłby dyabła, ktoby z niego wystrzelił.

Kiedy się to wszystko zjechało w dziedziniec i rozłożyło po wszystkich kątach, a jak zwyczajnie ten poprawiał kulbakę na koniu, ów ostrzył szablicę, ci stare wystrzeliwali naboje, inni broń czyścili, ci skałki krzesali, ci nabijali nanowo, i w całym dziedzińcu rumor był wielki i rozgardyasz — przez Gintowta z jednej, a przez Zosię z drugiej strony prowadzony pod ramię, wyszedł dziadek w dziedziniec.

Dziwny to i rozrzewniający był widok, kiedy starzec ten blizko stuletni stanął przed zgromadzającą się koło niego szlachtą, i zdjąwszy czapkę z pokorą z białej jak mleko głowy, przez łzy cisnące mu się do gardła nie mógł zrazu ani słowa przemówić i tylko ręką witał przybyłych.

Obaczywszy dziadka, niektóra szlachta, już na sejmiku podpojona potrochę, zaczęła krzyczeć:

— Vivat! pan cześnik dobrodziej! Vivat! patryarcha nasz! — i różne inne rzeczy; ale wnet sykaniem drugich

uspokojeni, umilkli, i nastąpiła cisza tak poważna, jakby w obozie, kiedy ksiądz czyta mszę pod namiotem.

Śród tej ciszy, dziadek, zawsze stojąc na miejscu, a na miejscu wyższem cokolwiek, bo dziedziniec był pochyły od ganku do bramy, odchrząknął raz i drugi, i starym, chropowatym głosem, odpoczywając za każdym punktem, przemówił w ten sens:

— Mnie wielce mości panowie i bracia! Nie spodziewałem się nigdy, abym, będąc okolicznościami zmuszony wyjechać z ukochanej mojej Litwy, kiedykolwiek jeszcze do niej powrócił. Grób dla mnie wykopany już był na Mazurach. Dzisiaj atoli inaczej Bóg wszechmogący rozrządził, a ja, zostawiwszy grób mój na kałużę dla wody cmentarnej, stoję oto przed waszmość panami i bracią i pokłon im szczery z pod ubogiej strzechy mojej wynoszę. Jako ojciec nieszczęśliwej i czy to od szatana niewinnie prześladowanej, czy od Pana Boga sprawiedliwie karanej córki, powiadam to otwarcie, iż wolałbym, aby kości moje już dawno były pogniły w grobie, niżbym miał dożyć tak fatalnego terminu jakim jest dzień dzisiejszy — jako obywatel i sąsiad zaś nie mogłem się doczekać dnia szczęśliwszego przed grobem, jako ten, w którym dostojne obywatelstwo na raz zgromadzone przed sobą widzę. A lubo w którąkolwiek stronę tego przezacnego zgromadzenia oczyma rzucę, ani jednego z moich dawnych przyjaciół i towarzyszy dopatrzeć nie mogę, bo ci dawno już śpią po cmentarzach; toż jednak i to nad wszelkie wyrażenie wielkiem ukontentowaniem jest dla mnie, że mi Pan Bóg pozwala widzieć ich synów i wnuków. Jakoż w tym razie, kiedy ja sobie czynię tę słodką illuzyę, że z dawno już pomarłymi, dla których dotąd niespożyty afekt gore w mem sercu, w tym momencie rozmawiam: toż i wam, mości panowie i bracia, niechaj się tak wydaje, że nie z dalekich stron żywy z żywego kraju przybyłem, ale żem wyszedł z grobów i wam synom i wnukom przynoszę pozdrowienie od moich ukochanych kolegów a waszych ojców i dziadów!...

Tu się dziadek zatrzymał, a podczas gdy w kilku

miejscach dało się słyszeć głośne szlochanie, on kilka razy odetchnął i tak rzecz swą dokończył:

— Mości panowie i bracia! Żeście tutaj w tak znakomitej liczbie i tak pięknej postaci przybyli, ani wam za to dziękuję, ani was czczemi słowy o wykonanie przedsięwziętego zamiaru proszę, bo jako sąsiad wasz i przyjaciel, który trzy pokolenia przeżył w tym oszmiańskim powiecie, wiem to dowodnie, że jako uczynkami waszymi nie kieruje żadna stronność ani prywata, tak znowu wiem z drugiej strony, że za cnoty wasze nagrody nie wyglądacie skądinąd, jeno tu od własnego sumienia waszego, a tam od Tego, który was wszystkich stworzył i który tylko sam jeden jest w stanie obywatelskie cnoty i zasługi wynagradzać wedle wartości. Ale oto jest biedna, opuszczona sierota (to mówiąc, dziadek wziął obok siebie stojącą Zosię za rękę i poprowadził ją o krok naprzód), która jak wiotki powój o samej wiośnie została się sama, opuszczona i nieszczęściami przygnieciona do ziemi, a podczas gdy główkę wychyliwszy do słońca, szuka drzewa mocnego, o któregoby się mogła obwinąć, znalazła tylko starego dębu pień spróchniały, który lubo musi służyć jej za podporę, jednakże raczej sam się powali i ją swym ciężarem przygniecie, niżby miał jej dać ulgę i opiekę. Ta sierota, mości panowie!... rzuca się przed wami na dziecęce kolana...

Tu się Zosia rzuciła na kolana i ręce złożyła, ale dziadkowi tak gwałtownie łzy się puściły z oczu, że już nie mógł nic dalej mówić. Szlachta też, jedna szlochając w głos jak pacholęta, inni łzy ocierając, okrążyli go ciaśniejszem kołem i całując w ramiona, w ręce, a niektórzy w róg granatowego żupana, wołali: — Daj pokój, bo rozpłyniemy we łzach i żałości! — Inni zaś:

— Daj pokój, wszystko zrobimy!

— To ojciec nasz, to patryarcha!

— Z ojcami naszymi sługiwał!

— Naszych dziadów pogrzebał!

— Niech siada, niech siada, bo osłabnie!

— Żeby dyabli pilnowali tego zamku, to go dobędziem!

— Mury na kawałki rozszarpiem!
— I miejsce zaorzem!
— Żeby ani ślad nie pozostał!
— A córkę mu tu na rękach przyniesiem!
— A tego łotra, co nam taki wstyd i hańbę...
— Na suchej wierzbie powiesim!

I poczęli brwi marszczyć, wąsami ruszać, że aż strach był patrzeć po tej garstce wojaków. Tymczasem dziadka posadzono na ławie pomiędzy lipami, co przedniejsi go obsiedli i obstąpili, zaręczając, że mu córkę przed północą przyniosą; inni przystępowali do Zosi kojąc jej łzy i szlochania, prawiąc grzeczności i przysięgając, że życie swoje położą za matkę dla sieroty. W dziedzińcu zaś zrobił się wielki gwar i zamieszanie; jedni beczki z trunkami wytaczają z stodoły, nalewają i piją: — Na szczęśliwe powrócenie stolnikowej! Na śmierć dyabłu weneckiemu! Na powalenie w gruzy przeklętego zamczyska! — Inni wynoszą jadła i pieczywa i rozkrawując je w powietrzu, podają drugim; inni jeszcze broń gładzą, ostrzą pałasze, kulbaczą konie; inni, jako Demostenes z Zalasówki, człek mały, pękaty i łysy, a prawie obdarty w ubiorze, jako Seneka Giembutowicz, chudy, wysoki i zezowaty, powyłazili jeden na beczkę dnem odwróconą do góry, drugi na stos belek leżący pod szopą, i zgromadziwszy koło siebie po garstce słuchaczy, perorują z wielkim ferworem i dobitną gestykulacyą. A muszą ci prawić coś nieźle, bo zyskują aplauzy i w dziedzińcu krzyk się wzmaga coraz groźniejszy i donośniejszy.

Ja byłem tu i tam, temu podawałem wino, tamtemu miód, trzeciemu jadło, tamtego perory słuchałem przez chwilę, temu kompliment powiedziałem od dziadka, a onemu pochwaliłem broń albo konia, wszędzie starając się o to, ażeby nadto wielki ferwor umitygować, ale ducha dobrego ustalić i utrzymać. Przy tej robocie nie tylko to miałem na celu, aby dziadka w obowiązku gospodarskim wyręczyć, ale zarazem i to, żeby się z tymi ludźmi choć cokolwiek obeznać, i wśród aktu samego wiedzieć gdzie się po co rzucić i kogo do czego użyć; bo prawdę powie-

dzieć, ja sobie zdobycia tego zamku nie uważałem za rzecz tak małą. Murdelio był człek niegłupi i do tego takiej determinacyi, jak mało kto; a z takimi ludźmi, zwłaszcza w chwilach stanowczych nie łatwa jest sprawa. Przypomniawszy zaś sobie, że na wiadomość o oburzeniu się całego powiatu na niego i rozpacz go mogła owładnąć, można było i o zwycięstwie powątpiewać. Ja przynajmniej tak tę rzecz rozumiałem i w tym celu kręciłem się między szlachtą i wyrozumiewałem co mogłem, a lubo w niedługiej chwili już mi się wiele rzeczy wyjaśniło, to jednak jakoś jeszcze nie kontent byłem i sam nie wiedząc czego, jednak czegoś szukałem. Aż dopiero, gdy już wszystkich co celniejszych poprzechodziłem z osobna, pokazało mi się jawnie, że to czego szukałem i znaleźć nie mogłem, był Jur z Borowiczek. Oglądnąłem się jeszcze raz i rzeczywiście nigdzie go ujrzeć nie mogłem; dziwnie mi było, że on, pierwszy junak oszmiańskiego powiatu, na którego jakby na cztery tuzy liczono i w którego ręce już naprzód składano komendę, nie mówię zniknął z placu, ale odsunął się w kąt w takiej chwili, w której przytomność zaufanego wodza wiele działa na podkomendnych. Ja już w mojem życiu widziałem i bardzo wielkich junaków w stanowczej chwili znikających z placu. Więc tem większa chęć mnie wzięła koniecznie odszukać Jura z Borowiczek i obaczyć co on też robi. Jakoż po niedługiej chwili znalazłem go wewnątrz stodoły, siedzącego w kącie na ławie, opartego plecyma o wiązkę słomy i głęboko zadumanego. Przystąpiłem tedy do niego i rzekłem:

— Cóż waszmość tak samotnie? i od kolegów zdala i od posiłków zdala, a przecież to noc przed nami i podróż dwumilowa i robota może nie lekka.

— Głodny nie jestem — odpowiedział mi na to Jur z Borowiczek — a choćbym nawet i głodnym był, to wolę głód przenieść, niż słuchać tego nieznośnego gwaru, który mnie dzisiaj tak razi, jakby mnie kto nożami krajał.

Nie wiele to jest junaków na świecie, którzy gwaru nie lubią, i owszem, jest to ich żywioł właściwy, jako

woda dla ryby, lub powietrze dla ptastwa; więc ta odpowiedź jego zajęła moją uwagę, a że to dopiero co słońce zaszło było i jeszcze najmniej z godzinę należało się z wyruszeniem zatrzymać, więc usiadłem koło niego, mówiąc:

— Dziwi mnie to nie pomału, że waszmość, który, jak mi tu powiadają, wzrosłeś śród gwarów wojennych, myśliwskich i zajazdowych, dzisiaj go znieść nie możesz.

— Otóż to może najgorzej — rzekł on na to — że co przypomina! Nie będziesz bowiem waszmość rozumiał, że ja mam nerwy słabe i dla nich znieść nie mogę, że kilkunastu szlachty krzyka sobie przy kubkach i szablicami pobrzękuje; ano to mnie jest nieznośne, że dla prywaty się tu zlecieli jako muchy do miodu i krzyczą a junakują tak srodze, jakby już z parę światów zburzyli w swem życiu i teraz znów szli na jeden. To mnie jest przykro i za to mnie serce boli! Prozopopeja wielka a rzeczy ani krzty.

— To masz prawdę! — zawołałem na to Jurowi. — Jać nie dawno żyję na tym świecie i więcej może lat stoi przede mną, niż za mną, ale przecież coś jeszcze dawniejszego świata zerwałem. Inny świat, inni ludzie. Z czynów pozostały wspomnienia, z mężów hałaśliwi żakowie, z czynnego ducha, jak to dobrze waszmość powiadasz, czcza tylko prozopopeja! Tak to jest u was, tak u nas, tak podobno i w całym świecie.

— Mój Boże! — rzekł na to Jur smutno, opierając na łokciu głowę — gdzieżto dawnymi czasy!... gdzieżto dawnymi czasy, gdzie to słyszano, żeby dla lichego zajazdu robić takie hałasy, takie robić konspiracye, żeby o tem, nim się jeszcze rzecz zrobi, już po całym kraju słyszano? gdzie kto to widział, żeby dla lichego zajazdu aż sejmik zrywano?... ale co mi tam na tem, ja już swoje wygrałem.

Odetchnął na chwilę Jur z Borowiczek, jak gdyby wyczekiwał odemnie odpowiedzi, ale ja już nic nie odpowiadałem; mnie się już serce pławiło we łzach gorących, bo mnie w najsłabszą uderzył strunę. On zaś ciągnął dalej:

— Ba!... ale co tam waszmości!... Wpadła w oko

podwika, zapruszyło się serce, to i szczęście będzie i spokój, i życie jakie takie, kiedy pójdzie po ręku. Ale mnie inna... niema już dla mnie szczęścia i spokoju na świecie!

— Czemuż to, panie bracie? wszakżeż i waszmość możesz sobie upodobać w jakiej kobiecie i z nią się ożenić, toż przy kochającej żonie, w gronie dziatek wesołych, na własnej roli, pod własną strzechą, przecie jeszcze jakoś żyć można, a czas wolny od pracy niechaj zapełnią pięknej młodości wspomnienia... toż i to jeszcze nie jest dola ostatnia!

On zaś na to:

— Pięknie to waszmość mówisz, panie bracie, ale nie dadzą mnie rady te słowa. Widziało się już bowiem i piękne rączki i zgrabne nóżki, i oczek strzelistych nie mało; ale zaprawdę powiadam tobie, temu nie będą w głowie marne domowego szczęścia rozrywki, ani go zwabią pięknych dziewcząt oczęta, ni kochającej żony codzień jednakowe umizgi, ani wrzaskliwych dziatek pieszczoty... ale co mi tam na tem!

Wtem hałas i krzyki, wzmagające się coraz bardziej w dziedzińcu, zamieniły się nagle w jeden okrzyk wrzaskliwy i przeciągły... na ten wrzask Jur z Borowiczek porwał się ze swego siedzenia i poprawiając pas skórzany, który nosił po kurcie, rzekł do mnie:

— Aha! już po biesiadzie! chodźmyż i my; czas już wsiadać na konie, a tu nim wyruszymy, trzeba jeszcze jakoś sprawić tych ludzi, bo lubo ja nie myślę żeby tam przyszło do bitwy, jednakże bez ładu trudno i marsz zrobić ladajaki.

— Jak to waszmość rozumiesz, że tam do bitwy nie przyjdzie? ja rozumiem przeciwnie, że bitwa będzie i to bitwa nie mała, chyba że waszmość nie znasz jmć pana Piotrowicza.

— Ja go znam? — odparł Jur na to — a któż go zna lepiej? ale właśnie dlatego, że go znam, suponuję że do bitwy nie przyjdzie. Zebrał on tam trochę hołoty, ale to wszystko hołota nietylko bez broni, ale nawet bez ubioru; zamek nieopatrzony i o obronie z murów ani my-

śleć nie może, a do tego Piotrowicz to tchórz koronny, jak każdy łotr z obciążonem sumieniem. Na bezbronnych napadać, kobiety i dzieci straszyć po nocach, włóczęgów wieszać, o! do tego dyabelska u niego odwaga, ale bronią na broń, piersią na pierś, nie widziałem go aby kiedy uderzał.

— Otóż teraz waszmości powiem, że go nie znasz zupełnie. Ja nie tylko znam jego życie, które pełne jest jawnych dowodów odwagi, ale nawet sam go widziałem, kiedy bronią na broń i piersią o pierś uderzał, i to powiadam, że dyabelska w nim jest odwaga. Dyabelska, mospanie! bo nie wstydzę się i tego powiedzieć, że nawet ja sam, który wiele o sobie trzymam gdy pałasz mam w ręku, jednak nie przysiągłbym na to, że mu cięcie wytrzymam.

— To być może — odpowiedział Jur na to — boć nawet mówią, że sam dyabeł w nim siedzi, ale ja bo i dyabłu stanę głowa na głowie! A wiesz waszmość dlaczego?

— Nie, nie wiem.

— Bo mam czyste sumienie — odpowiedział Jur z Borowiczek. I z tem wyszliśmy na dziedziniec.

A dziedziniec aż chodził wokoło od samego gwaru, pobrzęku i różnej swawoli, którą drudzy, popiwszy się do szaleństwa, dokazywali. Kiedyśmy weszli pomiędzy nich a ja się rozpatrzyłem bliżej we wszystkiem co się działo, a już zmrok był zupełny i księżyc jeszcze ani myślał wychodzić na niebo, bo działo się to w dzień, dwa dni po pełni, że i nie mogłem dojrzeć wszystkiego: — Źle — pomyślałem — szlachta pijana jak susły. — A do tego stopnia pijana, że nietylko się tak głośno całowali, jakby kto strzelał z batogów, ale drudzy się aż z koni ściągali z swawoli, inni nawet po ziemi tarzali. Szklanka, dwie, trzy zresztą, dla fantazyi i dobrego humoru, to jest rzecz nie zła i owszem skuteczna, ale spić się jak bele w takiej chwili kiedy się komuś przyszło na pomoc i ma los jego rozstrzygać, to dyabła warta taka robota. Jakoż zaraz podybawszy Gintowta, rzekłem do niego:

— Panie cześniku dobrodzieju, czy nienadtoście tym ludziom w szyję naleli?

— Jakto na czczo? — rzekł Gintowt, patrząc mnie się prosto w oczy i pokręcając siwawych wąsów.

— Ja mówię czy nie nadto?

— Nie nadto, w samo prawie — odpowiedział pan cześnik, ale odchodząc tak potężnie się kiwnął na stronę, iż ani chwili nie wątpiłem, że i on ma w samo prawie.

Wtem przystąpił do mnie Jur znowu, który już tymczasem cały dziedziniec był obszedł i rzecze:

— No! panie bracie, teraz my się napijmy po kropli, bo już czas wielki.

— Dobrze — rzekłem — ale cóś im tu zanadto ponalewali.

— Nic nie szkodzi, przecie to półtorej mili drogi.

Podał nam też zaraz pan Kościuszkiewicz dwie butelki dobrego wina, które wypiwszy sobie z Jurem w ręce, rzuciliśmy na ziemię; on zaś wystąpiwszy na stół kamienny, już nie smutnym, ale donośnym i czystym jak dzwon głosem zawołał:

— Panowie! czas wsiadać! Niech żyje pan Wit! Niech przepadnie na wieki wstyd i hańba oszmiańskiego powiatu!

— Wiwat! — krzyknęli wszyscy jednym głosem, a lubo z tych i owych kątów dały się słyszeć głosy:

— Kto krzyczy?

— Dyabeł wenecki.

— Jur z Borowiczek.

— Jaki mi do komendy!

— Panie Seneka, czy wsiadać?

— Panie Gintowt! a jak tam? ty prowadź!

— Czekaj no! jeszcze słowo!

— Hej! niech go dyabli!

— Ani kosteczki zeń nie zostanie! — i Bóg nie wie co jeszcze, to jednak ani jedno *Ave* nie przeminęło, kiedy już wszyscy siedzieli na koniach, a Jur na siwym ogromnym ogierze, szalał tędy, owędy prosząc do porządku waszmość panów braci i dobrodziejów.

Moje konie dwa osiodłane i całkiem gotowe stały przy stodole na stronie i trzymał je tam Węgrzynek, więc ja też zbliżyłem się do nich i kiedym właśnie myślał nad tem, czy mam Zosi jeszcze ucałować rączki przed odjazdem, czy uniknąć łez i czułości, bez pożegnania odjechać, rzecze do mnie Węgrzynek:

— Panna stoi ze starym jegomością w ganku i prosi, aby pan się z nią widział koniecznie.

Odwróciłem się więc od koni i poszedłem w ganek, a stary do mnie:

— Mój Nieczujo! zniknąłeś gdzieś jak kamfora; czy nie myślisz się nawet pożegnać?

— Wszakżeż da Bóg za kilka godzin znowu się powitamy.

— Patrzajże — rzecze stary — to on naprawdę myślał bez pożegnania odjechać. A przecież to wojna, mosanie! Kto wie co komu jest zapisano, a i tak jeszcze chciałem ci co powiedzieć. Komendę wziął Jur z Borowiczek z Gintowtem, to dobrze, bo to ludzie jak mur; ale szlachta się trochę popiła, uważaj tam z łaski swojej... żeby się ta hołota gdzie nie pogubiła po drodze. Oj! bo to widzę i na oszmiańską już termin przyszedł.

— Ale niechno jegomość już się spuści na nas; choćby we trzech uderzymy i panią stolnikową na rękach tu przyniesiemy.

— Mój Nieczujo! — zawołał dziadek rozczulony i nachylając się ku mnie — rób jak możesz. Niech cię Bóg prowadzi, mój synu!

Słowa: mój synu! zaraz mnie pochwyciły za serce, rzuciłem się więc do nóg dziadkowi i łzy mi się w oczach zakręciły; do tegoż Zosia jeszcze, rozpłakawszy się także i chusteczkę trzymając przed oczyma, wyłkała do mnie:

— Panie Marcinie! powróć nam mamę, a za niewolnicę pójdę do niego do śmierci!

Na te słowa kiedy to ryknę sobie w głos basem, a Zosia dyszkantem, szczęście że panowie bracia nie bardzo byli posłuszni Jurowej komendzie i stąd był gwar wielki eszcze i hałas, bo mój płacz pewnoby był przez wszyst-

kich słyszany. Ale tak sam własnym głosem ocucony zebrałem się i ścisnąwszy jeszcze Zosię za rączkę, skoczyłem na koń i wraz z Węgrzynkiem pomieszałem się ze sprawiającą się w krótkie szeregi szlachtą.

Kiedyśmy wyjechali i zaraz za bramą sprawili się na drogę, zrazu tylko krzaczyskami i karłowatą brzeziną otoczoną, zaraz też księżyc pełny dobył się na niebo, ale taki był krwawy, tak czerwony, że zawiesiwszy się nad czarnymi borami, wyglądał jakby słońce wypalone i gasnące nad Litwą. Potem wyjechał on wyżej i jeszcze wyżej, a tak jeszcze wyjaśniał i wybielał, że rozlane po sobie światło jego odbijając ziemia, zdawała się kobiercem zielonym w srebrne dzianym desenie. Nakoniec wyszedł na sam środek niebieskiego sklepienia i lejąc coraz obfitsze białego światła powodzie, zdało się, że stanął tak i czekać będzie, póki nie powrócimy z wyprawy.

A my, sprawiwszy się w takie szeregi, jakie się na niewielkiej drodze pomieścić mogły, ciągniemy sobie truchtem dalej i dalej. Na przodzie jedzie starszyzna, więc Gintowt, więc Żaba i innych kilku jeszcze siwowłosych, których nazwiska, ile że litewskie, więc dziwne a krótkie, dawno mi już wyleciały z pamięci.

Za nami w pierwszych szeregach posuwa się szlachta co przedniejsza, a po skrzydłach młodzież, która ognistsza i radaby już prędko zblizka obaczyć jako smakuje bitwa; dalej pospolita szlachta z zagonów, a nakoniec tałałajstwo na chudych szkapach, ladajako okulbaczonych, wszyscy pijani serdecznie, gwarzący głośno, odgrażający się srodze i z pachołkami a z gawiedzią w czambuł zmieszani.

Ja, jako obcy pomiędzy nimi, żeby mnie kto nie posądził o chęć burmistrzowania na cudzej ziemi, jechałem z Węgrzynkiem moim na samym końcu, ale ani dwóch stajań nie zrobiłem, kiedy do mnie przygalopował Jur z Borowiczek z drugim jeszcze jakimsiś młokosikiem, którzy to lubią wieszać się przy starszych, aby nic jeszcze nie uczyniwszy i żadnego dowodu ani ręki ani głowy nie dawszy, zaraz już coś więcej znaczyć od innych, i obadwa stanęli przy mnie.

— Kto tu się wlecze na szarym końcu? — dojeżdżając do mnie i opatrując mnie bliżej.

— To ja, panie bracie — odpowiedziałem — nie chcę się naprzód wysuwać przed Litwą, żeby mnie Litwini nie posądzali o co, bo i tak już słyszy się nie jedno i puszcza pomimo ucha, a jak przyjdzie do bitwy, to już ja się znajdę na przedzie.

— Masz waszmość prawdę; w ogniu pierwszy, w odwrocie ostatni, oto żołnierz jak trzeba, a tymczasem ja tu z waszmością pojadę.

— Proszę, proszę — rzekłem — jeżeli waszmość dla mojej kompanii, to nie przyjmuję tej grzeczności; waszmość tam potrzebniejszy na przedzie.

A on na to:

— Radbym mówić, że dla kompanii, ale tak nie jest, bo tu moje właściwe miejsce.

— A to na co?

— Na co? niebawem to waszmość obaczysz.

Ledwie tych słów dopowiedział, kiedy dwóch wasze-ciów z szarego końca, już od niejakiej chwili pozostając po trochę, skręciło nagle na lewo i zniknęło między jelnikiem. W tymże momencie spiął Jur konia i krzyknąwszy: Oho! już? — skoczył za nimi i zaraz im drogę zajechał. Myśmy posunęli się za nim.

— Panowie bracia! — wołał on do tych dwóch zatrzymanych przez siebie — *fugas chrustas?* fe! to nie ładnie.

— My nie... my tego... ja tylko tak... jąkali oni jeden za drugim, zmieszawszy się setnie.

— No, ja widzę że to nic, że waszmość tylko tak — odpowiedział Jur na to — ale jednakże to nie ładnie; niechno waszmość nazad się wsuną w szeregi, bo my nim uderzymy na zamek, to pierwej przecie staniemy i obliczymy się, a pan Gintowt ma wszystkich spisanych.

— Co u dyabła! popisał nas? — rzekł jeden.

— Ba! popisał, panie bracie, chyba wracajmy — odpowiedział i zwróciwszy konie, wjechali obadwa do szeregu mrucząc sobie coś z litewska pod nosem.

— Będzie tu złego więcej — rzekł do mnie Jur, kiedyśmy już dawnym ładem postępowali dalej.

Jakoż zaraz się to potwierdziło, bo znowu niebawem dwóch wymknęło się w jelnik, a kiedyśmy ich zgonili, pokazało się że obadwa byli szczerzy boćwinkowie z pod samej Oszmiany. Jednakże nie mogę powiedzieć, żeby dużo było tego gubienia się po drodze, bo koniec końców tylko trzech nam uciekło.

Zegarek mój kieszonkowy pokazywał jedenastą godzinę, kiedy Jur rzecze do mnie:

— Kiedy wyjedziemy za las, popatrz waszmość na lewo, obaczysz zamek Murdeliona. I w samej rzeczy ledwieśmy wyjechali za las, zaraz się tak przecudny a dziwny przed naszemi oczyma roztoczył widok, że go podobno do śmierci nie zapomnę. Widok ten oto poczynał się piękną równiną, która była tak lekką a białą mgłą nakryta, jak gdyby ją kto delikatnym nakrył muślinem. Mgła ta im dalej, tem się wydawała gęściejszą i bielszą i tem podnosiła się wyżej, a nakoniec tak wysoko, że aż sobą zakrywała ostatni kres nieba; a wsiąkając w delikatne swe fałdy srebrne światło księżyca, dozwalała zarazem przez siebie widzieć rój gwiazdek bladawych, niby w niej utopionych i konających. Na takiem tle cudnem po lewej stronie nad wzgórzem rysował się zamek czarny, którego jednakże tylko wierzchnie mury i nie wysokie zębate a krzewami zarośnięte już baszty, widne były naszemu oku; reszta zamku także była w mgle zatopiona. Na tych murach i basztach widać było wyraźnie jakichś ludzi kręcących się tam i sam, którzy tem dziwniej nam wyglądali, ile że niektórzy z nich trzymali jakieś lonty zapalone, albo latarnie w rękach, i z niemi się snuli. Zresztą jeszcze tylko w kilku oknach zamkowych widać było światło jaskrawsze, niżej mgła grubsza niczego już dojrzeć nie dozwalała.

Ujrzawszy to, zatrzymałem konia i przypatrywałem się temu dziwnemu widowisku, a im dłużej się przypatrywałem, tem dziwniejsze mi się naciskały myśli i uczucia, bo to co widziałem kazało mi się domyślać raczej jakiegoś

zaczarowanego dobrych duchów mieszkania, niżeli dyabelskiego siedliska. Ale niebawem wyprowadzony zostałem z błędu, bo w tejże chwili krzyk głośny dał się słyszeć na murach, czerwone światełko mignęło jaśniej na jednej baszcie, trzy strzały działowe zatrzęsły ziemią i powietrzem, trzy kule zaświstały koło nas, a jedna z nich o kilka kroków tylko odemnie roztrzaskała wraz z koniem owego młokosika, który dobrowolnie adjutantował Jurowi.

Takie przywitanie, przez najbojaźliwszych nawet niespodziewane, zrobiło efekt należyty.

I warto było widzieć Jura z Borowiczek natenczas, jako z dobytą szablą rzucił się przed front pierwszych szeregów; warto było widzieć Gintowta starego, który odmłodniawszy o lat dwadzieścia stał na przedzie jak rycerz prawdziwy; ba! warto bo i było widzieć on hufiec cały, który, pozbywszy się trzech tchórzów ze swoich szeregów, na odgłos strzałów zatrząsł się cały i dobywszy jednocześnie szabel, stanął nietylko gotowy, ale pojedynczymi końmi nawet naprzód wysadzał, i rwał się, jak gdyby każde mrugnienie oka było dla niego godziną.

Kiedy się słyszeć dały one trzy strzały działowe i jednym z nich ustrzelony został on młody Litwinek, skoczył Jur na koniu przed front hufcu i dobywszy szabli, wielkim głosem zawołał:

— Krew już płynie! po żołniersku ten dyabeł nas wita, odpowiedzmyż mu po żołniersku!

Gintowt zaś z swojej strony zawtórzył:

— Pomnijcie na to, że ja tam każdą dziurę znam w zamku; kiedy uderzycie, wprost za mną, z przyzwoitym impetem, ani włos z głowy żadnemu z nas nie upadnie!...

I coś tam jeszcze perorował pan Gintowt, a tymczasem Jur z Borowiczek i jeszcze kilku innych co przedniejszych a żołnierki z lat dawnych świadomych, rzucili się to na lewe skrzydło, to na prawe, to na tył, aby w szyk bojowy posprawiać szeregi.

Ja z Węgrzynkiem i owym nieboszczykiem rozerwa-

nym na dwoje stałem zrazu z tyłu za całym hufcem, ale gdym usłyszał głosy komendy, rzekłem do Węgrzynka:

— Janczi! pamiętajże sprawić się dobrze, bo zuch jesteś w gospodach i dobrze się sprawujesz z hołotą, ale to wszystko za nic, kiedy rzecz pokpisz ze szlachtą.

— Wielmożny panie! — rzecze on na to — mnie aż dusza się śmieje. Wszystko dobrze będzie.

— Pamiętajże — rzekłem jeszcze — trzymać się mnie niedaleko, a przy pierwszym sturmie nie wyrywaj się bardzo naprzód, bo pocztowym to nie przystoi. Potem już bij gdzie się podoba. No, w Imię Boże!

Zaszwargotał coś jeszcze mój Janczi z węgierska i wjechawszy w kupę, wwierciliśmy się tak, że ja stanąłem w pierwszym, on zaś tuż za mną w drugim szeregu.

Szeregi już były sprawione, tylko jeszcze ten i ów się poprawiał na siodle, tamten pistolety dobywał, drugi się modlił po cichu, a inny nawet szkaplerz poświęcany całował; więc Gintowt stary obwiązawszy rękę paskiem św. Franciszka od omdlenia i kurczów dla wiekowych ludzi skutecznym, podniósł w niej szablę do góry i odrzuciwszy pierwej Jurowi słów parę, chciał już podobno w imię Boże zawołać, ale w tymże momencie znowu takież trzy strzały działowe zagrzmiały z murów — jednakże tym razem nic nam nie zaszkodziły, tylko mowę Gintowtowi przerwały. Lecz gdy te strzały przebrzmiały a Jur z Borowiczek stał już na prawem skrzydle nieopodal odemnie, Gintowt jeszcze parę kroków ku szeregom postąpił i głośno zawołał:

— W Imię Ojca i Syna i Przenajświętszej Matki Ostrobramskiej dalej panowie bracia! — Po tych słowach on sam zwrócił konia i skoczył pierwszy, my zaś wszyscy z okrzykiem: Jezus, Marya, Józef, skoczyliśmy za nim i zaraz pędem z kopyta.

Zamek ów od nas nie był dalej na trzy stajań; fosy w koło niego były pozarastane, mury porozwalane i tylko gdzie niegdzie krokwiami albo belkami naprędce pozakładane, ale luki wszystkie były wielkiemi kupami ludzi poobsadzane, o czem my jednak nic a nic nie wiedzieli. I kiedyśmy z miejsca ruszyli, to lubo szeregi nasze były

wyciągnięte prosto jak linie, w stu krokach wszystkie się rozerwały i zrobiło się tak, że Gintowt po staremu dźgał naprzód, za nim zaraz Jur z Borowiczek, za Jurem ja z drugim jakimś szlachcicem, a za nami dopiero reszta gnała co konie mogły wyskoczyć. Ale i tym porządkiem nie biegliśmy dalej, jak drugie sto kroków, bo w trzecich stu wszystkich nas naczelnych przesadził mój Janczi — i z takim impetem uderzył w to miejsce, gdzie snać dawniej brama bywała, ale teraz kilka drzew tylko leżało i tłum ludzi zbrojnych stał z wystawionemi przeciwko nas spisami, że sam prawda wywrócił się z koniem przez drzewa, ale nam taki rum zrobił, że przez cały dziedziniec nabity hołotą przejechaliśmy jakby tylko przez łąkę i znaleźliśmy się pod samemi drzwiami zamkowemi. Tam się znalazłszy, za przykładem Gintowta zaraz zeskoczyliśmy z koni i walimy prosto po wschodach kamiennych na górę. Jak się to działo, Bóg raczy wiedzieć, bo, prawdę mówiąc, ja przynajmniej w takich imprezach jeszcze nie bywałem, tem bardziej też tutaj, nie znając ani miejscowości, ani ukrytych Gintowta planów, o które nawet pytać nie było czasu, szedłem jak ślepy lub pijany; jednakże znalazłszy się na wschodach i obaczywszy że nas tylko pięciu tam było, reszta zaś wszystka pozostała na dole, a może i za murami, rzeknę prędko do Jura:

— Panie bracie! pięciu nas tylko, odcięto nas!

— Nie odcięto, znam ja swych ludzi! — odpowiedział Jur i wtem wpadliśmy do sieni pierwszego piętra. Tam zaraz na Gintowta, który szedł pierwszy, uderzyła kupa zbrojnych. Gintowt się odciął i zaraz natarł, tuż za nim Jur rzucił się jakby lew rozdrażniony, a potem nuż my kiedy ich weźmiemy na szable, to jakby orzech zgryzł kilku położyło się zaraz, a reszta jak wymiótł. Murdeliona jednak pomiędzy nimi nie było.

— Gdzież ten dyabeł wenecki! — zawołał Jur na to, gdyśmy w sieniach ostali sami.

— Do tych drzwi walmy! — zawołał Gintowt, pokazując drzwi jedne na lewo.

Wtem huk straszny się rozległ po całym zamku, wszystkie mury zadrżały, aż podłoga pod nami zadygotała. Był to ostatni strzał działowy wydany z baszty zamkowej, ale już to był jęk śmiertelny tego dyabelskiego zamczyska — bo nie zważając nic na to, w tejże chwili rzuciliśmy się na drzwi pokazane nam przez Gintowta i uderzyliśmy w nie ramionami. Drzwi tylko trzasnęły kilka razy pod naszym naciskiem, ale też i natychmiast pękły i rozdarłszy się w kilka części, wpadły do izby. W pierwszej izbie nie znaleźliśmy nikogo, tylko światło uderzyło nas w oczy; ale równo z łoskotem, który za naszem wpadnięciem rozległ się po salach zamkowych, w drugiej czy w trzeciej izbie dał się słyszeć strzał z pistoletu i zaraz za nim krzyk gwałtowny, kobiecy, rozdzierający serce. Na to poskoczyliśmy jeszcze rączej do drugiej izby, ale i w tej nie było nikogo, tylko światła i światła; przy drzwiach do trzeciej dopiero jakiś chłop zbrojny zastąpił nam drogę — ten od Jura rozpłatan na miejscu. Po tym trupie przebiegliśmy dalej, do sali wielkiej, wysokiej, z wązkiemi gotyckiemi oknami, z mnóstwem różnych drzwi i krużganków, ale i tu nie było nikogo, a że drzwi było kilka, więc Gintowt znowu rzucił się naprzód i wpadłszy razem z nami w małe rogowe drzwiczki, wwiódł nas do niewielkiego pokoju, w którym już miało się oko na czem zatrzymać. Na ziemi bowiem wyciągnięta jak długa leżała zda się już nie żywa niewiasta, koło niej z rozpierzchnionymi włosami, z krwią nabiegłemi oczyma, z twarzą prawie tak czarną jak węgiel, pomieszany, chwiejący się, we francuskie czy włoskie, koloru czarnego suknie ubrany, on sam Murdelio. U nóg jego na ziemi, nie naleko od tej kobiety, leżała szabla bez pochwy i pistelet pewno po strzale porzucony przez niego; on zaś sam trzymał drugi pistolet i ze wzrokiem utkwionym w ową kobietę zdawał się być w onym fatalnym momencie, w którym człowiek, spełniwszy czyn rozpaczy i widząc że i ten nie zdał się na nic, traci głowę i zmysły. Jednakże gdyśmy wpadli, porwał się i wymierzywszy do nas z pistoletu, wystrzelił, ale już spudłował. Na to Jur rzucił się na niego, a jako już

rozbrojonego, puściwszy szablę na temlak, ręką go pochwycił za kark i podniósłszy go w powietrze, zawołał:

— Rozćwiertować tego dyabła!

Ale ledwie tych słów domówił, Murdelio się zwinął jak wąż, Jura ukąsił w rękę do samej kości i wyrwawszy mu się z garści z sztyletem błyszczącym jak szkło, który nie wiem czy miał za rękawem, czy dobył z zapasa, rzucił się na nas. Nasza wina była żeśmy nie byli przytomni, z czego on korzystając, najpierw mnie który już z opuszczoną szablą stałem o parę kroków, pchnął tak silnie w pierś poniżej prawego ramienia, że mi i pierś przebił aż do samej łopatki i zaraz powalił o ziemię; potem Gintowta srodze drasnął po twarzy i także powalił, a przez powalonych skoczywszy, w drzwiach zniknął. A wszystko to stało się tak nagle, że kiedy tamci dwaj szlachta za uciekającym z pistoletów strzelili, to jeno drzwiczki kulami potrzaskali.

Co się dalej działo, tego już dokładnie opowiedzieć nie umiem, bo mnie za moment cała gęba napełniła się krwią i odszedłem od przytomności. To tylko dla zaokrąglenia rzeczy dopowiem, że ona niewiasta, którąśmy na ziemi leżącą znaleźli i zabitą być rozumieli, była to pani stolnikowa, ale ani nawet draśnięta nie była, tylko tak od przestrachu przy pierwszym Murdeliona strzale omdlała. Zaś czy ten strzał Murdelio puścił do niej, czy przez prędkość do nas, jeszcze natenczas w pierwszej izbie dopiero będących, nigdy się od niej nie można było dowiedzieć.

Szlachta nasza, powstrzymana przez ową hołotę w dziedzińcu, biła się doskonale, ale hołota nicpotem, jednakże naszych liczono czterech zabitych i kilkunastu ranionych, pomiędzy tymi i Węgrzynka mego, który tak był skłuty i potłuczony, że jego powrócenie do zdrowia i do dawnej fantazyi za cud Pana Boga trzeba było uważać — hołoty zaś nasieczono bez liku.

Murdeliona, po zniknieniu jego z onej izby narożnej, ludzkie oko już nie widziało: przechował-li on się gdzie w jakiej piwnicy, dostał li się jakim podziemnym wychodem na czyste pole, a nawet czy kiedykolwiek potem jeszcze się na swym zamku pokazał? — pozostało zagadką na wieki, a zarazem i źródłem do wielu baśni i plotek, które do dziś dnia opowiadają sobie w tych okolicach.

My zaś wszyscy, a mianowicie pani stolnikowa, wystraszona, milcząca i blada, jakby ją z trumny wyjęto, ja srodze ranny i osłabiony, Gintowt z rozpłataną gębą i wąsem odciętym, i reszta pokaleczonych, powsadzani na wozy i otoczeni mało co przetrzebionym hufcem naszym na koniach, jeszcze śród ciemnej nocy wyruszyliśmy z zamkowego dziedzińca, a właśnie słońce poranne pierwszymi promieniami swymi złociło jasno zielone łąki i pola i tysiącami tęczowych blasków igrało w każdej kropelce rosy, kiedyśmy stanęli przed obrazem Matki Najświętszej Ostrobramskiej, wiszącej nad gankiem dziadkowego dworku, i tam witani byli łzami i mdłościami, i okrzykami radości, pomieszanymi ze sobą.

XIV.

Już to był miesiąc sierpień na niebie i ziemi. Słońce letnie, puszczając swoje ogniste promienie pionowo na ziemię, powyciskało ostatnie soki z krzewów i roślin; zboża jedne już zżęte stały w półkopkach na polu, drugie dojrzewały co dzień, co godzina, co chwila; sady, obrodziwszy obficie, gięły się pod ciężarami owoców i roznosiły ciężką woń po powietrzu, jarzyny już schnąć poczynały po ogrodach; czerniał groch niedawno jeszcze zielony i upadał do ziemi, kurczyły i otwierały się same od siebie strączki różnobarwnej fasoli, obwijała się włóknem i uwiędłe opuszczała liście wysmukła kukurydza, i tylko burak jeden, poczerwieniawszy na liściu jakby pijanica na twarzy, chwiał się na wietrze, lecz potężnie trzymał się ziemi. Już ptactwo błotne, wzmógłszy się we dwójnasób młodem pokoleniem i oblawszy się pięknie, wabiło do siebie myśliwych; już po odlocie dudka i rybitwy, niby przedniej straży wędrowników powietrznych, bociany poczęły się

zbierać na nizkich łąkach na swoje sejmy, aby się o podróży naradzić, już po otawiskach całe noce ze spętanymi końmi trawiły koniuchy, ba już i pługi poczęły coraz gęściej pokazywać się w polu, aby św. Bartłomiej zastał pokrajaną już ziemię i przyjął w opiekę swoją pierwszy zasiew ozimy — a ja jeszcze ani jednego kroku nie dałem z łóżka.

Rana, którą mi w dzień zajazdu zadał był Murdelio, lubo była ostrem i nie szerokiem uczyniona żelazem, w żaden sposób zupełnie się nie dawała zagoić; lekarze aż zachodzili w głowy i nie mogąc dać sobie rady, powiadali że sztylet być musiał zatruty. Jednakże niebezpieczeństwa nie było: w sierpniu już nawet obiecywali mi oni na pierwsze dni września wyzdrowienie zupełne. Ja też na nich znowu nie nalegałem tak bardzo, słabość ta bowiem przy niewielkich boleściach a ustawicznem siedzeniu Zosi przy mojem łóżku nie tylko nie była mi nadto przykrą, ale owszem była ona i będzie jedną z najpiękniejszych chwil mego życia. Tem ci przyjemniejsze były mi one chwile mego w domu dziadkowym leżenia, ile że poczciwe Litwiny, przekonawszy się z łaski swojej podczas zajazdu dowodnie, że nie jestem niegodnym ich przyjaźni i życzliwości, nie zaniedbywali mnie ile możności jak najczęściej nawiedzać, a że to u nich umysł także wesoły i do swawoli skory, a dziadek miał dawną pod śpichrzem piwnicę, którą teraz dla panów braci na ścieżaj otworzył, więc i nieraz tak było, że w moim pokoju i to przy mojem łóżku gwar był jak przy szynkwasie — albo, kiedym był dobrej myśli, Węgrzynkowi mojemu, który pomimo ran kilkunastu i ciężkiego pobicia, dawno już był wyzdrowiał, za siebie je spełniać kazałem. I nie krzywiła się szlachta na to, bo wiedziała dobrze, że Węgrzynek jest szlachcic, a choćby nim nie był, toż fantazya jego, z którą nad wszystkich pierwszy na zamek Murdeliona uderzył, wartą była szlachectwa.

Zabawom onym, które się w moim odbywały pokoju, dziadek towarzyszył statecznie i pił równo z drugimi a może i lepiej, a kiedy wpadł w dobry humor, to powiadał szlachcie o ich ojcach i dziadach rzeczy takie, że go słuchali jak gdyby wieszcza lub proroka.

Gintowt stary z czerwoną przez twarz pręgą i poniewolnie podciętymi wąsami ledwie nie codziennie do nas przyjeżdżał, a przywożąc ze sobą prawie zawsze takich, którzy przy zajeździe nie byli, codziennie temi samemi słowy opowiadał im szeroko i długo głębokość i dowcip onych przez niegoż samego wymyślonych i wykonanych planów, których skutkiem było ubieżenie dyabelskiego zameczyska i wydobycie ze szponów szatańskich pani stolnikowej dobrodziejki, której rączki całował.

Ale pani stolnikowa nie często pokazywała się u mnie, daleko mniej jeszcze gościom, a będąc ustawicznie smutną i częstą płaczącą, nie mało nanudziła dziadka, aby z Litwy wyjeżdżać i nie powracać już do Żwiernika, tylko teraz znów na Wołyniu zamieszkać, we wsi onej, którą tam miała. Dziadek protestował się przeciw temu, a nawet kiedy tego potrzeba była, mawiał do niej surowo i ostro:

— Dajno mnie pokój z tym twoim wyjazdem! Pan Bóg przez dobroć swoją najwyższą prawie cudem mnie wrócił na Litwę i pewnie nie po co innego, tylko po to, ażebym kości moje położył przy ojcach, a ona mnie każe wlec się aż gdzieś na Wołyń!

I wogóle można powiedzieć, że po powrocie stolnikowej ze zamku, dziadek cale inaczej z nią się obchodził niż przedtem; czemu tak było i co się tam zresztą działo w sercu tej kobiety, gdzie były jej uczucia, gdzie myśli — nikt się nie dowiedział ni teraz, ni potem.

Ja do mojej siostry śród słabości pisałem po kilka razy, a pisałem w ten sposób, że Zosia przez łaskę swoją trzymała pióro, ja zaś jej dyktowałem, a na końcu, jako prawą ręką władać nie mogący, kładłem krzyż święty miasto mego podpisu — siostra zaś do mnie tylko jeden list napisała, w którym mi donosiła, że jej mąż jeszcze z Mazurów nie wrócił, bo mu moje sprawy bardzo idą oporem, a nawet kto wie czy tak nie wypadnie, że będzie musiał sam jechać do Wiednia, aby się osobiście rzucić do

nóg cesarzowej-królowej i puszczenie w niepamięć mojego obwinienia uprosić.

Ze Żwiernika pisano nam kilka razy, jednakże nie wiele wyrozumieć mogliśmy z Zuzinych listów; zdawało się nam nawet że nie było potrzeby łamania sobie głowy nad jej bazgraniną, bo cóż ona nam mogła donosić? tego jednego jej tylko zapomnieć nie mogłem, że w żadnym liście ani słowa nie wspominała o mnie, a natomiast w każdym dopytywała się o Lgockiego, czy już jest u nas, i czy stateczny jest w swych sentymentach. A tymczasem o Lgockim i słuch zaginął; po wyjeździe swoim z Tarnowa przepadł jak kamień w wodzie i nikt nie wiedział nic o nim ani tam ani tutaj.

I tak w zupełnej prawie niewiadomości tego co się tam działo w domach i rodzinach naszych spędzaliśmy dnie jeden za drugim, przyjmując u siebie życzliwych dla nas Litwinów, słuchając ich gawęd i plotek okolicznych i niewiele myśląc o jutrze.

Aż dopiero jakoś w ostatnich dniach sierpnia, kiedy ja już, zagoiwszy ranę moją zupełnie, tylko osłabiony jeszcze cokolwiek, mogłem przechodzić się po pokoju, a nawet we dnie pogodne przechodziłem się po dziedzińcu — dnia jednego po południu, kiedy wszyscy z całym domem i kilkoma gośćmi zasiedliśmy w ganku i odżuwaliśmy tylko po kilka razy już wymłócone opowiadania i przypomnienia, nowy gość nam zajechał w dziedziniec. Wjeżdżającego dopiero w bramę, uznaliśmy wszyscy jednogłośnie za kogoś obcego i ze stron dalszych przybywającego, bo jeszcze przed bramą przystawał i fornalów jadących w pole o coś rozpytywał, a kiedy przed ganek zajechał, sprawdziło się nasze domniemywanie jasno i dowodnie, bo to był szwagier mój Michałowski.

Skoczyłem tedy do niego, witając serdecznie, a on mnie aż ze łzami. Prezentowałem go potem dziadkowi, Zosi i gościom, jakoż wszyscy okazali mu cześć należną i życzliwość; jedni dla mnie, drudzy dla niego samego, bo przy wcale jeszcze młodym wieku dziwnie wielka powaga była w tym mężu, i taka jakaś umiejętność niewolenia ludzi dla siebie, że niektórych jednem wejrzeniem, innych kilkoma obojętnemi słowy, czynił sobie przyjaciołmi na wieki. Jedna tylko stolnikowa, kiedym go zaraz zaprowadził do jej pokoju, nie wiem dla czego witała go obojętnie i zimno, a nawet zdawało mi się, że podczas prezentacyi taki się wyraz wymalował na jej twarzy, jak gdyby zgoła niechętną była jego przybyciu. Jakoż potwierdziło to się niebawem, bo kiedyśmy u niej usiedli, aby kilka słów z nią wymienić, rzekła ona do niego:

— Wielka przyjaźń musi wiązać waszmość z panem Nieczują, kiedy aż o tyle mil przybyłeś, ażeby go nawiedzić.

Michałowski dał jej zaraz delikatnie do poznania niedorzeczność takiej uwagi, mówiąc zwolna a wyraźnie:

— Jestem rodzonym szwagrem pana Marcina.

Po tej odpowiedzi i kilku innych jeszcze całe obojętnych słowach, zrobiło się jeszcze gorzej, bo pani stolnikowa spytała go:

— Waszmość pan jechałeś tu na Warszawę i Grodno?

— Tak jest, pani dobrodziejko — odpowiedział Michałowski.

A ona na to:

— A nie słyszałeś pan co na drodze o jmć panu Lgockim, który się tutaj do nas puścił z Mazurów i do dziś dnia go nie masz?

— Ja całkiem nie znam pana Lgockiego — odpowiedział mój szwagier, znacząco spozierając na mnie — i nic o nim nie słyszałem.

A mnie aż się oddech zaparł na takie zapytanie; jawno mi bowiem już było, że nie posiadam łaski u matki Zosinej. Gorzej nawet, bo czyż to dobre i czułe serce być mogło, które nie znało się do wdzięczności za tyle moich poświęceń? I smutno mnie się zrobiło w onej chwili, byłbym płakał z żalu. Jakoż poznał to zaraz Michałowski, co się działo we mnie, i urwał natychmast rozmowę, a ekskuzując się tem, że ma ze mną o wielu ważnych rzeczach do pomówienia, powstał i wyprowadził się ze mną do izby

osobnej, na drugą stronę. Tam wszedłszy, rzekł zaraz do mnie:

— Cóż to jest za kobieta? jak mnie Bóg miły ja tego nic a nic nie rozumiem.

— Panie bracie — rzekłem ja na to — o tem będziemy rozmawiać później i zapewne szeroko i długo; ale teraz musisz mnie opowiedzieć, co się tam ze mną dzieje w Tarnowie i w Bóbrce, bo już ginę z niecierpliwości. Po twojej minie uważam, że coś nie bardzo dobrze.

— I owszem — rzekł on stanowczo — jak po nieszczęściu to bardzo dobrze. Proces twój całkiem załatwiony; możesz choćby i dziś wracać do domu.

— Jakże to? jakim sposobem? któż głównie pomógł?

— Pan Bóg pomógł, jak zawsze — odpowiedział Michałowski. Słuchajże, to ci opowiem. Przyjechawszy do Tarnowa zaraz odszukałem Konopkę i Stojowskiego, od nich bowiem chciałem się najpierw dowiedzieć, ażali twojej ucieczki z kałauzu nie ma jakich złych skutków. Jakoż dowiedziałem się, że nie tylko nie masz stąd żadnych złych skutków, ale prócz tych, którzy tę rzecz podejmowali, nikt nawet właściwie nie wie, co to i jak to było. Dosyć że co się tyczy tego aktu, władza tarnowska sama nie wie co ma rozumieć i kogo o to oskarżać i dlatego nic poczynać nie może.

— Tak to się stało! — zawołałem uradowany — niechże Panu Bogu będzie chwała za to na wieki; bo przyznam ci się, że mnie to daleko więcej niepokoiło, niż obawa o siebie samego. Kiedy człowiek wpadnie w jakie nieszczęście i przyjdzie mu cierpieć czy to z przypadku, czy z własnej przyczyny, to mniejsza o to! póki sam cierpi, wszystko się jakoś przeniesie; ale chcący czy nie chcący wtrącić drugich w nieszczęście i widzieć lub wiedzieć o tem, że gdyby nie ja, to oni byliby spokojni i szczęśliwi i nienaruszeni, toby było bardzo boleśnie. Chwałaż Bogu jeszcze raz, że się tak stało, ale powiadajże dalej.

— Otóż uspokoiwszy się z ust Konopki i Stojowskiego o to, co nietylko ważnem było w sobie, ale stanowczy wywierać mogło na twoją sprawę, długo rozpatrywałem i ich i inną szlachtę tamtejszą, która wszystka dobrze ci życzy, jak stoi twój proces i coby w nim z twojej strony uczynić można. Ale to wszystko było daremne, nikt nic nie wiedział, nikt też żadnej rady dać nie umiał. Tedy wypytywaliśmy oficerów tamtejszej załogi, co oni rozumieją o tej rzeczy. Oni zaś powiadali, że po twojej ucieczce już wszystko przepadło, a nawet, że z tego kontenci są twoi sędziowie, bo podobno się pospieszyli cokolwiek i bez wyższego rozkazu rozpoczęli śledztwo z tobą; jakoż jeszcze przed twoją ucieczką mieli być w kłopocie z przyczyny niepotrzebnej swej gorliwości... Nie zdało mi się to podobnem do prawdy, i bądź co bądź, postanowiłem sam pójść do prefekta i plackomendanta. Ale tymczasem nawinął mi się ów baron Holmfels, o którym mi powiadałeś, że cię nawiedzał w więzieniu, a który, mówiąc nawiasem, co drugi dzień prawie bywa w Strzegocicach i formalnie konkuruje o pannę Zuzannę...

— Jakto? a Konopka?

— O! Konopka już dawno zrezygnował!... ale słuchajże dalej. Więc ów Holmfels, człek światowy i grzeczny a tobie bardzo życzliwy, pogadawszy ze mną jaką godzinę, także mnie doradził, żebym sam szedł do prefekta. Więc poszedłem. Prefekt przyjął mnie uprzejmie, prosił siedzieć, nagadał mi dużo ładnych rzeczy, ale co się tyczy ciebie, powiedział mi te słowa: — „Kiedy pan Nieczuja zemknął, to dobrze dla niego, ale na żaden sposób nie może być koniec na tem, bo my go musimy poszukiwać sądownie, a kiedy go dostaniemy, to proces pójdzie swoją drogą. Miłoby mnie było, gdybym mógł panu o tej sprawie inną dać wiadomość, ale na nieszczęście nic ja tu sam nie decyduję, tylko litera prawa.“ — Pytałem go tedy: ażaliby nie dobrze było, gdybym się udał o łaskę do tronu? odpowiedział: że łaska od tronu nie może nastąpić pierwej, póki nie będzie osądzony i kara nie będzie oznaczona, bo tak cóż ma darować cesarzowa-królowa? — Poszedłem potem do plackomendanta, a ten mi to samo powiedział, tylko na końcu dodał: — „Ot! niech pan Nie-

czuja wróci do siebie na wieś i cicho siedzi, kto go tam będzie niepokoił.“ — Kiedym to opowiedział Holmfelsowi, rzekł tenże: — „Wszystko to być może, jednak ja nie radzę powracać. Co się zaś tyczy łaski, to fałsz jest, co mówi prefekt. Prawda, że cesarzowa-królowa nie może przebaczyć, nie wiedząc co ma przebaczyć; ale może wydać rozkaz do urzędów, ażeby rzecz ta była puszczoną w zapomnienie. Tu już coś przyszło z Wiednia względem tej sprawy; dzisiaj mi o tem powiadano, ale nie mogłem się jeszcze dowiedzieć, co właściwie. Słuchaj waszmość: jedź teraz do Bóbrki i opatrz tam gospodarstwo pana Marcina; ja tu tymczasem się dowiem o wszystkich szczegółach tego procesu, a kiedy wrócisz, podamy prośbę do tronu a ja wskażę waszmości drogę do skutecznych instancyj. A choćby ci przyszło i samemu pojechać do Wiednia, to i to nie wielka już rzecz. Już my to jakoś zrobimy.“ — Tedy usłuchałem Holmfelsa i pojechałem do Bóbrki, a kiedym powrócił, cała rzecz już była gotowa. Baron dał mi odpis wiedeńskiego rozkazu, w którym wyraźnie stoi, żeby rzecz ta była puszczoną w niepamięć — i oto go masz.

To mówiąc, Michałowski dobył papier z zanadrza i oddał mnie w ręce. Rozwinąłem go prędko, aby przeczytać, ale powstrzymałem się jeszcze prędzej, dekret ten bowiem był po niemiecku pisany. Tedy i bez czytania dokumentu rzuciłem się jemu w ramiona, dziękując serdecznie za tyle trudów, które poniósł dla mojej sprawy. On atoli, oddawszy mi moje uściśnienia po bratersku, rzekł zaraz:

— Dał nam Pan Bóg wybrnąć z jednego nieszczęścia, niechże Jego Imię święte będzie pochwalone na wieki! Ale zamiast zbytnią unosić się radością, podobno lepiej będzie zawczasu pomyśleć, jakby przebrnąć przez drugie.

— Cóż to jest? — rzekłem przerażony — jakież to nam drugie zagraża nieszczęście?

— Powiedziałem tobie jeszcze u siebie w domu — rzekł na to Krzysztof — że konkur taki, jaki ty rozpocząłeś i teraz kontynujesz, należy uważać za małe nieszczęście. Teraz oglądnąwszy tych ludzi zblizka, a nadto

nasłuchawszy się na noclegu dosyć powieści o pani Strzegockiej, nie tylko nie zmieniam mojej dawniejszej opinii, ale możebym jeszcze do niej co dodać potrafił. Wprawdzie ja sąd mój o niej wydaję tylko ze słów kilkunastu z nią wymienionych, ale żebym jeszcze i tysiąc najsłodszych od niej usłyszał, to gorycz pierwszych zawsze podobno czuć będę. Zosi twojej nie znam; na oko zdaje się to być ciche i potulne dziecko i pewno tak jest w istocie, chociaż to po nie dobrych rodzicach zwykle nie dobre bywają dzieci. Ale, bądź jak bądź, rzeczy tej tak na wieki zostawić nie można; dałeś dowody dostateczne, żeś im jest przyjacielem i że gotów jesteś życie położyć dla Zosi; ozdrowiałeś zupełnie, cóż myślisz dalej?

To zagadnienie Michałowskiego nie mały klin mi zabiło w głowę, mogę nawet powiedzieć, że wstrząsło mną całym tak gwałtownie, jak gdyby mi w myślach spokojnych zagrążonemu nagle kto z pistoletu wystrzelił za uchem. Są bowiem chwile w życiu ludzkiem, w których, lubo nie dają ani wielkich rozkoszy, ani szczęścia stałego, przerwanie lub strata sprawia jednak ból i zgryzotę. Chwile takie unoszą ze sobą zwyczajnie godziny, dnie i tygodnie bez żadnej korzyści, bez żadnej czynności, bo człowiek, nie chcąc sobie przypominać przeszłości, a bojąc się myśleć o niewiadomej i może daleko boleśniejszej jeszcze przyszłości, o niczem nie myśli i nic nie czyni, czas swój umyślnie rozkrawując na jak najdrobniejsze cząsteczki, i starając się żyć każdą sekundą teraźniejszości, ale właśnie dlatego są one ludzkiemu sercu tak drogie a obawa o ich utratę o wiele przenosi jeszcze obawę istotnego i stanowczego nieszczęścia. Nie przeczę tego, że w podobnem położeniu może mogą się znajdować tylko charaktery słabsze i mało mające determinacyi, ale przeto nie zaprę się tego, że i ja natenczas w takiem znajdowałem się położeniu. O przeszłości mojej, miłości i konkurencyi, niechętnie i z przymusem tylko myślałem, przyszłości mojej także nie rad przywoływałem przed umysł, bo była nie pewną a choćby i najszczęśliwszą, to zawsze jeszcze nie taką, jak ją sobie niegdy wyobrażałem; w teraźniejszości zaś żyłem

mile i rozkosznie, bo podzieliwszy sobie czas między swobodne ze słusznymi sąsiadami gawędki i milionowe, jak samo niebo czystej, miłości Zosinej dowody, miałem jeszcze nad sobą Boga, do którego śmiało zwracać mogłem moje modly, a w sobie sumienie niczem nie skażone i tak spokojne, jak powierzchnia wodnej głębiny, kiedy nią żaden wiatr nie porusza. Taką teraźniejszość radbym był przedłużyć na wieczność i wcale nie myślałem, co mam dalej poczynać, a kiedym widział, że pani stolnikowa zaczyna jawnie występować z jakąś niechęcią ku mnie, to nawet obawiałem się każdego przypomnienia tego, że nim się przyszłość moja udecyduje, będę musiał los mój pod jej wolę z pokorą poddać; więc kiedy mnie Michałowski powiedział, że tak dłużej już zostać nie mogę i spytał, co myślę dalej? to mnie dreszcz przeszedł od stóp aż do czupryny, wstrząsłem się, ale nic nie odpowiedziałem. On zaś, przeszedłszy się parę razy po izbie, mówił dalej:

— Hm! ty milczysz i ani myślisz mi odpowiedzieć na moje pytanie. Ja się temu nie dziwię i zdaje mi się, że cię rozumiem zupełnie. Położenie twoje, lubo dziś jest szczęśliwe, bo posiadasz wzajemność Zosi, która jest szczęściem dla ciebie, jednak nie jest godne zazdrości. Człowiek głupi byłby najszczęśliwszy na twojem miejscu, ale ty masz rozum i widzisz aż nadto jasno, że dobra fantazya i poczciwość twoja, z któremi się wybrałeś i przez połowę już przeszedłeś tę drogę, powinny cię były zawieść całkiem gdzieindziej, niż cię zawiodły. Pomijam już wcale twoje utarczki z tym dyabelskim człowiekiem, które, jeżeli Bóg łaskaw na ciebie, całkiem już się skończyły; pomijam różne przykre i fatalne terminy, przez które brnąć musiałeś w tej drodze; pomijam to nakoniec, że cię los zagnał do takiej rodziny, nad którą zdają się wisieć jakieś same nieszczęścia i niezwyczajności; pomijam to wszystko, chociaż wiem, że cię to mało dojmuje i Bóg nie wie czego nie dałbyś za to, gdyby być mogło inaczej: jednakże tego pominąć nie mogę, że stolnikowa sama jest poprostu dla ciebie trucizną. Ja i to wiem dobrze, że ty, jeżeli dzisiaj na twojej drodze nie postępujesz dalej, czynisz to dlatego, żeś już utracił zupełnie ufność i cześć i szacunek dla pani Strzegockiej, i podczas kiedy z wielką przykrością tylko otwierałbyś po raz drugi przed nią twe serce, obawiasz się jeszcze daleko większej przykrości, bo odpowiedzi odmownej, a przeto niemałego na teraz dla ciebie nieszczęścia. Ale, mój Marcinie! bądź jak bądź jest, tak dłużej pozostać nie może. Nie chcę bynajmniej tobie przymawiać, bo znam cię dobrze, ale dążę do tego i niewzruszenie stać będę na tem, ażebyś zaraz się decydował i powtórną deklaracyę uczynił. To jest coś powinien, co musisz zrobić najdalej do dni kilku. Nie taję tego przed tobą, iż twoja Zosia podobała mi się dosyć z wejrzenia; przypomina ona Jadwisię w owej chwili, kiedym się starał o nią, przechodząc także przez niemałe duszy i serca tortury, i mam w Bogu nadzieję, iż pożycie z nią nagrodziłoby ci dostatecznie wczorajsze i dzisiejsze frasunki, ale i tego nie taję, iż tak rozumiem, że jesteśmy w wigilii drugiej dla ciebie rekuzy. Wszakże tak, czy owak, koniec raz zrobić potrzeba.

— Kochany bracie — rzekłem ja na to po chwili — nie będę z tobą sporu poczynał o to, czy we wszystkiem tem coś dopiero powiedział, masz prawdę czy nie masz; krótko ci powiem, że niektóre rzeczy sądzisz sprawiedliwie, niektóre zaś widzisz całkiem opacznie, ale o to nie mogę cię nie zapytać, dlaczego właściwie tak naglisz z tem oświadczeniem? czy mnie tam co gore w Bóbrce? czy mnie wypędzają stąd z domu? czy na mnie krzywo spoglądają Litwini? czy nakoniec psuję tem sprawę moją, że się pieszczę szczęśliwymi momentami spokoju, których wyczekiwałem tak długo? doprawdy że nie rozumiem.

— Dlaczego tak naglę z oświadczeniem, to jest rzecz bardzo prosta — rzekł Michałowski. — Nie lubię wszelkiego kunktatorstwa i to jest pierwsza. Powtóre w Bóbrce gore i bardzo gore, bo jak tu jeszcze do zimy posiedzisz, to cię tam rozniosą do szczętu; po trzecie, że cię nie wypędza stąd z domu, to prawda, ale lada chwila cokolwiek bądź napędzić cię może; po czwarte, czy krzywo na ciebie spoglądają Litwini, o tem milczę, ale miałbym wiele

powiedzieć, bo przecie jadę Litwą mil kilkanaście i nasłuchałem się niemało o Piotrowiczach i Strzegockich; a nakoniec czy co psujesz czy nie twojem zwlekaniem, to ci powiem, że właściwie nie psujesz, ale podajesz czas i sposobność przypadkom, które wszystko są w stanie zepsuć na tym świecie. Zresztą jestem tego zdania, że powtórną od stolnikowej dostaniesz rekuzę, i że ani dziadek, ani sąsiedzi za tobą nie staną, a choć staną, to uporu kobiety nie złamią, a w takim zaś razie jabym chciał być przy tobie i dlatego do deklaracyi cię ciągnę.

— Kochany Krzysztofie — odezwę ja się na to — wpadasz w ferwor a wcale niepotrzebnie; dwa razy niepotrzebnie, raz dlatego, że czy teraz czy potem, ja zawsze deklaracyę uczynię nakoniec, a powtóre, że rekuzy już nie dostanę. Pani stolnikowa może być, że w tym momencie ma jakąś niechęć do mnie, ale to nie jest upór, tylko kaprys kobiecy i to chwilowy, za parę dni już ani śladu zeń nie zostanie. Bo nie wdając się zresztą w żadne wnioski szczegółowe, to tylko racz sam rozstrzygnąć, czy podobna jest, aby ktoś, który swój spokój, fortunę i życie bez wahania się na szwank narażał..

— Ależ zmiłuj się! — przerwał mi Krzysztof — czy to jest godny rozumnego człowieka argument? czy godzi się tam sądzić z samego podobieństwa, gdzie są pewne data i fakta?... — I tak dalej perswadował mi Krzysztof, zawsze zmierzając do tego, iżbym już dłużej tak nie siedział, jak ptak na gałęzi, tylko abym się decydował, deklarował i los mój rozstrzygnął. Dlaczego on tak naglił na mnie natenczas, do dziś dnia mi jest niewiadomo, bo konkurencya moja i wszelkie z domem Strzegockich stosunki była to materya, której i potem prawie nigdyśmy nie tykali; wtedy atoli zdawało mi się, że Michałowskiemu tak odrazu niepodobał się dom ten, że nawet byłby wolał, aby mnie jeszcze raz odmówiono i abym przecierpiał takie nieszczęście, niż abym się wiecznym węzłem wiązał z taką familią. Ja zaś, lubo może także już teraz nie jeden szczegół taki dojrzałem, na który oczy musiałem zamykać; jednakże tak statecznem przywiązaniem przylgnąłem do Zosi, że gdyby i dziesięcioro tyle złego było mi się zjawiło w tym związku, ile go było w istocie, to byłbym się już z drogi mojej nie cofnął. Cofać się nie kazał mi i Michałowski, o to tylko chodziło pomiędzy nami, że on chciał, abym deklaracyę uczynił zaraz, ja zaś, wlazłszy już raz na drogę kunktatorską, a do tego nie będąc pewnym rzeczy, jak sobie pocznie w tym razie matka, cale jeszcze nie miałem ochoty do tego. Spieraliśmy się tedy o to długo i szeroko, ale nakoniec chcąc niechcąc ja ustąpić musiałem, i przyzwoliłem na zrobienie oświadczenia najdalej do dni kilku, a już z chęcią przyjąłem ofiarowanie się Krzysztofa, iż on będzie mi w tem pośredniczył.

Dnie następne mijały nam jak zwyczajnie, na gawędce, na opowiadaniach dziadkowych i Gintowtowych.

Jednakże materya ta, która nie dlatego że się w niej mógł popisywać, ale że się przy niej wiele mógł dowiedzieć o Litwie, bardzo wiele zajęła Michałowskiego, wkrótce się wyczerpała, a orator polityczny, zeszedłszy z trybuny, zaczął mnie znowu męczyć swoją deklaracyą. Wszakże pomimo uroczystych nalegań jego udało mi się tę stanowczą chwilę, która im więcej się do niej zbliżałem, tem mi się wydawała straszniejszą, odwlekać jeszcze przez dni kilka. A kiedy ja tak odwlekam i jakby dziecko nierozumne cieszę się z tego, że mi mój opiekun rad nierad folgować musi, Michałowski aż sypiać nie może po nocach od samej niecierpliwości, jednakże stara się to ukryć przedemną, i pomimo to, to dziadka pozyskuje dla siebie i dla mnie, to panią Strzegocką obserwuje zblizka, i przy każdej sposobności wybadywa ją w jej opiniach o mnie, o Lgockim, o Zuzi i o wszelkich sprawach domowych. Śród tego czasu atoli nagle staje się dziwna odmiana. Dnia jednego Michałowski, zapytany przezemnie o jakiś szczegół w sprawie tej deklaracyi, nic mi nie odpowiada; drugiego dnia w rozmowie ze mną widocznie tego przedmiotu unika, a trzeciego dnia w wieczór, kiedyśmy się sami znaleźli w izbie, która była naszą wspólną sypialnią, rzecze do mnie te słowa:

— Wiesz co, kochany bracie, dawno już nie byłem w tem położeniu co dzisiaj.

— Jakież-to położenie? — zapytałem ciekawie.

— Muszę renegować moją własną opinię.

— Jeszcze przez to nic nie wiem.

A on na to:

— Niedawno nagliłem na ciebie wszelkiemi siłami, ażebyś się deklarował bezzwłocznie, a teraz...

— Cóż teraz?

— Teraz nietylko nie naglę, ale po rozpatrzeniu się dokładniejszem w tych rzeczach sam jestem tego zdania, ażeby się jeszcze powstrzymać.

— Czemużto? — zapytałem, przerażony tą zmianą jego zdania.

— Widzę jawnie, że dostaniesz rekuzę. Mówiłem wiele ze stolnikową i myślałem zrazu, że to jest jakaś dziwna kobieta, ale teraz poznałem dowodnie, że niemasz w niej nic dziwnego. Kobieta to jak wszystkie inne na świecie, tylko upór w niej wielki i nieprzełamany. Ale to właśnie najgorzej dla ciebie.

— Więc cóż? mówże jasno, co jest?

— Co jest, któż-to wiedzieć może, kto opowiedzieć dokładnie? ale że cię nienawidzi, to więcej jak pewna.

— Nienawidzi mnie! — za cóż to? mój Boże!

— Za co? — rzekł Michałowski — za Murdeliona... niema o czem mówić. Ona go jeszcze kocha!

— A mnie nienawidzi! — odpowiedziałem ja w pół do siebie i na tem się nasza rozmowa skończyła.

Skutkiem tej rozmowy było oczywiście to, żeśmy już obydwa z Michałowskim nie tykali tego przedmiotu. Co było dalej czynić, jak się kierować, jakim sposobem pozyskać choćby tylko obojętność pani Strzegockiej, na to już ani Michałowski nie umiał dać rady. Nie wybierał on się wprawdzie do domu, bo mu żal było mnie samego zostawiać; ale też i siedzenie jego odtąd już niewielką rokowało mi pomoc, kiedy już i jego umysł wpadł w pewną niemoc i nie umiał nic nowego wymyślić. I tak siedzieliśmy znowu dalej, pędząc dnie na coraz obojętniejszych

gawędkach i dłuższych ziewaniach. Zosia tylko jedna dziwnie zaczęła się mienić, smutniała coraz bardziej widocznie, nieraz długo patrzyła mi w oczy, jak gdyby chciała odgadnąć co się dzieje w mej duszy, nieraz z łzami błądzącemi w jej oczach umyślnie mojej unikała rozmowy. Ja wiedziałem co to ma znaczyć: ona nie umiała pojąć, dlaczego ja, kiedy czas i okoliczności po temu, nie kończę już moich tak długo i tak boleśnie się odwłaczających zamiarów i myślała może, że już ostygam dla niej, żem się przeniewierzył moim tylokrotnym przysięgom, że czekam tylko sposobności, aby zerwać to wszystko i uciec haniebnie; ja to wiedziałem wszystko i wszelkimi sposobami starałem się ją przekonać, żem się w niczem nie zmienił i żem zgoła ten sam jest, który był od początku, ale wyspowiadać się z wszystkiego, co się działo w mej duszy, nie mogłem mieć i nie miałem odwagi.

Ale podczas gdy rzecz ta tak się dziwnie odwleka, a my, zamiast z czasem zbliżać się do jej końca, przynajmniej wedle rozumienia naszego ciągle się od niego oddalamy, dziwne zachodzą zdarzenia.

Więc najpierw dnia jednego przychodzi wiadomość, że przed kilkoma dniami całkiem nagle i niespodziewanie pojawił się nieznajomy pan jakiś w Strzegocicach u państwa Strzemeskich, u których pozostawiona była starsza siostra Zosina; że pan ten powiadał się ojcem rodzonym Zuzi, że miał z nią długą w osobnej izbie rozmowę i że zaraz potem wyjechał. Powiadano dalej, że ten pan w kilka dni potem z jakimś Niemcem przyjechał, Niemca tego Zuzi deklarował, że go Zuzia przyjęła, pierścionek z nim zamieniła, a na drugi dzień, że się odbył ślub państwa młodych w żwiernickim kościele.

Wiadomość ta, którą nam przywiózł szlachcic pewien Wiłkomierzanin, powracający od swych krewnych z Mazurów, wielkie zrobiła zamieszanie w dziadkowym dworze. Wszyscy o niej gadali, i ten i ów i dziesiąty, ale każdy się inaczej domyślał i po swojemu wykładał. Dziadek powiadał, że to zgoła nieprawda; pani stolnikowa wtórowała dziadkowi, ale z krwią zimną i obojętną. Gintowt i inni

szeptali z cicha, że to Murdelio dyabła przywiózł ze sobą i z córką go swoją ożenił; ale ja rzecz tę rozumiałem inaczej i lubo nic nie mówiłem, jednak prawdę odgadłem.

Przy zajęciu się wszystkich tą wiadomością nie zapomniano i o tem, iżby się jakoś przecie na pewno dowiedzieć, co tam jest w rzeczy. Ale jak to zwyczajnie w takich razach u szlachty bywało, namyślano się długo i na samem przebieraniu pomiędzy środkami strawiono dni kilka. Ta niezaradność zniecierpliwiła mnie do tego stopnia, żem postanowił nakoniec sam do Żwiernika pojechać i przywieźć prawdziwą relacyę — i zakomunikowałem tę myśl Krzysztofowi. Krzysztof, który po tej wiadomości o wiele jeszcze skwaśniał i stetryczał, pochwalił mi ją i doradzał, iżbym to zrobił, kazał mi tylko pogadać pierwej o tem z panią Strzegocką i niby to aż wskutek jej prośby o to tam jechać. Zgodziłem się na to i poszedłem zaraz do jej pokoju. A szedłem z miną dobrą i tak pewny tego, że z wdzięcznością przyjęta zostanie moja ofiara i że choć raz trafię w przekonanie tej nienawistnej mnie damy, że mi się aż serce rozradowało. Wchodząc tedy i zastawszy ją, jak zwyczajnie, haftującą coś w krosnach, mówię zaraz:

— Cóż tedy państwo uradziliście względem posłania kogoś do Żwiernika?

Pani stolnikowa na to popatrzyła się na mnie tak dziwnym wzrokiem, jak gdyby mnie strofować chciała za moją śmiałość i odrzekła:

— Niceśmy nie uradzili, bo nic nie potrzeba.

— Jakto nic nie potrzeba? — odpowiedziałem z równem zdziwieniem — jabym sądził, że tej rzeczy tak pozostawić nie można.

— Ale to wszystko nieprawda — rzekła pani Strzegocka — wszakżeż już tyle lat, jak ojciec Zuzin umarł; czyż to z grobów powstają umarli? doprawdy, że nie wiem co wam wszystkim jest, że wierzycie tym baśniom.

— My nie wierzymy temu — rzekłem na to — żeby pan stolnik nieboszczyk sam istotnie się jawił w Strzegocicach; ale mógł się tam zjawić awanturnik jaki, których

teraz niemało, i ten mógł, czy to dla zysku, czy w innych celach jakich, podobnego oszustwa się dopuścić.

— Ale gdzież tam! ręczę, że nic niema w tem.

— Jabym przecież sądził, że należałoby się przekonać o tem, bo to w każdej plotce bywa zwyczajnie pół prawdy.

A ona na to:

— Już ja się nie zgadzam na takie zdanie. Znam plotki, w których ani jednego słowa prawdy niema.

— Jakkolwiekbądź jest, jeżeliby moja chęć dobra odrzuconą nie była, to jabym chętnie sam pojechał.

— A... jeżeli waszmość jedziesz — odpowiedziała na to z flegmą pani Strzegocka — i zechcesz po drodze wstąpić do Żwiernika, to i owszem, prosimy, abyś nam stamtąd napisał.

Po takiej odpowiedzi każdy się łatwo domyśli, jakie uczucie mną zawładnęło. Smutny i tak zbity z tropu, jakby mnie kto polał ukropem, wyszedłem z pani stolnikowej pokoju.

O miłości! ileż to i najdrażliwsze serce znieść nie potrafi dla ciebie!

Michałowskiemu nie potrzebowałem powiadać, jaki obrót wzięła ta moja rozmowa, bo ten tylko spojrzał mi w twarz, i zaraz poznał co było. Jakoż wziął mnie za rękę i rzekł tylko te słowa:

— Kochany bracie, żal mnie ciebie od serca!

Kiedyśmy się spać kładli, Michałowski mi mówił:

— Smutno mi to bardzo, że te twoje sprawy tak nieszczęśliwy obrót biorą; Bóg mi świadkiem, że gotów jestem połowę mojego szczęścia odstąpić, aby ci twoje zapewnić; ale cóż ja pomogę? Nic nie wysiedzę, nic nie wygadam i snać już tylko jeden czas, albo jaka szczęśliwa okoliczność może rzecz tę pomyślnie zakończyć, a to już trzeci tydzień mija, jak ja tu wysiaduję.

Widziałem ja do czego zmierzała ta mowa i wiedziałem, że ma słuszność pan Krzysztof, bo zostawił gospodarstwo, dom, żonę, i dzieci o sto mil od siebie; rzekłem tedy:

— Kochany Krzysztofie, jedź ty, jedź z Panem Bo-

giem; ty mi tu nic nie pomożesz, a tam w domu kto wie co się dzieje? Dziękuję ci za tyle trudów, które poniosłeś dla mnie w Tarnowie i Bóbrce, a kiedybym widział, żeś mi tu potrzebny, to ja nie będę się wahał napisać do ciebie.

— Pojadę — rzekł Michałowski — muszę pojechać; jutro się wybiorę.

Tymczasem dnia drugiego ledwie co Michałowski wyjechał, zaraz z południa zajeżdża przed ganek bryka, czterema końmi zaprzężona, niemiłosiernie wypakowana, a w niej Kąkolnicki, ów znajomy nam wuj mego współzawodnika, starościca Lgockiego. Przyjazd jego o sto mil i w takich okolicznościach niemile mnie przeraził, a kiedy do tego jeszcze pani stolnikowa gościa tego przyjęła z niezwyczajną grzecznością i uprzejmością, tom już był tak znudzony i tak mnie chęć do wszystkiego a nawet do życia odpadła, że mi nawet rozmowa z Zosią tylko jakiś żal i boleść sprawiała.

Do wieczora atoli postać rzeczy się całkiem zmieniła. Kąkolnicki nie przyjechał ani promować konknrencyę Lgockiego, ani go deklarować, ale przyjechał go szukać; staroście bowiem, jak wyjechał w dni kilka po mojem wyjechaniu na Litwę, tak i przepadł jak kamień w wodzie. Krewni jego zrazu byli spokojni i wyczekiwali wiadomości od niego, ale gdy ta nie nadchodziła, a miasto niej poczęły roznosić się różne wieści: to że zajechał aż gdzieś w Żuławy i tam jako konfederat pojmany i do pruskich fortec odstawiony; to że od rozbójników w górach świętokrzyzkich zabity; to że przy napadzie na zamek Murdelionów usieczony, — krewni jego się zaniepokoili do ostatka i pana Kąkolnickiego za nim wysłali. Wiadomość ta niedobra była dla pana Lgockiego i jego krewnych, ale dla mnie nie zawierała nic złego, powiem nawet prawdę, że mnie w dobry humor wprowadziła. Niedobrze to jest cieszyć się z cudzej szkody, ale trudnoż naturę ludzką odmienić. Gniewało mnie to cokolwiek, że pani Strzegocka więcej rada była panu Kąkolnickiemu, niż każdemu innemu, że się aż do znudzenia dopytywała o Lgockiego

i wszystkie o nim krążące wieści; ale koniec końców wolałem to, niż gdyby był sam staroście przyjechał. Ale niedosyć na tem. Pan Kąkolnicki potwierdził także wiadomość o Zuzi, którą każdemu komunikował zosobna. I pokazało się, że nie kto inny tylko Murdelio, świeckiego pana postać na siebie przybrawszy, przyjechał był do Strzegocic, powiedział się ojcem Zuzi i zyskał u niej wiarę całkowitą. Przywiózł potem ze sobą barona Holmfelsa, ożenił go z nią i uczynił im zapis znaczny na swoim majątku. Państwo młodzi po ślubie zamieszkali w Tarnowie; Murdelio zaś po raz setny zniknął bez wieści, dając znowu powód do najróżniejszych o sobie pogłosek.

Potwierdzenie się tego wypadku jakie uczyniło wrażenie na wszystkich, nie będę już opowiadał obszernie, a nadmieniwszy to jeszcze, że we dwa dni potem w samej rzeczy list przyszedł od Zuzi, przepraszający matkę, że dla nagłości sprawy nie miała czasu naprzód prosić o błogosławieństwo, dodam tylko, iż to wszystko znowu mnie dobrze usposobiło i to tak dobrze, żem postanowił bezzwłocznie przystąpić do deklaracyi.

Jakoż zaraz dnia następnego, po wyjeździe pana Kąkolnickiego z dziadkowego dworu, wypatrzywszy chwilę, w której pani stolnikowa sama się znajdowała w swoich apartamentach, wszedłem do niej i począłem w ten sens:

— Niechaj to waszmość pani cale nie będzie dziwno, że na tej drodze, na której już mi się raz powinęła noga, po raz drugi jeszcze swego szczęścia próbować przychodzę. I nietylko niema mi to być policzonem za złe, ale owszem, krok ten sam winien dać mnie świadectwo, że tylko szczery i niczem niezwyciężony afekt dla panny Zofii jest jego powodem. Ile zaś afekt ten jest statecznym i od wszelkiej rachuby dalekim, mam tę nadzieję, że zaświadczy samo sprawowanie się moje, serdecznem przywiązaniem dla całego domu i wszelkich spraw waszmość dobrodziejstwa tchnące, i pomimo wielu przykrości, w niczem do dziś dnia nieodmienione. Nie chełpiąc się wcale żadnemi zasługami mojemi, mogę mieć jednakże, jak mi się zdaje, śmiałość rachowania na pewne względy, tak u waszmości dobro-

dziejki jako i u całego jej domu, a nie będąc w niczem gorszym choćby i od najlepszych obywateli i czując się wcale w przyzwoitej i stosownej do tego pozycyi, rzucam się jeszcze raz do nóg waszmości pani i najpokorniej upraszam, iżby mi wolno było stanąć nareszcie u celu najgorętszych mych życzeń i dozgonnym węzłem połączyć się z tą, dla której dawno już ślubowałem całe szczęście mojego życia.

Pani stolnikowa, lubo podczas mowy mojej różnie się mieniła na twarzy, wysłuchała mnie jednak cierpliwie, a kiedym skończył, odpowiedziała:

— Hm!... wiedziałam naprzód, że się to tak skończy... ale doprawdy nie wiem, czy waszmość serca nie masz, czy rozumu nakoniec nie masz, że nie wiesz, co być może a co nie może. Ja waszmości bardzo wdzięczną jestem za to wszystko, co nazywasz poświęceniem się, czy przywiązaniem dla domu mego i dla mnie; ja mu tego nie zapomnę do śmierci... pewnie mu nie zapomnę... i wdzięczną będę w każden podobny sposób... ale tej pretensyi, żeby przywiązanie do domu ręką córki wynagradzać... nie! ja tego nie pojmuję.

— Mościa pani! — rzekłem ja na to dosyć porywczo — ja się nie mam za żadnego mędrca nadzwyczajnego, ale nigdy jeszcze nie dostrzegłem tego na sobie, iżbym rzeczy proste pojmował inaczej, jak je pojmuje świat cały. Konkurencya moja, lubo przez niezwyczajne przechodzi koleje, jest rzeczą prostą i tak, jak ja ją rozumiem, rozumieją wszyscy; ale postępowania waszmość pani ze mną i sam Salomon, gdyby wstał z grobu, wytłumaczyćby nie potrafił!

— Jeżeli waszmość przyszedłeś po to do mnie, ażebyś mi niegrzeczności gadał, to raczej skończmy rozmowę — rzekła pani Strzegocka i powstawszy z krzesła, chciała wyjść z tego pokoju. Ale ja nie dopuściłem tego, wołając w głos:

— Pani! tego jest nadto! ja się staram już przeszło pół roku o rękę Zosi, pozyskałem sobie jej wzajemność,

dałem niezaprzeczone dowody mojego przywiązania nietylko dla niej, ale i dla samej pani...

— Dla mnie! — zawołała Zosina matka — któż dał dowody przywiązania? Waszmość? Imć pan Gintowt? Jur z Borowiczek? owa szlachta oszmiańska? kto was prosił o takiego przywiązania dowody? Otóż wam powiem, że nie przywiązania dowody, ale zbezcześciliście mnie, zhańbili wobec całego świata! Nie cierpię was, nienawidzę, nie chcę widzieć na oczy!... — wołała pani stolnikowa, zakrywając chustką spłakane oczy.

Tedy ja na to łagodnie:

— Nie chcę ja sądzić w tej sprawie, bo na to, jako widzę, trzebaby znać wszystkie ludzkie serca na wylot. Pomimo to jednak trwam statecznie przy mojej prośbie...

— Nie dam córki waszmości! — przerwała mi pani Strzegocka. — Gdybym cię na śmiertelnem łożu konającego widziała z miłości, jeszczeby mnie to nie wzruszyło! — Śród tych słów drzwi się otworzyły i powolnym krokiem wsunął się dziadek do izby, a widząc córkę zapłakaną i wołającą do mnie coś w gniewie, spytał zwolna:

— Cóż to się dzieje?

— Panie! — zawołałem ja na to, składając ręce do niego — ty umiesz czytać w ludzkich sercach, ty dobrze czytałeś w mojem! Ty sądź, ty rozstrzygaj!

— O cóż to chodzi? — zapytał pan Wit.

— Deklaruję się po raz wtóry o rękę Zosi i po raz wtóry dostaję rekuzę.

— Rekuzę? — rzekł dziadek — któż śmie dawać rekuzę, kiedy ja już dawno przyrzekłem?

Na te słowa Zosia, która zapewne swoim wybornym instynktem wiedziona, podsłuchiwała pod oknem lub drzwiami, ze łzami w oczach i drżąc cała nie weszła, lecz wskoczyła do naszej izby, co ujrzawszy dziadek, wziął ją zaraz za rękę i oddając mnie ją, rzekł:

— Oto jest twoja żona. Klęknijcie, niech was pobłogosławię.

Myśmy się rzucili na kolana przed dziadkiem, ale w tym momencie także i stolnikowa rzuciła się na kolana, wołając:

— Ojcze!

Ale on do niej:

— Precz! nie kuś mnie do grzechu śmiertelnego przed grobem.

A do nas:

— Błogosławię was, dzieci moje, i życzę, abyście tyle doznali pociechy w życiu, ile ja smutku i utrapienia.

Na to pani Strzegocka zerwała się z kolan i drąc chustkę we dwoje a łkając głośno, wyszła do przyległego alkierza; myśmy się milczkiem wysunęli na ganek.

* * *

W dzień św. Michała już wszystko było gotowe do mojego ślubu.

Konopka, zawezwany sztafetą przezemnie, natychmiast przyjechał, ażeby wedle danego niegdy słowa służyć mi za drużbę. Po wiadomościach odebranych od Zuzi, spodziewałem się, że mu tem zawezwaniem przykrość wyrządzę, ale było wcale przeciwnie; przyszedł on nakoniec do tego rozumu, że Zuzia nie była partyą dla niego i rad był temu, że się to rozerwało. Dlatego w jego oczach zamiast smutku, dojrzałem szczerą wesołość, a na ustach wdzięczność dla mnie, iż mu podałem sposobność przejechania i rozerwania się cokolwiek po dawniejszych trudach i umartwieniach.

Michałowscy, także natychmiast po doklaracyi zawiadomieni przezemnie, lubo się tylko jego samego spodziewałem, przyjechali oboje, za co nie mogłem się dosyć nadziękować ukochanej Jadwisi, która, będąc prawie jeszcze niezdrową, nie wahała się podjąć trudu tak dalekiej podróży, aby być świadkiem mojego szczęścia. Przyjęcie moich braterstwa przez stolnikową, która aż dnia drugiego po ich przybyciu raczyła się im pokazać, było tego rodzaju, że aż się spłakała Jadwisia; ale znajomość bliższa zabrana z anielskiej dobroci Zosią i świadomość jej przywiązania do mnie prędko te łzy ukoiła.

Z gości obcych w dzień ślubu cale nie wiele przyjechało. Kobiety ani jednej... tak to silną i wszechwładną była jeszcze natenczas opinia publiczna! Z mężczyzn zaś tylko kilku starych pana 'Wita przyjaciół, Gintowt, Jur z Borowiczek i kilku młodzieży, których przyjaźń jam sobie przez czas mego pobytu na Litwie pozyskać umiał.

Tak więc o samem południu, podczas gdy koło ubogiej cerkiewki, w dziadkowej wiosce, sercem przywiązany do swoich panów lud wiejski oczekiwał na ciekawe dlań widowisko, drużki, któremi nikt inny być nie mógł, tylko jedenastoletnia córeczka Jadwisi i panna służebna Zosi, ubierały pannę młodą do ślubu. Zosia niebożątko płakała przy tym akcie rzewnemi łzami i miała wiele do płaczu powodów. Pomijam to, że w tym momencie żegnała się z całym wiekiem dziecinnym, przeżytym w niezwichnionem szczęściu u kolan kochającej ją niegdyś matki; że się żegnała z swojemi wszystkiemi snami i marzeniami o tęczach i kwiatach, z domem rodzinnym, z rodziną i owym najukochańszym dziadkiem, którego kochała tak jak bluszcz wiotki kocha starą zamkową ruinę, przy której wzrósł, rozzielenił się, rozkwitł i giętkiemi ją objąwszy ramiony, radby już umrzeć tak przy niej i grób swój znaleść u stóp jej... ale to była boleść wielka i wielkich łez godna, że jej wraz z tamtemi stratami przyszło tracić miłość ukochanej swej matki, która od dni kilku już ani słowa do niej nie rzekła, która słowa błogosławieństwa powiedziała tak zimno i obojętnie, że aż dreszcz nas przeszedł od stóp do głowy; która nakoniec w sam dzień ślubu dostała spazmów tak uporczywych, że nawet do kościoła z nami pójść nie mogła.

Smutek ten Zosi i mnie się udzielił, udzielił się on i naszym gościom weselnym, a kiedyśmy szli do kościoła, to lubo Gintowt, który nam starostował, wesołością i igraszkami tak sadził, że inną razą byłby cały powiat przy nim w tan poszedł, dziś jednak nic to nie skutkowało, a orszak nasz raczej podobien był pogrzebowemu konduktowi, niż weselnikom idącym po wieczne szczęście przed ołtarz Pański.

Pomimo to jednak, gdyśmy po tym smutnym obrzędzie, dozgonnym węzłem połączeni ze sobą, powracali z kościoła do domu, a lud wiejski, stojący przed świątynią Pańską, rzucał się nam do nóg, wynurzając swoje afekta i życzenia, starsi z gromady powiadali mnie szczerze: — Smutny dzień ślubu, wesołe będzie pożycie.

Ale Bóg nie chciał, aby się sprawdziła ta przepowiednia.

EPILOG

Pożycie moje z Zosią ile było szczęśliwe, nie potrzebuję tego powiadać. Dwór bóbrecki, dotąd albo całkiem pusty i niemy, albo po kawalersku gwarliwy, zamienił się w przybytek stałego szczęścia i ładu. Gospodarstwo do mego autoramentu należące, lubo nie mało przez czas mojej konkurencyi ucierpiało, dało się jednak wkrótce do dawnego przyprowadzić porządku — gospodarstwo niewieście, jakkolwiek młodą i niedoświadczoną główką Zosi prowadzone, nie mogło nikomu za wzór posłużyć, świadczyło wszakże nie pomału o najlepszych chęciach i skrzętności gospodyni. I mieliśmy domek ładny zewnątrz i wewnątrz, i był w nim dostatek dla siebie i dla sług, i łyżka strawy dla postronnych ubogich, a kiedy się gość trafił, co przy łasce i afekcie ukochanych sąsiadów moich nierzadko się nam zdarzało, to każdy znalazł i stół niegłodny i piwnicę niepróżną, a nadewszystko serce na wciąż otwarte, bośmy tem szczęściem, którem nas Bóg obdarzył, radzi dzielili się z całym światem.

Wśród takich okoliczności, na odwiedzaniu miłych sąsiadów naszych, na przyjmowaniu ich u siebie, na zatrudnieniach gospodarskich i zaopatrywaniu się we wszystko na zimę, minęła nam jesień cała. Przyszła zima, nastąpiły zapustne tańce i swawole. Szlachta sanocka, w złych i dobrych losach zawsze wesołej fantazyi, po staremu się weseliła. Od tych wesołości i myśmy nietylko nie odbiegali,

ale owszem pomagaliśmy z całego serca. Więc bywaliśmy i u wielmożnych Grabowskich w Myczkowcach, który tó dom był wielki i otwarty, i u jw. Malickich w Uhercach, i u Krajewskich w Terce, i u Załęskich w Seredniey, a nawet raz zaproszeni umyślnie, prezentowaliśmy się na wielkim balu u jw. wojewody Wołyńskiego na leskim zamku, gdzie miałem tę serdeczną pociechę, że jako niegdyś siostra moja Jadwisia, pięknością urody i zgrabnością ułożenia, pozyskała jednogłośne od całej kompanii pochwały, tak dzisiaj Zosia moja wzbudziła powszechną i wielką adoracyę dla siebie, a to nawet tak wielką, żem aż jednego z pończoszkowych elegantów, który za daleko swą adoracyę posunął, bykiem w nos poczęstować musiał, aby ją od tych uporczywych komplimentów uwolnić. Za byka, lubo był dany milczkiem i wtedy, kiedy elegant do całowania ręki się zginał, musiałem mu stanąć do sprawy, co mi jednak tylko tem większą sprawiło przyjemność.

Za bawienie się w cudzych domach przez zapust należało się nam wywdzięczyć, jakoż ku końcowi i myśmy się ośmielili zaprosić do siebie sto kilkadziesiąt osób i tak nam się to powiodło, że podczas gdy dla długości zapust już jakoś u wszystkich upadała ochota, u nas na nowo się podniecała, i zawiązał się kulig, który, objechawszy kilkanaście domów wokoło, nakoniec uczynił nam ten zaszczyt niemały, że na ostatki znów do nas zajechał i w naszym domu swoją swawolę zakończył. Stało się tak wprawdzie, że w pierwszy czwartek wielkiego postu myśmy oboje z Zosią suszyć musieli, a z owych prowiantów, przysposobionych na całą zimę, ani okruszyna się nie została i piwnica mi tak pękła natenczas, że gdyby był mój ojciec wstał i oną kupę próżnych beczek i antałków obaczył, to byłby był drugi raz umarł; ale jednakże nas to nic nie bolało i owszem, kiedy Bóg dał czem się podzielić, mieliśmy to sobie za łaskę, że nam dał chętnych do podziału.

Jednakże przy tych wesołościach i szczęściu nie obeszło się i bez frasunków. Nie było to niebo nasze tak czyste, żeby się na niem od czasu do czasu nie pokazywały jakieś chmurki posępne albo czerwone pręgi, niby cienie słońc gasnących albo już zgasłych. I owszem, zawsze na czas przychodziła ta lub owa zgryzota, i może ją Pan Bóg na to nam dawał, aby nas jednostajność szczęścia nie nudziła; jednakże zawsze były to smutki, które nie pomału nas dotykały. A pierwszy i nigdy nie ustający powód do nich dała nam Zuzia, która rzeczywiście wyszedłszy za Niemca i schedę swoją tarnowskim palestrantom sprzedawszy, wyniosła się gdzieś za morza. Drugą nieustającą zgryzotą naszą, było postępowanie pani Strzegockiej z nami. Kapryśna i uparta kobieta, lubo nakoniec ojca wyciągnęła ze sobą z Litwy, i znowu zamieszkawszy w Źwierniku, tak nieopodal od nas siedziała, tak mało zajmowała się nami, jak gdybyśmy cale do niej nie należeli. Nienawiść, którą ostatnimi czasy powzięła ku mnie, przelała ona z czasem i na dziecko swoje, i gryzła biedną Zosię miłości matczynej utratą, i gryzły ją złych języków stąd wynikające pogadanki, a chociaż ona przez to w przywiązaniu swojem do matki ani na jeden cień się nieodmieniła, toż jednak brak wzajemności tak jej się dawał uczuwać głęboko, że kiedy nam przychodziło jechać tam w odwiedziny, to do owego niegdyś tak lubianego Źwiernika jechała teraz jakby na ścięcie. Do tego wszystkiego jeszcze i ja miałem swe umartwienie. Ukochany i nigdy nieopłakany przyjaciel mój, ów misyonarz św. Wincentego à Paulo, po kilku miesiącach cierpienia Bogu oddał niepokalaną swą duszę.

Cierpiałem więc wiele i ja samotnie, cierpiałem i nad cierpieniami najdroższej towarzyszki mojej, ale że to zawsze wiele sobkowstwa jest w tej nędznej skorupie naszej, toż przy dobrem powodzeniu naszem pod innymi względami i przy miłości naszej, która nam złociła wszystkie dnie i wieczory, prawie w ciągłem szczęściu minęła zima.

Przyszła wiosna. We wiośnie, kiedy cała ziemia się rozgrzewa i rozzielenia, kiedy spiętrzone z gór wysokich walą się lody, kiedy woń świeża nowego życia napełnia wszystko co jest w nas i za nami — i zakrzepłe i urażone serce człowieka weselej się rozzielenia, i frasunki

walą się wraz z lodami i pierś się nasza jakoś rozszerza i czerstwego nabierając powietrza, wyrzuca z siebie dawnych pogorzelisk popioły i dawne bóle zapomina — z wiosną też i nasze szczęście jeszcze się odświeżyło i rozzieleniło.

Żona moja, przyzwyczajając się coraz więcej do obowiązków gospodyni, zajęła się gospodarstwem i domem, a że ogród był jej najulubieńszą zabawką, więc zaraz z wiosny cały ogród bóbrecki oddałem pod jej dyspozycyę. Zaraz też wskutek wspólnej narady zmieniliśmy cały dawny plan jego, skąd wypłynęło, że cała część od dworu aż do samego Sanu zamienioną została w wirydarz, a w jego końcu wybudowaną została altanka z piękną galeryą dokoła. Koło altanki urządziłem niewielką sadzawkę, którą dziwnie pięknemi zaludniłem rybkami, a podczas gdy nieraz tam usiadłszy oboje, ja jej opowiadałem moje dawniejsze bitwy i służby wojenne, ona swoje rybki karmiła, rzucając im chleb z galeryi. Koło wirydarza własnemi rękami zasadziliśmy wiele drzewek młodych i wspominaliśmy przytem, jako kiedyś i te drzewa wyrosną, i my się zestarzejem oboje i otoczeni dorosłych dziateczek gronem, pod cieniem tych drzew usiądziem i opowiadać im będziem, jako i my kiedyś byliśmy rzeźwi i młodzi. W wirydarzu zasadziliśmy kwiatów siła, posprowadzanych z Żwiernika i z innych znakomitszych ogrodów, a gdy niektóre z nich marły, nie mogąc znieść ostrości górskiego klimatu, ja obiecałem Zosi, że na przyszły rok jej wymuruję cieplarnię, aby i kwiatkom było tak dobrze jak nam obojgu. I była stąd wielka pociecha. I było wielkie szczęście w domu naszym. I dopiero wtedy dałem prawdę słowom, powiedzianym mi niegdy przez misyonarza, że tylko miłość taka, którą spoiło błogosławieństwo Boże, jest prawdziwą miłością.

Ale niedługo trwał dla mnie ten raj na ziemi.

I stało się ze mną tak, jako z onym pracowitym rolnikiem, który ciężkim trudem pozbierawszy żniwo bogate z pola, schował je pod dobrze zaopatrzoną strzechę, i położywszy się na spoczynek, liczył sobie we śnie, ile ziarn

schowa do spichrza, ile grosza za nie uzbiera, ile dostatku i spokoju i szczęścia mu stąd przybędzie — ale wtem nagle piorun go budzi z łoża: porywa się ze snu, widzi dom cały w płomieniach, a kiedy oczy przetarł, to już li na to, aby niemi na popiołach swoich dostatków zapłakać: tak się stało i ze mną.

Dnia jednego dano mnie znać, że z Krakowa puszczono dzieciątko w kolebce, aby spłynęło do nas i abyśmy mieli z niego pociechę. Jakoż istotnie dnia tego nad wieczorem przypłynęła kolebka, ale zamiast jednego, znaleźliśmy w niej dziatek dwoje. Chłopcy obadwa byli, piękniejsze od najpiękniejszych aniołków. Zosia moja, lubo była bardzo słabą natenczas i ustawicznie odchodziła od przytomności, jednak kiedy spojrzała na nie, uśmiechała się śród boleści. I miała jej twarz dziwnie piękny wyraz na ten czas, bo na tle ciężkich cierpień i bólów malowała się anielska cierpliwość i spokojny promień wielkiego szczęścia. Przez cały czas ten jam był jak na torturach; pociecha z dzieci i trwoga o Zosię, tak się zmieszały we mnie, żem i płakał i śmiał się. Doktór Gondoni, który siedział przy łożu chorej, aż był w obawie o zmysły moje i zapewniał mnie ciągle, że dobrze będzie.

Ale czemże są słowa ludzkie wobec woli Bożej i zaciętości nieszczęścia!

Ledwie się słońce schowało za góry, zapłakał mi jeden synek w kolebce i jakby kwiatek nagle kosą podcięty, zakrzepł na moich rękach. Ból mnie porwał głęboki, zapłakałem w głos! ciałko nieżywe złożyłem w sali na stole i drżąc cały i łkając, zapaliłem dwie świece i powróciłem do Zosi.

Zosia w tej chwili zasłabła gorzej. Leżała ona na znak na łóżku, łzy jej potokami ciekły po twarzy, usta zsiniały cokolwiek i drżały, zdawało się, że się modliła. Nie chcąc jej przeszkadzać, ukląknąłem przy łóżku i ręce złożywszy, także modliłem się myślą.

Śród tej ciszy drugie dziecię zakwiliło w kolebce. Przerażony tym płaczem zerwałem się z kolan i pobiegłem ku niemu. Zosia tylko krzyknęła głośno i podniosła się

od poduszek, ale w osłabieniu napowrót upadła. Widząc to, zatrzymałem się na pół drogi, a nie wiedziałem gdzie biegnąć. Ale wtem dziecię zapłakało głośniej, przybiegłem do niego, wziąłem je na ręce; płacz trwał jeszcze ze dwa pacierze, a po nich — drugiego już trupka trzymałem na rękach. Kiedy ucichł płacz dziecka, Zosia znów się zerwała, znowu krzyknęła i to tak mocno i przeraźliwie, żem aż ja zdrętwiał od tego krzyku; alem się już nie oglądał na łóżko, tylkom wybiegł czemprędzej i brata złożyłem przy bracie, i znowu zapaliłem dwie świece.

Kiedym powrócił, jużem w Zosinym pokoju zastał kilkoro ludzi. Wszyscy płakali i poglądali na mnie z litością i żalem. Włoch siedział na łóżku i trzymał Zosię za rękę. Ale ona już była w konwulsyach. Twarz jej się przeciągnęła, łzy zastygły na licach, usta zsiniały i drganiem wtórowały drganiom całego ciała. Z przeraźliwym rykiem i obłąkanemi oczyma rzuciłem się znowu na kolana przed łożem, i jęcząc potem, zdrętwiałymi rękami objąłem tę kibić niegdy tak smukłą, dzisiaj już wiotką jak powismo lnu lub konopi. Byłbym duszę moją wyzionął, aby jej zdrowie powrócić. Ale już było po czasie. Drgania ciała i ust coraz słabły, oczy coraz więcej mgłą zachodziły, oddech się zatrzymywał, ustawał, aż nareszcie ustał zupełnie. I tak trzecie ciało zakrzepło na moich rękach.

Co się dalej działo, tego nie umiem powiedzieć. Pomnę tylko, że w onej wielkiej sali, która tyle zawierała naszych familijnych pamiątek, stał wyścielony wysoki katafalk, czarnem suknem okryty, na którym leżała trumna, a w tej trumnie taż sama Zosia, w niebieskiej sukni, z zamkniętemi na wieki oczyma, z rękami na krzyż złożonemi na piersiach i z obrazkiem Matki Najświętszej w rękach. Twarz jej była tak piękną jak zawsze, po śmierci i rumieńce wystąpiły napowrót i usta dawną odzyskały różowość i cała postać była tak piękną jak niegdy; tylko co było w niej najpiękniejszego: dusza — ta uleciała do Boga. Po obydwóch stronach katafalku na stopniach stały dwie trumny, z obydwoma aniołkami moimi, które nawet

bez chrztu świętego powróciły do swego raju na łono Boga, z którego zstąpiły na ziemię. Na ostatnim stopniu katafalka wybladły, wynędzniały, z oczyma obłąkanemi, z włosami rozczochranymi, z twarzą wykrzywioną od bólu, nie cień, nie straszydło, ale upiór człowieka, siedziałem ja — i widziałem przed sobą ów sen, niegdy mi opowiadany przez Zosię, który dał jej widzieć kwitnącą różę umarłą w trumnie, u jej stopni dwa goździki braciszki, i powój zeschnięty wijący się koło katafalku...

Tak siedzącego zastał mnie pan Grabowski, wdzięczny mój sąsiad z Myczkowiec, i widząc co się dzieje, prawie gwałtem zabrał mnie do siebie. U niego to, ciężką umęczony chorobą, przemęczyłem się przez owe kilka tygodni, które były najboleśniejszymi z całego życia mego.

Wzmógłszy się cokolwiek na ciele, powróciłem do Bóbrki. O jakże mi tam pusto było na ten czas! Jakież to były dnie moje, jakie noce!

Zrazu mnie poczęli nawiedzać sąsiedzi, myśląc, że mnie potrafią rozerwać i gawędami swojemi moje smutki ukoić; i ja przyjmowałem ich zrazu i męczyłem się jeszcze ich przyjmowaniem i traktamentem i rozmową z nimi — ale wkrótce na bok odłożyłem wzgląd wszelki i zamknąwszy się szczelnie, nie przyjmowałem nikogo. I trawiłem dnie całe na modlitwach samotnych, odmawianych na grobach mego ojca, mych niemowląt i Zosi — i wkrótce potem na bóbreckim cmentarzu, na przeciwko owego nagrobka, przy którym stał anioł kamienny ze złamanym kordem w jednej, a przygaszoną pochodnią w drugiej ręce, stanął drugi nagrobek, przy którym także z białego wykuta kamienia stanęła młoda, piękna niewiasta, z dwiema łzami na oczach i dwojgiem niemowlątek na rękach.

I długo, długo to miejsce było najulubieńszym przybytkiem moim. Tam przesiadywałem wszystkie dnie letnie i wszystkie wieczory, tam zawiniony w szubę, przeklęczałem wszystkie ranki zimowe. I Bóg mnie za to pocieszył do tyla, żem się przyzwyczaił do mego nieszczęścia.

Czując to, na rok następny przedsięwziąłem sobie, zamiast światowych rozrywek, których gwaru znieśćbym był nie mógł na żaden sposób, odwiedzić latem kilka miejsc świętych i stamtąd jeszcze oddać cześć Bogu i pomodlić się za dusze, z któremi wiecznego połączenia jak drugiego raju pragnąłem.

I w tych wędrówkach, na które zawsze szedłem pieszo, a Węgrzynek mój konie za mną prowadził, abym miał na czem powracać, przekrzyżowałem Polskę całą i znano mnie już stąd wszędzie, i dla tej pobożności szanowano tak powszechnie, żem nigdy żadnej przygody nie doznał, które onego czasu często się wydarzały podróżnym.

Aż raz... a było to już w trzecim roku tego mojego pielgrzymstwa — wiele rzeczy już się do tego czasu było zmieniło, dziadek staruszek już dawno spoczywał w grobie — pani stolnikowa, z którą wszelkie zerwałem relacye, samotnie dnie pędziła w Źwierniku — Lgocki się był odszukał i po staremu głupio żył na tym świecie — Stojowski, utraciwszy brata i ożeniwszy się, zamieszkał w dąbrowskim zamku — Konopka się ożenił i mieszkał pod Krakowem. — Bal się ożenił i piękny dom prowadził w Średniej wsi — pan Urbański, podstarzawszy się, dawne łowy w Jabłonkach zarzucił i zamieszkał w Komborni — i tylko jeden pan Fredro po dawnemu, na zdradę Włoszki narzekający, samotne życie z końmi swoimi i kilkoma sąsiadami pędził na Hoczwi... otóż wtedy powracając latem z odpustu z Kalwaryi Zebrzydowskiej, kiedy przyjeżdżam do Krosna, staje tłum wielki ludzi przed franciszkańskim kościołem. Pytam coby to było? Powiadają, że mnich jeden umarł i dyabli go wzięli. Proszę, iżby mi opowiedziano, jako ta rzecz się stała? Powiadają, że umarł, ciało jego złożono w trumnie; nagle z trumny ciało jego zniknęło o samej północy, a w tymże samym momencie widziano konia czarnego jak węgiel, wylatującego kurytarzami klasztornymi w dziedziniec, z dziedzińca w miasto i za miasto.

— Jakże temu mnichowi było na imię?

Odpowiedziano:

— Imię jego Murdelio.

W kilka tygodni potem opowiadano mi z szczegółami, jako tej samej nocy koń czarny jak węgiel, pomimo drzwi pozamykanych, wpadł do pokojów w źwiernickim dworze. Pani stolnikowa, zbudziwszy się ze snu, krzyknęła, krew ją zalała i umarła, koń zniknął, ale ślady podków końskich niedawnemi laty jeszcze pokazywano powybijane na posadzkach w źwiernickim dworze.

TRAGEDYE SANOCKIE

BASIA KARSZNICKA

KUCHMISTRZ LITEWSKI

EDMUND CHOJNACKI

I.

BASIA KARSZNICKA.

Któż nie słyszał pomiędzy nami owej powieści o jakimś panu bogatym i wielkim, który niegdyś przed laty miał mieszkać pod samym Bieszczadem, w małej wiosce Żubraczem. Wieść ta opisuje ze szczegółami wyniosły i uzbrojony dwór jego i dziwne rzeczy rozpowiada o jego córce. Tej wieści dziwnej już na pierwszy rzut oka nie podobna dać wiarę — bo wieś Żubracze jest ostatnią wsią pod samym Bieszczadem, leży w tak nieprzystępnym wertepie i pomiędzy tak ogromnymi borami, że jeszcze dziś możnaby tego nazwać odważnym, ktoby sobie ją obrał na stałe mieszkanie. A tymczasem owa wieść, niby niepodobna do prawdy, jest samą prawdą — na tej wsie bowiem w r. 1765 mieszkał w istocie szlachcic możny i znamienity a do tego jeszcze *Princeps nobilitatis*, bo podkomorzy sanocki, Hieronim Bal — urodzony z Justyny Stadnickiej ze Żmigroda, fundatorki wołkowyskiego kościoła, która później była za Orzechowskim — a mający za sobą, tak jak jeden z jego przodków, Tarłównę, której było Jadwiga na imię. I nie mieszkał tu wcale dla jakiegoś osobliwego powodu, bo oprócz tej posiadał on jeszcze wsi kilkanaście w samej ziemi sanockiej i utrzymywał dwór wielki, bogaty i ludny, i urzędował na podkomorstwie aż do ostatnich dni swego życia.

I tak samo jak Bal na Żubraczem, mieszkał pod owe czasy na Jabłonkach Urbański, podstoli a później generał; na Smeryku, Kalnicy i Łuhu Łoś młody a dalej inni, którzy wszyscy się dadzą wyliczyć i wymienić imiennie, a a wielu z nich nawet opisać ze szczegółami.

Patrząc dziś na te wioski, jak są opuszczone, nieintratne i biedne, zaprawdę pojąć jest trudno, jak w owe czasy mogli tu mieszkać ludzie tacy, którzy się ubierali w aksamity, jedwabie i złoto, utrzymywali dwory liczne, otwarte, wesołe, trawili życie na biesiadach i ucztach, i jeszcze synom swoim i wnukom zostawiali nieznane już dzisiaj dostatki.

Ale czyż to tylko tę jedną rzecz z owych czasów pojąć nam trudno?

Całe te czasy dzisiaj już nam są dziwne! niezrozumiałe niegdy zupełnie, a domniemane li tylko wtedy, jeżeli im z góry przyznamy miłość braterską dziś już wcale nie znaną, patryarchalną prostotę i błogosławieństwo Boże, spoczywające bezustannie nad niemi.

Wróćmy wszakże do Żubraczego. Do tego Bala bowiem, naówczas tam zamieszkałego, wiąże się szczególniejsze zdarzenie, które o tyle jaśniejsze rzuca światło na tamte czasy i tamtych ludzi, ile że samą prawdę w sobie zawiera. Opowiem je tak, jak się do mnie dostało.

Podkomorzy, żeniąc się z Jadwigą Tarłówną, miał już włosy przypruszone siwizną. Małżeństwa tego przez lat kilka Pan Bóg żadnem nie błogosławił potomstwem. Dojmowało to podkomorzego o tyle głębiej, ile że miał się już za ostatniego potomka tej zamożnej i tak znakomitej rodziny, bo lubo był jeszcze jeden Bal, jego brat lub synowiec, dziedziczący na Nowosiółkach, lecz ten, poszedłszy na kresy, od lat długich żadnej o sobie nie dawał wieści. Wszakże Pan Bóg nareszcie ulitował się nad podkomorstwem i dał im córkę, która się urodziła dnia 4 grudnia w roku 1765. Wielka stąd radość w domu, sute chrzciny, przy których nowonarodzone dziecię dostaje imię Barbara. Jednakże wielkie to wesele zmienia się nagle w jeszcze daleko większą żałobę. Po chrzcinach bowiem rozweseleni

goście zabierają podkomorzego na dni kilka ze sobą, a tymczasem podkomorzyna nagle zapada w słabość i umiera. Podkomorzy powraca do domu, a zastawszy żonę na katafalku, apopleksyą rażony upada przy jej zwłokach nieżywy. Dziesięć dni życia dopiero licząca Basia zostaje wprawdzie panią wsi kilkunastu, ale zarazem sierotą w najnieszczęśliwszym pozostawioną stanie. Nigdzie bowiem w blizkości nie było krewnych bliższych a chociaż jacy byli, to ci, przy zatamowanej przez zaspy i burze zimowe komunikacyi, może i długo nic nie wiedzieli. Tak to dziecię pozostawione dworowi, który po śmierci podkomorstwa jeszcze się jakiś czas trzyma, lecz niebawem już się zaczyna rozłazić. Wkrótce wszakże zjawiają się skądeś dwaj dalecy krewni podkomorzego, imieniem Karsznicccy, którzy kto wie, ażali nawet zdala byli mu krewni. Karsznicccy-Leliwici byli wprawdzie po kilkakrotnie spokrewnieni z Balami a najbliżej przez Franciszka Karsznickiego, podkomorzego halickiego, który miał za sobą Balównę, a którego córka jedyna była za Bobowskim; ale jak ci wszyscy już naówczas nie żyli, tak o tamtych nikt nic prawie nie wiedział. Pewną rzeczą jest jednak, że jakimkolwiek pieczętowali się herbem, byli to wielcy hultaje, nie mający żadnej własności i hultający po świecie od dawna. Przybywszy oni do Żubraczego, zaczęli zaraz w nim gospodarować. Jakoż iście hultajskie było to gospodarstwo, do którego stanowczo i głównie dopomogły im burze zimowe tak gwałtowne i trwałe, że po ich przybyciu do Żubraczego przez kilka tygodni nie było tam żadnego przystępu. Te kilka tygodni były dostatecznymi dla Karsznickich do uskutecznienia tego wszystkiego, co leżało w ich niecnych zamiarach. Jakoż przez ten czas porozpędzali resztę sług wiernych nieboszczykowskich, wyprawiając ich w większej części do blizkich Węgier; przysposabiając zaś ostatki ruchomego majątku do tem łatwiejszego wywozu, spędzonymi z Żubraczego chłopami torowali tymczasem drogi do jak najprędszego wyjazdu. Niebawem też powyprawiali naprzód wyładowane kosztownościami sanie, za niemi inne sprzęty większej wartości, a wreszcie i sami,

niemowlęcą Basię w pieluszkach zabrawszy z sobą, wyruszyli w drogę. Jednakże jadąc, zapewne dobrze podchmieleni na burzę, i więcej transportem dóbr zrabowanych, niżeli ich właścicielką zajęci, dziecię to drobne w jakiejś zamieci około Jabłonek zgubili i nie wiedząc nic o tem, dalej odjechali.

Wszakże nad tą dzieciną, pozbawioną ludzkiej opieki w tej chwili, czuwa wyraźnie opieka Boska. Maluczką Basię bowiem, zagrożoną zmarznięciem w śniegowej zaspie, znajduje poczciwa wieśniaczka z Jabłonek, przynosi ją do swej chaty, ogrzewa, odkarmia i otacza macierzyńską miłością i pieczą. Karszniccy, ujechawszy mil parę, spostrzegają się, że dziecię zgubili, wracają nazad i odszukują je dnia drugiego w wieśniaczej chacie: lecz na prośbę usilną cieszącej się nad wszelki wyraz jej przypadkowej matki, zostawiają ją u niej do czasu z dodatkiem wprawdzie znacznej nagrody, ale też i z najsroższym rozkazem niewyjawienia tej tajemnicy.

Po uciszeniu się burz i przywróceniu komunikacyi, dowiaduje się szlachta o wszystkiem, co się stało w Żubraczem. Zawsze jak najsurowiej i z zakonną prawie solidarnością przestrzegająca zacności obywatelskiej, burzy się taż szlachta tym niesłychanym wypadkiem; burzy się, zjeżdża po domach, wykrzykuje i grozi krwawą zemstą Karsznickim; lecz w braku nawet krewnych takich, którzyby dla zysku pragnęli dla siebie tak korzystnej nad ogromną fortuną opieki, sprawa ta pomału upada i gaśnie. A kiedy wreszcie szlachta doprowadza do tego, że przez obranych do tego pełnomocników odszukuje gdzieś na Podolu Karsznickich, to już się to staje po czasie: Karszniccy bowiem wtedy wykazują sądownie im przyznaną opiekę.

O małej Basi nikt nic nie wie i o nią nie pyta. Karszniccy wszakże pamiętają o niej aż nadto dobrze; jakoż po dwóch leciech odbierają ją milczkiem od przybranej matki wieśniaczej i równie milczkiem oddają na wychowanie do klasztoru panien benedyktynek w Przemyślu. Jakie w sprawie tego wychowania pomiędzy Karsznickimi a przełożoną klasztoru zawarte zostały umowy, pokażą to

dalsze tej historyi wypadki — nateraz całą tę sprawę pokrywa nieprzerwane milczenie i podczas kiedy Karszniccy wedle swojego upodobania gospodarują na pozostałych po podkomorzym majątkach, o młodej Balównie tylko bajeczne jakieś wieści krążą przez lat całych czternaście.

Przez cały ten przeciąg czasu młodziutka Basia zostaje na wychowaniu w pomienionym klasztorze. Ale jakież to jest wychowanie! Oto zakonnice obchodzą się z nią wprawdzie łagodnie, ale utrzymują ją w jaknajzupełniejszej niewiadomości wszystkiego, co się dzieje na świecie. Basia nie umie ani czytać, ani pisać, Basia nie ma o niczem pojęć najmniejszych, ani o Bogu, ani o ludziach, ani o tem wszystkiem, co żywie na świecie. Basia nawet nie wie, azali jest świat jaki. Jej oko nie wyglądnęło nigdy za mury klasztoru, nie widziało nigdy żadnego obcego człowieka. Cały świat jej znajomy, to klasztor, a cała ludzkość, to zakonnice. Wychowana w takiej niewiadomości wszystkiego, nieusposobiona nawet o tyle, ażeby mogła zostać siostrą zakonną, zdaje się, że już daje najpewniejszą rękojmię Karsznickim, że się o majątek swój nigdy już nie upomni. Ale nad Basią czuwa ciągle Opatrzność Boska.

Zdarza się tedy na jednym dniu letnim, w skwarne południowe godziny, że kiedy w klasztorze jest jakieś nadzwyczajne zajęcie, furta klasztorna zostaje na chwilę otwartą. Czternasty rok wtedy licząca już Basia znajduje się w pobliżu tej furty i po raz pierwszy w życiu przez nią w świat zaklasztorny wygląda. Na widok tego świata, o którym dotychczas nie miała ani marzenia, młodziutka dziewczyna staje zdziwiona jak wryta i całym wzrokiem, całą duszą, całem sercem obejmuje ten obraz, który jej się wydaje jakiemś cudownem zjawiskiem. A ten obraz dotego jeszcze tak piękny cudownie! Przed samą furtą bowiem płynie San jasnobłękitny i przejrzysty jak kryształ. Szeroki on jest nad jej wszelkie pojęcie a na jego drugim brzegu widać ogrody i domy, a dalej miasto murowane z kamienia, rozściełające się ku górze, a nad miastem widać dwa wielkie ze złoconemi krzyżami na wieżach kościoły, a nad kościołami ku górze, już prawie pod nie-

bem, widać zamek wspaniały i wielki! Wszystko to Basię dziwnie ku sobie pociąga, sama nie wie co robi, i mimo woli wybiega za furtę. Wszakże tam z większą daleko ciekawością, niż miastu, przypatruje się wodzie i widząc ją tak błękitną, tak chłodną, tak czystą, że w niej policzyć można wszystkie najpiękniejsze kamyczki, dziwny do niej uczuwa pociąg; chciałaby koniecznie użyć tej wody do syta. Jakoż nie namyślając się długo, zstępuje z brzegu i wstępuje w koryto rzeki, a pojąc się rozkoszą jej chłodu i igrając z jej drobniutkiemi falami, postępuje coraz dalej i dalej przy brzegu pod wodę i zapomniawszy o klasztorze zupełnie, niknie gdzieś zdala od furty.

W niedługą chwilę, spostrzegają się panny, że Basi nie masz, lecz nie mogąc przypuścić, ażeby wyszła za furtę, która pod owę porę już była napowrót zamknięta, szukają jej w obrębach klasztoru. A kiedy wreszcie klasztorni słudzy wybiegają za furtę, to znów nie mogąc przypuścić, ażeby Basia się odważyła wejść do wody, szukali jej tylko na lądzie; krzyk tedy, płacz i rozgwar w klasztorze, ale zgubionej Basi jak nie było, tak niema.

Chcącym odszukać tę zajmującą nas zgubę, nie należy nam trzymać się mniszek, które jej nie znalazły, ale wejść raczej na tę drogę, na której istotnie znalezioną została. A droga to zaprawdę i daleka i dziwna.

Owóż tedy na granicach ziemi sanockiej, od strony województwa sędomirskiego a pilznieńskiego powiatu, leży miasteczko Niebylec. Na tym Niebylcu, na Lutczy, Konieczkowej i przyległościach, dziedziczył pan Marcin Junosza Łempicki, łowczy nurskiej ziemi, który z pierwszej żony, Kaczkowskiej, podkomorzanki bełzkiej, miał jednego syna; z drugiej, niewiadomej z nazwiska, żadnego nie zostawił potomstwa; a z trzeciej Elżbiety z Brześciańskich, miał jedenaście córek i jednego syna, Konstantego. Kiedy Konstanty był jeszcze w pieluszkach, pan łowczy nurskiej ziemi pożegnał się z tym światem, zostawując żonę z trzynaściorgiem dzieci i z znakomitym wprawdzie majątkiem, ale bez żadnej opieki. Wszakże pani Łempicka, prawdziwy typ matki, gospodyni i obywatelki swojego czasu,

obchodzi się snadnie bez opieki, a nawet bez cudzej porady. Zarządza ona pozostałą po mężu fortuną wybornie i wychowuje drobne jeszcze swe dzieci z nadzwyczajną troskliwością i oględnością na przyszłość, lecz przytem nie zapomina także i obowiązkach macochy i równie zapobiegliwie stara się o to, ażeby mogła najstarszego syna swojego męża, z pierwszej żony urodzonego, jak najlepiej ożenić i przyszłość mu ubezpieczyć. Syn ten, przyszły dziedzic Niebylca, a dziś już namiestnik w królewskiej chorągwi, liczy już lat blizko trzydzieści i stoi ze swoją chorągwią w Przemyślu. Obmyśliwszy mu kilka stosownych partyi, jedzie pani Łempicka do niego do Przemyśla, ażeby go do wyboru jednej z nich skłonić. Pan namiestnik wszakże się waha i postanowienie swoje na czas późniejszy odkłada. Nie zadowalnia to jego macochy, lecz widząc że na ten raz musi od swego zamiaru odstąpić, wybiera się z rezygnacyą napowrót do domu. Jednakże w samą wigilię wyjazdu, robiąc różne sprawunki w mieście, każe się wieźć także do klasztoru panien benedyktynek, ażeby tam wybornie przez nich sporządzanych pierników nakupić. Dzieje się to prawie w tę samą chwilę, kiedy Basia zniknęła. I trzeba właśnie takiego zdarzenia, żeby pani Łempicka sama ją tuż przy moście znalazła. Uderzona widokiem pięknej i ślicznie wyrośniętej panienki, kąpiącej się w sukienkach w Sanie, zatrzymuje swój powóz i wdaje się z nią w rozmowę. Na zapytanie ktoby była? dowiaduje się pani Łempicka od zalęknionej dziewczynki li tyle, że się nazywa Basia i że jest z klasztoru. Trudna jest dalsza z tą szczególniejszą dziewczyną rozmowa, bo pomimo wzrostu i wieku, jest ona dzieckiem, zaledwie umiejącem szczebiotać i nie mającem o niczem wyobrażenia. Dowiaduje się przecież pani łowczyna od niej nakoniec, że jej myślą nie było wcale od zakonnic uciekać, a jeśli nie powróciła do klasztoru dotychczas, to tylko dlatego, iż się obawia słusznie zasłużonej kary za przestąpienie furty klasztornej. Pani łowczyna wszakże, przez to tylko tem bardziej poczuwająca się do obowiązku zasłonienia

swoją powagą tej dziecięcej winowajczyni, prędko tę bojaźń w niej uspokaja i sama ją do klasztoru odwozi.

Tymczasem w klasztorze w samej rzeczy ogromna burza się zebrała na Basię. Przełożona i starsze panny, zamiast się szczerze ucieszyć powrotem zgubionej dziewczynki, koniecznie ją chcą ukarać. Przestraszona dziewczyna tuli się z drżeniem i płaczem do pani łowczynej, która też z całym zapałem bierze ją w swoją obronę i w końcu rzeczywiście od kary ochrania. Wypadek ten przywiązuje Basię do tej nowej opiekunki tak mocno i tkliwie, że kiedy przychodzi do pożegnania, zaledwie się zdoła od niej oderwać. Ale to także pozyskuje dla Basi całe serce pani Łempickiej, która po części z litości nad biedną nieznajomą sierotą, po części z ciekawości okrywającej ją tajemnicy, pozostaje umyślnie jeszcze dni kilka w Przemyślu i skarbiąc sobie różnymi sposobami serce zakonnic, codziennie Basię odwiedza.

Doświadczonej i biegłej w podobnych sprawach matronie nie trudno było już do dni kilku odkryć całą tajemnicę, otaczającą Basię i zamierzony cel jej pobytu w klasztorze. A po wykryciu tego i ona także stawia sobie cel względem Basi i zwierza się z niego tylko swojemu pasierbowi. Nie skory do ożenienia Łempicki nie bardzo rączo chwyta się tego, lecz ciekawością wiedziony, z chęcią przystaje na to, ażeby i on z macochą odwiedził Balównę u kraty, na co pozwolenie u przełożonej przez zapobiegliwą łowczynię już wyrobione. Pani Łempicka nawet przez te dni kilka zrobiła daleko więcej, usposobiła ona bowiem całkiem do swoich zamiarów Basię i widziała się nawet po dwakroć z owoczesnym biskupem przemyskim, Józefem Skierskim, i miała z nim długie narady. Dosyć że:

— Tak ułatwiwszy wszystko — pisze sam pan Junosza Łempicki, wówczas namiestnik, później rotmistrz chorągwi pancernej — przywiodła mnie moja macocha do furty, a ja, zachwycony anielską pięknością osieroconej dzieciny, a nawet jej niewiadomością nęcony, odrazu przylgnąłem do usnutego projektu pani matki i bez najmniejszego oporu ze strony panny, pod pretekstem przewiezienia jej na spacer na górę zamkową, Przemysława imię noszącą, wywieźliśmy młodą Balównę z klasztoru wprost do katedry, gdzie ówczesny biskup przemyski, Skierski, herbu Jastrzębiec, dał nam ślub za indultem.

Tym sposobem ta nieszczęśliwa ofiara drapieżności krewniaków w oka mgnieniu prawie uwolnioną została z wiekuistego więzienia i los jej przyszły, odpowiedni jej ogromnej fortunie, jej imieniowi i wrodzonym przymiotom umysłu i serca, zabezpieczony na zawsze.

Wszakże nie koniec na tem, dziwne bowiem jeszcze koleje miało przejść to małżeństwo, zanim wolno mu było w spokoju pożywać owoce bólów, poświęceń i szczęścia.

Łempicki, wziąwszy ślub w katedrze przemyskiej, lubo żona jego była mu już przez kościół oddana, ucieka z nią jednak czemprędzej, jak z ukradzionym towarem. Jeszcze dnia tego samego wyjeżdża on do Niebylca, gdzie na zamku murowanym, odziedziczonym wraz z majątkiem po ojcu, osiada. Obwarowuje on się zewnątrz od wszelkich spodziewanych napadów, a pod tą obroną z dziwnie tkliwem i bogobojnem uczuciem używa szczęścia, które o tyle jest większem i czystszem i świętszem od zwykłych dni majowych małżeńskich, ile że żona tutaj nie jest jeszcze kobietą, lecz dzieckiem, a mąż jest nietylko kochankiem i mężem, ale zarazem nauczycielem i prawie ojcem. Z najtkliwszem też uczuciem pisze sam o tem Łempicki.

— Sądzę, że Ewa na świat przyszedłszy — są jego słowa — więcej się wszystkiemu nie dziwiła, wszystkiem nie bawiła, jak młodziuchna żonka moja, która prócz ołtarzy w kościele i kurytarzy w klasztorze, nic nie znała. Ale poczciwe to było serce, serdecznie mnie pokochała. Pod przewodnictwem mojej macochy kształcić się zaczęła, a nauki od abecadła z nią zacząć musiałem. Lecz wszystko, co jej pokazywałem, pojmowała sercem i wyrabiał się w niej powoli ten duch szczytny, ten rozsądek i ta godność, które były głównemi cechami późniejszego jej życia.

To szczęście wszakże, mające tak głębokie podstawy moralne, nie miało trwać długo. Niebawem bowiem dowia-

dują się Karszniccy o wykradzeniu Balówny i jej ślubie z Łempickim. Karszniccy do tego czasu jak najhaniebniej gospodarowali w majątkach swojej pupilki. Oprócz zabranych kosztowności i sprzętów cennych, roztrwonili oni cały i wszelki jej majątek ruchomy, co większa! wsie takie, jak Hoczew z przyległościami, Teleśnicę, Sannę, Zawóz i Zwierzyń, posprzedawali zupełnie, a inne powypuszczali w zastaw lub w długoletnie dzierżawy. A od takiego męża, jakim był Łempicki pan na Niebylcu, towarzysz chorągwi pancernej, a do tego jeszcze sławny swojego czasu legista, należało im się spodziewać sprawy nie łatwej, bo nawet liczyć mogli na to z pewnością, że nie tylko ich o rachunki z dóbr wezwie do sądu i z sądu nie puści, ale jeszcze i za takie obejście się z Basią zadosyćuczynienia poszuka. Wszakże pomimo to wszystko nie tracą jeszcze serca Karszniccy. Ich pokalane sumienia nie kają się najpodstępniejszych intryg i na nieszczęście służą im dobrze po temu towarzyszące czasowi stosunki. O owych czasach wieleby dzisiaj powiadać, istna wieża Babel opinij, uczuć, wyobrażeń, władz, sądów i t. d., pole jaknajrozłożyściej otwarte wszystkiemu i wszystkim; to też je krótko charakteryzuje Łempicki, mówiąc:

— I pod samą miarę siedzimy w tym kale, ani wygrzebać się zeń nie możemy.

To też takie pole jak najlepiej posłużyło Karsznickim. Wkrótce bowiem Łempicki, obwiniony o tajemne knowania przeciwko cesarzowej-królowej, wzięty jest na swym zamku, otoczony strażą i odwieziony na zamek krakowski.

Zaledwie zaś jego wzięto, Karszniccy zbrojno napadają na zamek w Niebylcu, palą go, a śród pożaru porywają Basię i osadzają znowu w klasztorze.

Tymczasem Łempicki, uwięziony w Krakowie, przechodzi męki piekielne. Oderwany od żony, od majątku i swojej własnej rodziny, dręczy on się kolejną niespokojnością o wszystko — bo wszystko teraz zostawione jest na pastwę dowolną Karsznickim. Dobywa też on wszelkich sił z siebie, ażeby się uniewinnić i jaknajprędzej wolność odzyskać, ale jakoś mu to nie idzie. Indagowany,

odpowiada jak na prawego szlachcica przystało — ale mu to najmniej pomaga. Po ukończonem śledztwie papiery odesłano do Wiednia; z tych papierów żadna wina się nie pokazuje na niego — lecz pomimo to więzień pozostawiony w więzieniu.

Śród tego czasu Karszniccy, nie zadowoleni jeszcze tem wcale co już uskutecznili, nie zasypiają zgoła swej sprawy. Posiadają oni napowrót Balównę w swych rękach, ale chcą jeszcze prawność tego posiadania mieć po sobie. W tym celu podali oni o unieważnienie jej ślubu z Łempickim, wkrótce też sami jadą do Wiednia, mataczą, kręcą i w końcu — po kilkomiesięcznych zabiegach — uzyskują w istocie wyrok unieważniający samowolny ślub małoletniej Balównej.

Z tym wyrokiem śpieszą oni czemprędzej do Przemyśla, i już są w Przemyślu, i już biegną z nim do biskupa, kiedy wstępując w progi biskupiego pałacu, dostrzegają w nim niezwyczajną żałobę. Przerażeni pytają, coby to było? i dowiadują się, że biskup przemyski, Skierski, zgasł przeszłej nocy. Przybyli więc o dzień jeden za późno, albowiem w prawie kościelnem jest powiedziano wyraźnie, że kiedy ksiądz, który złączył małżeństwo, umiera, ślub dany przezeń pozostaje ważnym na zawsze. Tak więc i wyrok Karsznickich, istnem zrządzeniem Opatrzności Boskiej, czuwającej wciąż nad sierotą, spełza na niczem.

Po usunięciu jednej przeszkody, stojącej złączeniu się napowrót małżeństwa na drodze, z równą szybkością usuwa się i druga. Wszakże i Łempickiego nie uwalnia z więzienia ani jego niewinność, ani zdolność prawnicza, ani jakibądź przewidziany koniec tej sprawy, tylko także taki sam nieprzewidziany przypadek, także zrządzenie tej samej opatrzności, czuwającej bez przerwy nad Basią. Łempicki bowiem wciąż siedzi i żadnej nie ma nadziei. Lecz zdarza się, że Stanisław August, król polski, odwiedza Kraków naówczas. Lubo Kraków należał podtenczas jeszcze do krajów, pozostałych pod rządem Stanisława Augusta, cesarzowa-królowa trzymała na zamku krakowskim swych więźniów. Korzysta z tego szczęśliwego zdarzenia Łempi-

cki, uzyskuje posłuchanie u króla i opowiada mu całe swe położenie. Wzruszony tem położeniem monarcha, obiecuje więźniowi wstawić się za nim do cesarzowej-królowej i na jego szczęście dotrzymuje swej obietnicy; poczem w istocie wkrótce Łempicki uniewinniony zupełnie, wypuszczony na wolność.

Pierwszym krokiem Łempickiego po odzyskaniu wolności było połączenie się z żoną. Jakoż w istocie z Krakowa jedzie on wprost do Przemyśla, odbiera swoją najukochańszą żonę z klasztoru i uwozi ją z sobą do Niebylca. Szczęście jego domowe powraca nazad, które teraz jeszcze o tyle większą ma cenę, o ile jeszcze większemi trudami i cierpieniami jest odkupione. Nie jest to szczęście wszakże bez dni pochmurnych. Pomiędzy wonne kwiaty miłości i wzajemnego szacunku plotą się także piołuny, a tymi są głównie majątkowe straty i zawikłania. Łempicki bowiem, ożeniwszy się z jedną z najbogatszych panien swojego czasu, nietylko za nią rzeczywiście nic nie wziął, ale jeszcze przez nią nie mało ze swego uronił. Na Niebylcu spalono mu zamek i wszystkie gospodarskie budynki, zrabowano mu wszystkie zasoby i poniszczono dobytki. Wraca on z żoną do domu, ale w domu zastaje tylko ruinę, pustkę i zniszczenie. Wszakże go to wcale nie zraża. Bez skargi na ustach, a z ufnością w błogosławieństwo Boże, podaje on sobie z żoną rękę do obopólnej wytrwałości i pracy. I praca mu idzie sporo, i Pan Bóg mu błogosławi. Wkrótce też odbudowuje swój zamek, stawia nowe budynki i gospodarstwo swoje do dawnego przywodzi ładu. Jednocześnie wytacza proces Karsznickim o żonine majątki. Krząta on się około tego umiejętnie i zręcznie, ale już to idzie oporniej. — Sto procesów przeprowadza kolejno — ale nie każden z nich pożądane przynosi owoce. Sądownictwo ówczesne służyło więcej krzywdzącym niż ukrzywdzonym, i w tem największa przeszkoda. W kilka lat także umierają Karsznicccy, a z ich śmiercią niektóre sprawy same przez się padają. Inne rozwlekają się jeszcze bardziej, przedłużają się w lat dziesiątki i dalej!... Jednakże po leciech dwudziestu i kilku kończy on te procesy i z majątków żoninych odbiera w całości Średnią-Wieś, Żubracze, Solinę, Polanczyk i inne. Rozległe te posiadłości, wyniszczone do najwyższego stopnia, wymagają jaknajstaranniejszego zarządu, aby mogły do dawnego bytu powrócić. Zdala nie da się taki zarząd prowadzić, a są już wtedy te czasy, w których o wierne sługi równie trudno, jak o dobrych przyjaciół. Dlatego Basia, a dzisiejsza pani Łempicka proponuje mężowi, ażeby odtąd w Średniej-Wsi zamieszkali. Mąż na to zezwala, ale nie mogąc znieść rozdziału ze swoim ukochanym Niebylcem, wkrótce sam do niego powraca. Odtąd pani Łempicka sama w Średniej-Wsi mieszka — i tu dopiero występuje ta osobliwszych cnót pani w całej swojej wielkości i blasku. Całym majątkiem swoim ona sama zarządza. Nie trzyma żadnego rządcy ani podstarościego, lecz wszędzie rządzi przez włodarzów, przez chłopów. I wszystko pod jej ręką rośnie, rozwija się i przychodzi do stanu bogactwa. Na wszystkich wsiach stają nowe budynki, wszystkie role obfitują w urodzaj, wszystkie gromady przychodzą do zamożności. Z gromadami osobliwie umie się ona obchodzić. Nie jest ona ich panią, lecz opiekunką i matką. Zna ona każdego gospodarza, każde dziecko we wsiach swoich, i wie co się dzieje pod każdą strzechą. Nie znosi nigdzie głodu i niedostatku i wszystkich własną wspomaga ręką. Zaprowadza śpichrze gromadzkie i nadzór starszyzny nad pracą i rządzeniem się wszystkich, i tym sposobem ubezpiecza ich dobry byt materyalny. Szczególniejszy wszakże wzgląd jeszcze ma ona na ich stronę moralną. Nie cierpi nigdzie lenistwa, pijaństwa, kradzieży, i ażeby te chwasty wyplenić z gruntu, osobne ku temu tworzy instytucye. Temi instytucyami są wszędzie sądy gromadzkie, które nie tyle mają na celu karę, ile głównie poprawę, a w razie niepoprawności banicyę. Tym sposobem staje się ona fundatorką nietylko dobrego bytu swych włościan, ale podnosi ich z czasem do tego stopnia moralnie, że nie masz u nich przykładu żadnego występku, a oni sami stają się w długie czasy pamiętnym przykładem dla swoich braci sąsiednich.

Lecz takich celów dopiąć może tylko taki charakter, jakim pod każdym względem jaśnieje osierocona niegdyś Balówna. Była ona pobożna cała duszą i sercem, ale bez ostentacyi i wielomówstwa. Modliła się Bogu nie godzinkami, lecz uczynkami, modliła się całem życiem swojem. Dobro bliźnich było u niej zawsze na pierwszem miejscu, jej własne na miejscu ostatniem. Hojna i szczodrobliwa dla wszystkich, dla siebie była oszczędna i wyrachowana; pobłażająca wszystkim a najsurowsza dla siebie, nie położyła się nigdy do snu, jeżeli obliczając się z swojem sumieniem, nie wyrachowała się przed sobą z dokonanego na tym dniu poczciwego uczynku. Jej serce było zawsze w zgodzie z rozumem, a jej rozsądek umiał poprostu rozwiązywać wszystkie najzawikłańsze trudności. Nie mieszkając z mężem w latach ostatnich, odwiedzała go często i jego przyjmowała u siebie, otaczając go zawsze najtkliwszą miłością i głębokim szacunkiem. Jej dom należał do najgościnniejszych w okolicy, a jej umiejętność przyjmowania wszystkich gości z równą uprzejmością, lecz przytem z godnością a bez próżnej i niemierzonej wystawy, żyje w pamięci sędziwych sąsiadów do dziś dnia.

Śród tak cichego w swoim rodzinnym zakątku a przecie pełnego takich cnót świetnych zawodu, umarła ta świątobliwa matrona w roku 1823. Jej pogrzeb należy do najświetniejszych i wystawnością podejmowaną przez męża i mnogością mów pogrzebowych, lecz głównie owym płaczem tysiącogłośnym jej licznych gromad, które jednym, nieutulonym jękiem, jakby lamentem całej ziemi, napełniły powietrze.

Mąż o kilka lat jeszcze ją przeżył, umierając dopiero w roku 1830.

Z tego małżeństwa pozostała li jedna córka Zofia, która była za hrabiem Ankwiczem [1].

---

[1]) Ustęp ten z wewnętrznego życia sanockiej ziemi, mam częścią z żywej do dziś dnia tradycyi, głównie zaś z pamiętnikowych notatek samegoż jp. Łempickiego, będących własnością jego rodzonej wnuczki, hrabiny Henr. z Ankwiczów Kaczkowskiej.

II.

KUCHMISTRZ LITEWSKI.

Jan Prosper, na Załuskach, Gostkowie i Łasku, Junosza z Tabaszów Załuski, kuchmistrz wielkiego księstwa litewskiego, chęciński, zawistowski starosta i Orła Białego kawaler, dziedziczył w ziemi sanockiej na miasteczku Jasienicy i okrążających go wsiach kilkunastu. Dobra te wszystkie były niegdyś częścią dóbr odrzykońskich czyli kamienieckich, które po Kamienieckich, Betmanach, Bonerach, przeszły do Firlejów, przez Firlejównę do Tarnowskich, przez Tarnowską do Wierzbowskich, a przez Ludwikę Wierzbowską dostały się Hieronimowi Załuskiemu, kasztelanowi rawskiemu, który był ojcem kuchmistrza. Pan kuchmistrz sam, mający Szołdrską za sobą i z nią dzieci siedmioro, rezydował na Jasienicy. Był to co do imienia i co do majątku pan znakomity, bo oprócz Jasienicy, posiadał jeszcze tu Jabłonicę z przyległościami, a w Sieradzkiem państwo łaskie i państwo gostkowskie na rozgraniczu Sieradzkiego i Łęczyckiego. Przy tem wszystkiem jednak był on umysłu spokojnego, a zamiast hucznym owoczesnym biesiadom, raczej naukom, rodzinie i gospodarstwu oddany, sam też wszystkie swoje majątki administrował. Pomimo to wszakże wieś Jabłonica z przyległościami dostała się około roku 1740 jp. Antoniemu Baranowskiemu, stolnikowi dobrzyńskiemu, za małą sumę w za-

staw trzechletni. Ten Baranowski, jaki człowiek był trudno wiedzieć; pewna rzecz tylko, że przybył tutaj z ziemi dobrzyńskiej, że szukał tędy wsi do dzierżawy lub kupna, że mu się Jabłonica podobała nad inne, że ją chciał kupić koniecznie, a kiedy tego otrzymać nie mógł, póty męczył pana kuchmistrza, póki jej nie otrzymał w zastaw trzechletni. Jakoż ją trzymał trzy lata, a po trzech leciech wyprosił sobie rok czwarty; lecz kiedy po czwartym chciał jeszcze pozostać dalej, pan kuchmistrz nie chciał na to żadną miarą zezwolić. Po długich prośbach wszakże zezwala Załuski jeszcze na rok jeden, ale pod tym warunkiem, że na rok przyszły, o świętym Janie, ma mu być Jabłonica oddana bez żadnych kwestyj. Baranowski zostaje, lecz już w biegu tego piątego roku, daje się słyszeć z tem wszędzie, że z Jabłonicy za nic się nie ustąpi. Niecierpliwi to dosyć kuchmistrza, lecz zniecierpliwia daleko więcej, kiedy wysławszy na kilka dni przed świętym Janem swego rachmistrza, jp. Pełczyckiego, do Baranowskiego z wezwaniem, ażeby sobie sumę zastawu odebrał, dostaje od niego stanowczą odpowiedź: że sumy tej nie odbierze, że ma inne do niego pretensye, i Bóg nie wie co jeszcze, a w końcu że z Jabłonicy żadną miarą się nie ustąpi.

Pisarzem grodzkim sanockim był naówczas jp. Józef Malicki, późniejszy kasztelan, Wojciech Wielogórski regentem, a susceptantem Aleksander Rzebicki, do nich się tedy, jako do siedzących ciągle w Sanoku, udaje pan kuchmistrz, jak ma sobie postąpić. Jp. Malicki, przejrzawszy dokumenta, zapewnia kuchmistrza, że byle tylko sumę zastawną wraz z kontraktem zastawu złożył w kancelaryi grodzkiej sanockiej, to pan Baranowski najniezawodniej będzie zmuszony oddać mu Jabłonicę natychmiast. Pan kuchmistrz tedy, zabrawszy z sobą to wszystko, zabiera także swego rachmistrza Pełczyckiego i w sam dzień Nawrócenia świętego Piotra i Pawła udaje się do Sanoka, pewny tego, że wszystko jak najlepiej załatwi, nazajutrz do domu wróci, a w kilka dni Jabłonicę odbierze.

Nie była to wszakże sprawa tak łatwa. Baranowski bowiem, lubo sam może nie tyle zły i mniej zręczny, ma

jednak dziwnie sprężystą podporę w plenipotencie swoim, jp. Mietelskim. Ten Mietelski jest to szczwany lis palestrancki, który całe życie przepędził na trybunałach i sądowych kadencyach, to jako plenipotent, to delator, to wreszcie świadek lub poplecznik najęty. Przez tego Mietelskiego śledzi Baranowski każdy krok Załuskiego, jakoż się dowiaduje i o tem, jaką on odpowiedź odebrał od Malickiego. Dowiaduje się wreszcie, że z deportacyą sumy zastawnej sam pan kuchmistrz w dzień świętego Piotra i Pawła ma udać się do Sanoka. To mu też odbiera ostatnią nadzieję, jakoż do przynoszącego mu tę wiadomość Mietelskiego powiada z żalem:

— Jużeśmy teraz całkowicie przepadli. Ladajaki rajca z ciebie, Mietelski! a inną drogą możebym się przecie usiedział był w Jabłonicy, boćby bez niej nie zgłodniał pan kuchmistrz.

Ale na to Mietelski:

— I tak się waszmość jeszcze usiedzisz. Mam ja sposoby na wszystko. Owo więc i na to jest sposób, a ma się tam oprzeć o kogo pan kuchmistrz, mam i ja się też oprzeć o kogo w Sanoku. Toż to nie tylko tam pan Malicki i panowie grodowi; jest tam przecie i chorągiew pancerna, a w tej chorągwi są tam Kunicki i Waryczeńko, a jegomość masz zasie swoich.

— Więc cóż powiadasz, Mietelski?

— Pojedziemy i my do Sanoka — odpowiada Mietelski — a tam obaczymy. Jakoż rzeczywiście, kiedy pan kuchmistrz dopiero na dzień świętego Piotra i Pawła wybiera się do Sanoka, Baranowski z Mietelskim już w wigilię tam przybywają.

W Sanoku wówczas stoi rzeczywiście chorągiew pancerna. Jest to chorągiew jw. Józefa Mniszcha, kasztelana krakowskiego, której namiestnikiem jest jp. Ludwik Lubieniecki, Antoni Osuchowski chorążym, a z towarzystwa bawią przy niej naówczas jp. Kosobucki, Jan i Mikołaj Bukowscy, Józef Siedliski, Witski i kilku innych. Pomiędzy tymi wszakże znajdują się jeszcze dwa indywidua, jeden Kunicki a drugi Waryczeńko, zwany czasem Warężki, o

których trudno przypuścić, ażeby byli istotnymi towarzyszami chorągwi, bo na to nie zezwalają ich późniejsze uczynki. Towarzystwo w chorągwi było tak znamienitym zaszczytem, że o niego ubiegały się najpierwsze imiona; towarzyszem chorągwi nie mógł być wówczas, tylko szlachcic herbowy, znanego powszechnie domu, a nawet i dla takich jeszcze uzyskanie tego zaszczytu było pod owe czasy taką trudnością, że nawet szlachcic osiadły i piastujący już ten albo ów urząd w powiecie, miał siebie za szczęśliwego, jeżeli go za pomocą instancyi i długich zachodów uzyskał. W takiej chorągwi zresztą, której każdy prosty towarzysz nie mógł pójść pod komendę nawet generała cudzoziemskiego autoramentu, i która przeto składała się prawie z samego kwiatu ówczesnego obywatelstwa, nawet za Sasów przestrzegano z taką surowością honoru, zacności i czystości spraw wszelkich, że o tem, ażeby się pod nią jako istotny towarzysz, mógł znajdować człowiek podejrzanego charakteru i wolnego sumienia, nie można ani pomyśleć. Kunicki i Waryczeńko, lubo ich manifest pani kuchmistrzowej litewskiej takiemi zowie, nie mogli być jednak towarzyszami chorągwi. Jakoż inaczej i całkiem prawdziwie wyjaśniona nam ta tradycya. Chorągiew taka, konstytująca w Sanoku, jeżeli się samowolnie nie mieszała w sprawy powiatowe albo prywatne, nie miała właściwie nic do czynienia. Lubo więc obowiązkiem było, ażeby chorągiew taka była o każdej porze a przynajmniej w trzeciej części towarzystwem okryta, towarzysze jej jednak, będąc po największej części szlachtą osiadłą, mającą w domu swoje własne zajęcia, nie siedzieli nigdy w swojej chorągwi, kontentując się tem, że się po kilka razy do roku zbierali na Koło rycerskie, że swoich luzaków czyli pocztów utrzymywali w Sanoku i zresztą sami byli na każde zawołanie gotowi. Porucznikowi jednak, albo namiestnikowi, komenderującemu chorągwią, przykro było siedzieć w miasteczku z samym tylko chorążym, asystującym zresztą wedle zwyczaju sądowym kadencyom, procesyom kościelnym i wszystkim innym miejscowym obchodom; radby był mieć zawsze przy sobie choć jaką

taką z Towarzystwa reprezentacyą. Nie mogąc jej zaś mieć ze strony towarzyszów chorągwi, których najwięcej kilku przy nim bawiło, przysposabiał ją sobie sztucznie. O to zaś wcale nie było trudno. Albowiem wówczas, przy długoletniem spokoju i ogromnem rozmnożeniu się szlachty, mnóstwo było młodzieży w kraju, którzy żadnego nie znachodzili zajęcia. Było też wielu ludzi, którzy śród powszechnego nieładu, przywłaszczywszy sobie nazwisko, stopień wojskowy lub urząd jaki, włóczyli się z miejsca na miejsce, szukając utrzymania dla siebie w powszechnie zachowywanej gościnności. Drudzy, posłużywszy czas jaki na kresach, porzucali ciężką tamtejszą służbę i na lekszą w kraj się puszczali; inni, dla jakiego łotrostwa wykluczeni z chorągwi lub z regimentu, ze zmyśloną historyą niewinnego prześladowania zaciągali się w jakiej dalekiej krainie do nowej służby. Tacy więc goście, lubo zresztą nie wielką ich obdarzano ufnością i w chorągwiach okrytych, konsystujących po wielkich miastach, żadnego im nie dawano przystępu — w chorągwiach jednak takich, którym zwykle brakowało nie tylko okrycia, ale nawet reprezentacyi, częstokroć łatwego doznawali przyjęcia. Jakoż za takich gości także należy mieć Kunickiego, a przedewszystkiem już Waryczeńka, który nawet nie miał ustalonego nazwiska.

Jakoż jp. stolnik dobrzyński, przybywszy wraz z swoim Mietelskim do Sanoka, nie udał się wcale do nich, tylko rozkazawszy w gospodzie zgotować obiad i nakupiwszy win różnych gatunków, jak gdyby nic nigdy nie było, całą chorągiewną starszyznę do siebie zaprosił. Na tę fetę stawili się z chęcią namiestnik, chorąży i wszyscy towarzysze. Jedzono, pito i bawiono się aż do rana; rano zaś jp. Lubieniecki, mający swe gospodarstwo we wsi Zahutyniu, o ćwierć mili od Sanoka odległej, do siebie znów wszystkich zawezwał. Wkrótce też zajechały przed gospodę karabony i kałamaszki, i widzieli to wszyscy, jak całe to towarzystwo, śród rozgłośnie śpiewanych pieśni i gęstego strzelania z rusznic i pistoletów, wyjechało precz z miasta. W Zahutyniu *de noviter repertis* — i tu dopiero stol-

nik dobrzyński, zostawiając Mietelskiemu robotę około Kunickiego i Waryczeńka, sam przed starszyzną zaczyna rozwodzić żale na pana kuchmistrza, opowiadając jako go gnębi i zdziera, i teraz jeszcze chce z posiadanej prawnie dzierżawy wyrzucić. Burzą się na to winem i bezsennością porozgrzewane umysły — lecą klątwy i groźby na wszystkich koronnych i litewskich kuchmistrzów — dostaje się przytem wojewodom, starostom i kasztelanom, a wrzekomo ukrzywdzonemu szlachcicowi dostaje się ręka bratnia i obietnica pomocy.

Dzieje się to w sam dzień świętego Piotra i Pawła. W ten dzień też w samej istocie przyjeżdża do Sanoka i kuchmistrz. Ale pan wielki, z wielkim jeżdżący dworem, przyjeżdża późno i nim dla siebie miejsce znajduje w gospodzie, słońce już blizko zachodu. Obawiając się, aby go z przyjęciem deportowanych pieniędzy nie odroczono do jutra, posyła Pełczyckiego do pana pisarza. Pan pisarz, grzeczny i uprzejmy dla wszystkich, uprzedzającym jest dla tak znakomitego dygnitarza i odpowiada przez Pełczyckiego, że czekać będzie w kancelaryi i deportowane pieniądze przyjmie — choćby też i przy świecach..

Pan kuchmistrz tedy się wybiera powoli i nim się wybrał, zmrok już zapada na dworze. O zmroku dopiero wychodzi on ze swojej gospody, idzie z nim Pełczycki, a za nim hajducy na noszach drewnianych noszą sumę zastawną. Kiedy tak idą do grodu, którego kancelarye znajdowały się w przyziemiach zamku, położonego na drugim końcu miasta, przychodzą na rynek; w rynku śród nieprzejrzanego już zmroku, z niewiadomego miejsca daje się słyszeć gromki głos, wołający:

— „Śmierć to niosą, nie pieniądze!"

Pan kuchmistrz nie zrozumiał sam dobrze, ale zrozumiał Pełczycki i powtórzywszy mu te słowa, mówi do niego:

— Jw. panie! bodajby tu na nas nie było jakiej zasadzki.

Ale Załuski w swojem czystem sumieniu i dobrem rozumieniu o ludziach, zbywa niczem Pełczyckiego i tak w milczeniu dochodzą wszyscy do zamku.

W zamku, w galeryi grodzkiej, zastali istotnie światło i pp. Malickiego, Wielogórskiego i Rzepeckiego, czekających z aktami. Wszakże ledwie pan kuchmistrz, wszedłszy do kancelaryi, zaczął się witać z jp. pisarzem, daje się słyszeć tumult jakiś na dziedzińcu zamkowym. Nie można zrazu rozpoznać co się dzieje, ale słychać wyraźnie brzęk szabel, różne pomieszane hałasy jakby pijanych ludzi, a między niemi i głosy: bij, zabij! takiego a takiego syna! — Kuchmistrz spogląda ze zdziwieniem na pana pisarza, ten zaś nawzajem na niego — a tymczasem drzwi od samejże kancelaryi otwierają się z wielkim łoskotem i cała ta hurma krzykaczy wpada wewnątrz do izby. Na jej czele widać najpierwej Lubienieckiego, Baranowskiego i Kunickiego, za nimi wpada Mietelski i Waryczeńko, a dalej kilkunastu jeszcze uzbrojonych, których wszakże już niepodobna rozpoznać. Przeciwko tym napastnikom powstaje z pasyą jp. pisarz grodzki, lecz ci wszczynają odrazu taki tumult i hałas, że jego głos ginie śród wrzawy. Tymczasem Baranowski rzuca się na kuchmistrza, łżąc go śród tego rozgwaru najbrzydszemi słowami; Załuski się cofa za stół do kąta, ale w tej chwili napadają na niego Kunicki i Waryczeńko, i kiedy jeden rozmachanemi rękami strąca mu z głowy kapuzę, drugi dobytą z pod kierei szablą, tnie go w głowę tuż koło lewego oka. Cięcie to nietylko że trafia kuchmistrza w miejsce tak słabe jak skronie, lecz jest zarazem tak silne, że go odrazu powala na ziemię...

Widząc to jmć pan Pełczycki, dobywa szabli i na czele kuchmistrzowskich hajduków rzuca się z wściekłością na napastników, ale w tej chwili od nich już żadnego nie doznaje oporu, bo wszyscy oni, obaczywszy kuchmistrza leżącego na ziemi, sami się jaknajprędzej wynoszą.

Wkrótce potem cisza już jest w kancelaryi grodzkiej sanockiej, panowie grodowi zaciągają w akta deportacyę sumy zastawnej i sporządzają akt eksposesyi Baranowskiego — a kuchmistrzowscy hajducy na tychże samych

noszach, na których przynieśli pieniądze do zamku, odnoszą teraz zranionego swego pana do jego gospody.

Złożywszy Załuskiego na łożu w gospodzie, Pełczycki przywołuje natychmiast felczerów, przywozi lekarza zamkowego z Leska, posyła po jakiegoś mnicha lekarza do Krosna i jednocześnie rozsyła konnych posłańców z zawiadomieniem o dokonanej zbrodni na wszystkie strony.

Zabiegi te jednak niewiele pomagają choremu. Załuski leży bez przytomności przez noc całę aż do rana, a rano lekarze oświadczają zfrasowanemu Pełczyckiemu, że tylko jeden Bóg może mu pomódz, a i od Boga będzie to cudem...

Nazajutrz wszakże jeszcze wczas przed południem, zjeżdża się do Sanoka nie mało szlachty sąsiedniej i przybiega także rozstawionymi przez Pełczyckiego końmi pani kuchmistrzowa litewska. Pani kuchmistrzowa pada z rozdzierającem serca lamentem na kolana u łoża męża, a oburzona tą zbrodnią szlachta rzuca się w miasto za odszukaniem Baranowskiego, Mietelskiego, Kunickiego i Waryczeńki. Poszukiwania ich są daremne, ani jednego z nich bowiem nie masz już w mieście — szlachta rzuca się w pogoń za nimi, drudzy czepiają się pozostałych w mieście namiestnika i chorążego, z czego wszczyna się tumult, hałas i rąbanina, przyczem pomiędzy innymi poznaczonymi zlekka, jeden z młodych Gumowskich jest tak rozsiekany, że do sześciu tygodni potem goi się z ran swoich w Sanoku.

Przez następne dnie ciągle nowa szlachta się zjeżdża do miasta, a do czwartego dnia rano wszystko co tylko żyje, co tylko szablę nosi w całej ziemi sanockiej, jest zgromadzone w mieście. Szczupły Sanok rozpiera się pod tym niespodziewanym zjazdem, jego domki nie są w stanie wszystkich gości pomieścić — wszakże ci goście nie są wybredni i mieszczą się na poddaszach i w sieniach, drudzy się kwaterują w chatach wiejskich na sanockiej posadzie, inni się nawet rozkładają obozem nad Sanem. Szlachta ta zgromadzona ze wszystkich kątów przez całe dnie oblega gospodę, w której leży Załuski, a co zna-

czniejsi idą go naocznie oglądać; drudzy, uraczywszy się po winiarniach na ten niespodziewany frasunek, wywołują po ulicach pomstę Bożą na zbrodniów, inni nawet wpadają na zamek, to znów do kwatery chorągwi i grożą tak panom grodowym jak i Lubienieckiemu srogiem rozsiekaniem i śmiercią. Poplecznicy i przyjaciele Załuskich nie zaniedbują niczego, ażeby usposobienie szlachty na swojej stronie utrzymać, jakoż codzień, co godzina, dają tu i owdzie ognia poostrzone szabelki. Jednak ażeby nigdzie do tumultu nie przyszło, czuwa pilnie chorągiew pancerna. Chorągiew ta już od dni kilku jest całkowicie okryta, ani jednego nie brakuje w niej towarzysza, ani jednego luzaka. Główną komendę ma nad nią jmć pan Marcin Nieczuja-Ślaski, który przez swoje życie już nie jednej porucznikował chorągwi i tu też postępuje sobie dziwnie surowo. Wszyscy towarzysze są ciągle pod bronią; odwach jest utrzymany porządnie; Lubieniecki i Osuchowski wraz z pocztowymi, na których pada podejrzenie wspólnictwa zbrodni, obłożeni, to honorowym, to rzeczywistym aresztem; bezustanne ronty przeciągają ulice i zgoła cała ziemia sanocka, za pomocą porozsyłanych komend wzięta jest w czujną policyę, ażeby w niej choć jednego ze zbrodniarzy wyśledzić.

Takie naprężenie trwa przez dni siedm. Siódmego dnia wieczorem kuchmistrz, wycieńczony na siłach, umiera. Wieść ta jak błyskawica rozbiega się po mieście. Zbija się w tłumy szlachta, grozi i tym i owym, i w swej zapamiętałości grozi nawet samemu miastu. Nie wiele brakowało do tego, żeby rozżartym tłumom trza było poświęcić jednego z uwięzionych towarzyszów, dlaczego zapewne Lubieniecki wraz z Osuchowskim zaraz po śmierci kuchmistrza znikają także bez wieści. Czujna wszakże i ciągle czynna chorągiew utrzymuje spokój powszechny — późną nocą rozchodzą się tłumy na swoje leże — a tymczasem pani kuchmistrzowa litewska wraz z przybyłymi krewnymi i całym dworem przygotowuje się do solennego aktu oskarżenia, mającego się odbyć nazajutrz.

Jakoż w istocie nazajutrz zaraz rano, zaczyna się ten

akt pompatyczny. Wtedy „*Corpus exsangue*“ ś. p. kuchmistrza, ubrane jest w szaty jego imieniowi i tytułom odpowiednie. Ciało to położone na mary, kirem obwieszone do koła, niosą w żałobę poubierani hajducy z nieboszczykowskimi herbami. Za ciałem, z rozgłośnym jękiem i niepowstrzymanemi łzami, ciężką żałobą okryta, postępuje pozostała po zmarłym wdowa; koło niej idzie, wtórząc głośno i łzom, i jękom matczynym, siedmioro drobnych osieroconych dziatek. Dalej kilku krewnych przybyłych, cały dwór nieboszczyka kuchmistrza i wszyscy słudzy, wszystko to w ciężkiej po swoim panu żałobie. Za nimi wreszcie ciągnie kilkuset szlachty, jedni z głowami pochylonemi w smutku ku ziemi, drudzy z okiem pałającem zemstą i szukającem zbrodniarzy. Około tego ogromnego konduktu ciśnie się lud pospolity tłumami, pomiędzy które przeciągają konne i piesze poczty towarzystwa chorągwi.

Wszystko to ciągnie krokiem powolnym na zamek i wchodzi wreszcie na zamkowy dziedziniec. Tam przeciw nim wychodzą: starosta, i sędzia, i pisarz, i zgoła cały sąd grodzki. Okryta kirem i łzami zalana wdowa ś. p. kuchmistrza, prezentuje sądowi jego wybladłe zwłoki, w imieniu swojem, w imieniu sierot przyprowadzonych ze sobą i całej nieboszczyka familii, zanosi ona żałosną skargę na to srogie zabójstwo do sądu, prosi o sądowne obejrzenie zwłok nieboszczyka, o wyraźne uznanie i ogłoszenie dokonanego na nim zabójstwa, a wreszcie błaga o ukaranie zbrodniarzy. Tym skargom i prośbom towarzyszy rozgłośny płacz samej wdowy, jęk dzieci, szlochanie krewnych, sług i przyjaciół zmarłego, a nareszcie i stokroć jeszcze głośniejszy gwar zgromadzonej tak tłumnie szlachty, z ust której tutaj wyrywają się tylko niezrozumiałe groźby, tam wyraźniejsze przekleństwa, ale gdzieindziej także i wcale zrozumiałe przeciw samemu sądowi zarzuty: jakoby i on był winien w części tej zbrodni, będąc ze zbrodniarzami w zmowie i odbywając umyślnie dla tego sprawę kuchmistrza w nocy.

Na tę skargę i prośbę dobitną, popartą jakiemi dwiema lub trzema setkami szabel, sąd jest dziwnie usłużny. Ogląda on natychmiast ranę nieboszczyka kuchmistrza i uznaje ją bezwątpienia śmiertelną; ze swojej strony, wedle sił wszelkich, utula w żalu wdowę i płaczące sieroty; jakoż także bezzwłocznie deleguje od siebie urodzonego jmć pana Pawła Ciechanowskiego z Grabówki, ażeby tenże zbrodnię tę za spełnioną, a jmć panów Baranowskiego, Mietelskiego, Kunickiego i Waryczeńkę za zabójców ś. p. kuchmistrza, swoim czystym i zrozumiałym głosem, ogłosił.

Na tem się kończy akt ten solenny, — poczem pani kuchmistrzowa zabiera zwłoki mężowskie do dóbr famillijnych — szlachta się po mału rozjeżdża do domów — i tylko chorągiew pancerna pozostaje w Sanoku.

Chorągiew zostaje cała, — po zniknieniu bowiem rzeczywistych zbójców, o nią tu chodzi najwięcej. U jej namiestnika i chorążego, motorowie tej zbrodni znaleźli dla siebie oparcie, a to jest plama nie mała. Chorągiew nie może tego sobie zapomnieć, i dlatego zbiera się na Koło. Koło to jest burzliwe i gwarne, bo każdy czuje jak wielką jest ta plama, a nikt nie widzi na nią żadnego środka. Wszakże wśród tej rozgwarnej narady zdobywa sobie znowu główny głos jmć pan Nieczuja Ślaski i powstawszy za stołem, tak mówi:

— Mości panowie i bracia! dawnymi czasy służba w chorągwi pancernej była najpiękniejszym w Rzeczypospolitej zaszczytem. Chorągiew była tak jako kościół: kto do niej wstąpił, jakby się zbliżył ku samemu Bogu. Na chorągwi nie mogła być żadna skaza, ani nawet cień żaden, a każdego jej towarzysza słowo ważyło tak jak przysięga. To też wówczas chorągiew stawała i za rząd i za sądy, i nie raz za to, czegoby żaden sąd nie potrafił. W dzisiejszych czasiech, cóż się to między nami dzieje? Oto chorągiew nasza, zamiast czuwać nad sądów powagą i zacnością obywateli, jeszcze sama daje pochop zbrodniarzom! Powiadają wszyscy że to jest wypadek: ale tak nie jest, panowie bracia! Plama ta nie jest wypadku skutkiem, jeno skutkiem tego, żeśmy wszyscy, jako jesteśmy, zmaleli, żeśmy podupadli na duchu i zubożeli na cnotach ojcowskich, pilnujemy głównie naszej własnej szkatuły i gar-

dła — zamiast przestrzegać surowo czystości sumienia, popuszczamy sobie cugli codziennie więcej i rozpasujemy na wszystko.

Tak mówi Nieczuja i powiada nakoniec ze smutkiem, że co się stało, to się już odstać nie może. Ale potrzeba przynajmniej, żeby drugi raz nic podobnego się nie stało.

— A pewni tego będziemy dopiero, jeżeli służbę około chorągwi będziemy pełnić wedle starego zwyczaju. Więc ani nam się w tej służbie dać zastępować nieznajomym advenom, ani zezwalać na to, ażeby się lada kto chlubił tytułem towarzysza, ani przy kielichu i za przekupstwem afektów odprawować obiory. A kiedy w chorągwi nie będzie namiestnikował ten, który mieszka najbliżej Sanoka; ani do exakcyi podatków wybrany ten, który przychudł na swojej wiosce, ażeby się też na exakcyi podkarmił; ani chorągwi naszej nie będzie nosić ten, który nie ma co nosić u siebie w domu — tedy i ład będzie i bezpieczeństwo pod każdym względem i nie stanie się nigdy podobny teraźniejszemu wypadek.

Tak skończywszy swą mowę, proponuje najpierwej zupełną puryfikacyę chorągwi i całkiem nowe obiory, potem napisanie listu w tem do jw. rotmistrza; a wreszcie, ażeby odtąd przynajmniej przez czas jakiś kilkunastu towarzyszów mieszkało wciąż przy chorągwi.

Lubo cierpkie zaiste są prawdy, powiedziane przez starego jmć pana Nieczuję, nikt jednak się przeciw nim nie odzywa i wszyscy jednogłośnie zgadzają się na poczynione przez niego wnioski. Puryfikuje się tedy chorągiew w ten sposób, że z niej wychodzą na zawsze nie obecni już Lubieniecki, Osuchowski, Kunicki i Waryczeńko i nawet z pocztowych, którzy byli przy owem zabójstwie, żaden nie pozostaje w chorągwi. Następują natychmiast wybory i te wypadają najlepiej: namiestnictwo bowiem dostaje się jmć panu Ossoryi-Bukowskiemu z Nozdrca, który później był podkomorzym tej ziemi, a chorąstwo jmć panu Błońskiemu z Berezki, który później był stolnikiem sanockim, i którego pierwsza konfederacya chciała mieć koniecznie marszałkiem.

Po napisaniu o tem relacyi do Mniszcha, kilkunastu towarzyszy zostaje przy chorągwi — wszyscy inni się rozjeżdżają do domów — i dawna cisza rozlega się w mieście Sanoku.

Taka też sama cisza zalega i w Jasienicy, na dawnym dworze nieboszczyka kuchmistrza. Po jego pogrzebie, odprawionym z wielką pompą owemu czasowi właściwą, pozostała wdowa wynosi się stąd na zawsze i zamieszkuje w miasteczku Łasku w województwie sieradzkiem. Opiekę nad pozostałymi majątkami, nad sobą samą i siedmiorgiem sierotek, porucza ona stryjeczno-rodzonemu bratu ś. p. męża, Jędrzejowi Stanisławowi Załuskiemu, podówczas już biskupowi krakowskiemu, który z ojcowską troskliwością zajmuje się wychowaniem starszych jej dzieci. Popiera on także całym wpływem swoim proces przeciwko zabójcom kuchmistrza, lecz dla ich niebytności i nawet zaginionych zupełnie o nich wieści, nie doprowadza do żadnego skutku. Pani kuchmistrzowa wiec wreszcie zarzuca dalsze poszukiwania, nosi sama przez lat kilka grubą po mężu żałobę; tę żałobę później zamienia na habit zakonnicy i w tak wiernej pamięci nieodżałowanej swej straty, oddana wychowaniu dzieci, modlitwom i miłosiernym uczynkom, pomstę za krzywdy swoje pozostawia samemu Bogu.

Od tego czasu mija lat kilkanaście.

Zajęta po większej części hucznemi biesiadami i biesiadniczemi burdami szlachta, zapomina już całkiem o dokonanej na ś. p. kuchmistrzu litewskim zbrodni. Zapomina ona o niej tembardziej, ile że dotychczas żaden z jej motorów ni wykonawców na jaw nie wyszedł; nawet o samym Baranowskim, który tu przecież swoje dobytki i ową sumę zastawną zostawił, nie dała się słyszeć żadna wieść nigdy. Wszystko to gdzieś się podziało, zniknęło, przepadło.

Aż dnia jednego, kiedy pani kuchmistrzowa litewska, już późnemi latami zgarbiona matrona, lecz zawsze jeszcze habit zakonny nosząca i mieszkająca naówczas w Łasku, o wieczornej godzinie, siedzi z kilką pań innych w wielkiej dworu swojego komnacie: daje jej znać służący, że jakiś pielgrzym, powracający z Ziemi świętej, prosi o

wstęp i posłuchanie u pani. Święta matrona chętnie zezwala na to — jakoż wkrótce otwierają się drzwi i wchodzi przez nie starzec białowłosy, z długą po pas białą brodą, w strój zwyczajny pielgrzymów przybrany, który się zbliża wprost do pani Załuskiej i prosi, ażeby mu pozwoliła pomówić z sobą słów kilka na osobności. Zaniepokojona tem cokolwiek staruszka, namyśla się trochę, lecz na usilne prośby pielgrzyma odchodzą do przyległej komnaty przytomne damy, a ona pozostawszy sama z pielgrzymem, pyta go, czegoby żądał. Wszakże natenczas pielgrzym rzuca się przed nią na kolana i mówi przerywanemi słowy:

— „Nie powstanę ze ziemi, póki mi nie przebaczysz.“

— „Któż jesteś? cóżeś mi winien?“ — pyta pani Załuska.

— „Jestem Baranowski“ — powiada starzec klęczący.

Na wspomnienie tego nazwiska, ba nawet wprost na widok samegoż zabójcy męża, przerażoną matronę porywa tak gwałtowne uczucie zgrozy i żalu, że przez długą chwilę stoi nad starcem jak gdyby niema i nie jest w stanie ani słowa przemówić. Jednak po chwili, powróciwszy do władzy nad sobą, wymawia z łkaniem te słowa:

— „Bóg mi każe przebaczać, przebaczam, bodajby i On ci tak samo przebaczył.“

Poczem pielgrzym powstaje z ziemi i znika.

Co się później stało z tym Baranowskim, rzecz niewiadoma. Tutaj w Sanockiem żadna wieść o nim nic nie przynosi. Zapewne resztę swego pokutniczego życia skończył w jakim klasztorze [1]).

[1]) Zdarzenie to mam wyjęte z aktów grodzkich Sanockich, Relat. Libro. 235, pag. 868, a dopełnione tradycyą żyjącą w domu hrabiego Józefa Załuskiego, rodzonego prawnuka s. p. kuchmistrza.

III.

EDMUND CHOJNACKI.

Przejdę wreszcie do innego wspomnienia domowych dziejów tej ziemi, które, tak samo jak poprzednie, powinno nietylko dać nam prawdziwe i jasne wyobrażenie o potędze i sile owoczesnej opinii publicznej. — Zdarzenie to odnosi się do familii Chojnackich, zamieszkałej naówczas w Sanockiem. Nazwisko to występowało już nieraz w różnych rymowanych i nierymowanych powieściach i Chojnackiego figura różne już przybierała postacie. Figura ta wszakże nie wszędzie jest taką samą, jaką była niegdyś w istocie; gdzie niegdzie nawet jest ona zlaną z trzech różnych osób całością, z których każda miała w rzeczy wcale odrębne znaczenie i stanowisko, i swój właściwy charakter.

Nie wspominam tu o tem dlatego, ażebym na wzór własnego popisu łaknącej i uboczne względy na celu mającej krytyki, chciał prostować poetyczne zmyślenie, często wiele piękniejsze od prawdy, — ale głównie dlatego, że do zrozumienia rzeczywistego faktu niezbędną jest znajomość rzeczywistych premisów.

Owóż tedy Chojnaccy, piszący się z Chojnat, a używający klejnotu Trzaska, jak dawno byli zamieszkali w Poznańskiem, Sędomirskiem i Rawskiem, tak niedawno w Sanockiem. Dopiero Józef Ossoliński, wojewoda wołyński, żę-

niąc się (a jak wówczas mówiono, przystając do Stadnickiej, wojewodzianki także wołyńskiej), osiadając na żoninym majątku Lesku i przyprowadzając tutaj ze sobą kilku szlachty, swoich dworzan czyli przyjaciół, przyprowadził także i Chojnackich. Przybyły z nim, był to pan Maciej Chojnacki, stolnik rawski, potem pisarz, a w końcu nawet tytułujący się sędzią grodzkim sanockim.

Był to mąż nadzwyczaj poważny i po staremu stateczny, nie był nigdy dworzaninem, lecz za to szczególnie wiernym przyjacielem Ossolińskiego. Takim zawsze się mienił i miał nawet wszelkie prawo do tego, bo nietylko nie odstępował nigdy Ossolińskiego w żadnej opinii, ani w żadnej przygodzie, ale nadto był on sam nawet spokrewniony z znakomitymi domami, i kiedy jeden z jego przodków miał za sobą Ogińską, drugi ożeniony był z Ossolińską, wdową po Korytku. Jakoż pan stolnik, przyszedłszy tutaj, lubo wziął zaraz Zagórz, jedną z najpiękniejszych wsi państwa leskiego w dzierżawę, kupił jednak natychmiast wieś Strwiążyk, ażeby miał i własne w tej ziemi dziedzictwo.

Ten Chojnacki, z Gostomskiej albo może nawet Stadnickiej, miał dwóch synów, Edmunda i Antoniego. Młodszy o wiele Antoni nie odznaczył się żadną osobliwością i dożywszy w spokoju bardzo późnej starości, ledwie trzydzieści lat temu jak umarł, — starszy zaś Edmund, nie posiadający nigdy żadnego urzędu i tytułujący się zawsze tylko stolnikowiczem rawskim, to jest właściwie ów zawołany junak swojego czasu, do którego tak mnogie i tak charakterystyczne się wiążą powieści.

Jaka była jego młodość najpierwsza, niepodobna powiedzieć z pewnością. Według niedokładnego podania miał on być w różnych szkołach, i już w szkołach miał się odznaczać swoim charakterem burzliwym i zręcznością w robieniu bronią; miał też być także przez jakiś czas krótki na dworze samego króla, gdzie jednak jego charakter niesforny nie dopuścił mu dłuższego pobytu. Pewna rzecz wszakże, że kiedy wrócił w progi ojcowskie, był to młodzieniec, który wzrostem przenosił najsłuszniejszych o głowę, który rwał postronki jak nici i konie wywracał, lecz przytem także posiadał wielką ogładę światową, nie obce mu były nauki i umiejętność kilku języków. Jego dzieje publiczne, że je tak nazwę w braku innego wyrazu, są już skądinąd dostatecznie znajome. Nie miał on równego w całej sanockiej ziemi i to nawet pod żadnym względem, bo jak zręcznością, odwagą i siłą przenosił wszystkich, tak górował także nad nimi sprężystym charakterem, niepokalanem sumieniem i głową. Jakoż jest to rzecz osobliwa w Chojnackim, że jak był z charakterem dziwnie namiętnym i nawet gwałtownym, jak całą ziemią tą trząsał, rwał sejmiki w Sądowej Wiszni, albo na przekór zrywać je chcącym, własną wolą je utrzymywał lub składał; jak się zrywał do sądów, do napadów i miewał nieraz najwybredniejsze różnych wojen wymysły; jak wyraźnie jakiś duch dziki, nieokiełznany, wichrzył nim ciągle i podpalał w nim głowę i serce, — tak w rzeczy samej był to człowiek najdelikatniejszego sumienia, najtkliwszych uczuć i z wszystkich o nim krążących, zapewne nieraz różnie poprzekręcanych podań, ani jedno go nie obwinia o żadną krzywdę wyrządzoną drugiemu, ani nawet o cień jakiej krzywdy.

Wyświeca to jeszcze daleko jaśniej pogląd na jego życie domowe i familijne stosunki, o które nam głównie tu chodzi.

Owóż tedy ten Edmund, który, powróciwszy do rodzicielskiego domu, stał się niebawem ulubieńcem, ba prawie bożkiem całej sanockiej ziemi, jedną miał przecie osobę, która nie dzieliła wcale tego tak powszechnego afektu. A tą osobą był na jego nieszczęście jego rodzony ojciec. Poważny i stateczny pan stolnik, na poły niby jakiś surowy Rzymianin, a na poły roztropny polityk i dworak, nie podobał sobie odrazu w synie, który obdarzony wcale innymi przymiotami umysłu i serca, wcale też inną obrał sobie swego żywota drogę. Pan Maciej, dumny ze swoich tak blizkich z wojewodą stosunków i pamiętny swych dawnych tak znakomitych koligacyi rodowych, chciałby był widzieć swojego syna całkowicie na owej drodze, na któ-

rej się przychodziło do znamienitych fortun i szumnego znaczenia. W tym a nie innym celu zapewne posyłał oń tego syna do szkół, utrzymywał go tam z niemałym kosztem na stopie wyższej, wkręcił go potem na dwór królewski i za protekcyą Ossolińskiego i innych panów torował mu drogę do dalszej sobie upodobanej promocyi: a tymczasem ten Edmund, nietylko z pracowitych zabiegów ojcowskich nic a nic nie korzystał, lecz jeszcze, powróciwszy do domu, okazał się odrazu na drodze zamysłom ojcowskim dyametralnie przeciwnej. Zamiast gładkiego i ugrzecznionego młodzieńca, szermierz rycersko-junacki, — zamiast roztropnego i układnego dworaka, człowiek prosty i prawdomówny, — zamiast kornego i aplikującego się panom stronnika, niezawisły w swych zdaniach, śmiały, odważny obrońca osobistej swobody, — nie podobał się Edmund ojcu do tego stopnia, że w krótkim czasie stał się nietylko obojętnym dla niego, ale miejsce obojętności zastąpił nawet pewien rodzaj odrazy. Jakoż w podobnym razie, a z innym synem byłby sobie pan stolnik postąpił zapewne inaczej, — ale Edmunda osobiste przymioty i jego tak dorażnie zdobyte i tak znamienite znaczenie w powiecie, wynikający stąd zresztą o tyle jeszcze przykrzejszy stosunek jego do ojca, zniewoliły nawet nienawistnego pana stolnika do tak oględnego obejścia się z nim, że zamiast mu jawnie okazywać swą niechęć, oddał mu swoją dziedziczną wieś Strwiążyk w bezwarunkową dzierżawę.

Na tej wsi siedząc i mając za sobą niemal całą sanocką szlachtę, wszedł on dopiero zupełnie w swoją rolę właściwą. Jakoż ciągle na koniu, trząsając sam sejmikami i szlacheckimi zjazdami, polując tu na niedźwiedzie i dziki, a gdzieindziej na stronników wichrzącej po kraju familii, opierał on się nieraz w swoich wycieczkach o Węgry, a nawet aż o Kresy. Tak minęły dwa lub trzy lata ostatnie panowania Augusta III i pierwsze cztery lata panowania nowego króla.

Z wybuchem konfederacyi barskiej, Edmund oczywiście jest pierwszy, który się jej chwyta. W wystąpieniu zbrojnem tutejszej ziemi uprzedza go wprawdzie zrządzeniem

przypadku Pieniążek, ale Chojnacki już za moment jest przy niej i kiedy inni ciągną przez Sanok na pola rymanowskie, on z osobnym oddziałem puszcza się na werbunek do Bukowska, Nowego-Tańca i Dukli. Od zebrania się pod Rymanowem służy on ciągle przy tej konfederacyi aż do jej końca. Ale i tutaj zdradza się głównie jego z jednej strony niesforny, a z drugiej całkiem dla siebie bezinteresowny charakter. Pomimo to bowiem, iż w tych rozpierzchnionych rozruchach, gdzie kto nie chce ozdabia się szumnym tytułem marszałka albo regimentarza, o nicby łatwiej nie było i jemu, jak o okrycie się takim lub tym podobnym błyskotliwym honorem: nie widać go nigdzie sięgającego ani po tytuł, ani po wyłączną dla siebie władzę; — przeciwnie nawet, on to sam pierwszy proponuje na marszałka konfederacyi sanockiej pana Bronickiego z Nowego-Tańca i proponuje go właśnie dlatego, że jest „mężem oględnym i ma doświadczenie wojenne“. Edmund sam dla siebie rezygnuje z wszystkiego, — on chce się „bić tylko“ przy tej niezmiernie szczęśliwej okazyi. Jakoż bije się on teraz do syta. A ażeby mógł się wybić na wszystkie strony, nie wiąże się z nikim na długo. Podczas konfederacyi widać go niemal wszędzie. Takie miotanie się we wszystkie strony, takie gorące pragnienie boju, znamionuje jego charakter rycersko junacki, ale to świadczy także o dawnej tego charakteru niestałości i jakby jego wewnętrznem rozdarciu. Jakoż nie można powiedzieć inaczej, jak tylko, że był to człowiek obdarzony znamienitymi przymiotami, lecz jego duch nie miał spójni, nie miał więzi wewnętrznej. A takich wielu było naówczas, — od Ksawerego Branickiego i pana Szczęsnego, aż do takich Kirkorów i Dzierżanowskich, było ich prawie tysiące i wszyscy w gruncie rzeczy byli jednacy, — bo takie głównie owoce wydawał ówczesny, równie ni spójni wewnętrznej, ni więzi swej niemający, duch czasu.

Pośród konfederacyi trwającej przybywa Chojnacki po kilka razy w Sanockie. Czy przybywa na wypoczynek po trudach wojennych? Nie, nigdy; lecz zawsze po to, ażeby obaczyć co też robi szlachta sanocka, i aby tych, którzy

istotnie przyszli odpocząć, nanowo do pracy napędzić. Jakoż za każdem jego przybyciem wiąże się nowa konfederacyjka w Sanockiem i rusza w pole...

Po upadku konfederacyi, wszyscy, którzy zostali przy życiu, już powrócili do domu, — lecz Chojnackiego długo jeszcze niema. Już myślano, że zginął, ale nie wcale. Jak mawiał zwykle: „Od tych much ani bąków (tak nazywał dla rozróżnienia kule karabinowe i działowe) ja pewnie nie zginę“, — tak też się stało w istocie. Nie zginął od nich i po skończeniu konfederacyi udał się za jej generalnością aż do Bawaryi. Nienasycony pięcio-letnią rozrywką, miał jeszcze dalsze nadzieje. Wszakże w Bawaryi przekonał się aż nadto, że już czas żadnych nie mieć nadziei. Więc wrócił prosto do kraju.

Na świętego Szymona i Judę jarmark roczny odbywa się w Krośnie. Na tym jarmarku jak zwykle zgromadzona jest mnoga liczba szlachty sanockiej. Słońce jesienne już się schyliło ku zachodowi i prawie zmrok już zapada. Szlachta, pokończywszy swe jarmarkowe zajęcia, gromadzi się tu i owdzie po dwóch, po kilku, po kilkunastu. Ci się wypytują o wzajemne nowiny, tamci opowiadają o wkraczających wojskach cesarzowej królowej, — inni przypominają sobie boje, przypominają rannych i płaczą poległych. Dostaje się tam pewnie niejedno wspomnienie i Chojnackiemu, o którym do dziś dnia niemasz ni jednej wieści... kiedy wtem, jakby czarnoksięskiem przywołany zaklęciem, zjawia się żywo i cały Chojnacki na rynku. W tej podróży towarzyszy mu Adam Cieszanowski, łowczyc podobno sieradzki, ale także z ziemi sanockiej, który z ran odniesionych w jednym z ostatnich bojów, goił się tam gdzieś nad Dunajcem czy Wisłą i odtąd nieodstępnym jest przyjacielem Edmunda.

Poznawszy szlachta swego ulubionego Chojnackiego, nie może się posiąść z radości. Szał jakiś osobliwszy napada wszystkich. Porywają go na ręce i niosą do gospody w tryumfie. Do gospody się zbiega jaka pięćdziesiątka ciekawych. Długo w noc trwa gawęda, ożywiona zapewne niejednym wiwatem na cześć przybyłego. Wszakże nie koniec na tem. Nazajutrz rano wszyscy Sanoczanie wybierają się razem w podróż do domu. Biorą pomiędzy siebie Chojnackiego i wiozą go, jakby jakiego zbawcę lub naczelnika nowej konfederacyi. Po drodze gęsto wstępują do dworów i zapraszają się sami, jakby z kuligiem w gościnę. Współziemianie ich przyjmują z zwykłą sobie ochotą i podejmują u siebie wedle możności. Dosyć, że robi się z tego jakiś rodzaj tryumfalnego obchodu, który zapewne w rzeczy uczcić miał pamięć samej konfederacyi, lecz że jej wyobrazicielem najlepszym i ostatnim jej losów ostatnich zwiastunem był tutaj Chojnacki, więc wszystkie wieńce tego tryumfu dostają się Chojnackiemu i stąd do tego już dawniej tak czczonego bohatera, teraz jeszcze nowa przywiązuje się chwała i całe nowym otacza go blaskiem. Cały też oświecony promieniami tej chwały i blasku, osiada on znowu w Strwiążyku i po staremu, lubo teraz o wiele już cichszy i spokojniejszy, używa czci i miłości braterskiej po całej ziemi.

Jednak niestety! głośny ten tryumf jest już ostatniem echem jego głośnego życia. Nieodrodny syn swego czasu, kiedy ten czas się spełnił do ostatniej godziny, nie ma już także w sobie warunków życia. Nad uwieńczoną głową bohatera swojego czasu wisi już wtedy straszliwy wyrok nieodwołalnych przeznaczeń, który bądź co bądź musi się spełnić koniecznie. Jakoż spełnia on się w istocie — i Chojnacki niebawem wypełnia dni swoje tak samo, jako ten duch, który go zrodził i utrzymywał przy życiu. Na jego śmierć wprawdzie składają się całkiem proste wypadki, ale wszystko to dziwnie Boża ręka prowadzi, tak dziwnie, że nie zostawia nam nic jak pokorne milczenie.

Owóż tedy Chojnacki, zasiadłszy napowrót w Strwiążyku, używa czci i miłości tej ziemi, jak dawniej. Cześć ta jest nawet teraz jeszcze daleko większa, bo krom nowego blasku, jest on dziś poważniejszy, doświadczeńszy i tak w znajomość ludzi jak wiadomości bogatszy. Pomimo to, jego stosunek do ojca jest taki sam, jak dawniej, a nawet w rzeczy jeszcze cokolwiek gorszy. Pogorszyły go bowiem różnice politycznych opinii, które dawniej różne

tylko w zarodzie, dziś wyszły na jaw w najrzeczywistszej praktyce. Edmund, jeden z najgorliwszych stronników konfederacyi barskiej — a jego ojciec, lubo może nie całkiem stronnik Stanisława Augusta, ale wraz z wojewodą stronnik spokoju i dawnego porządku. Im zaś więcej się dają uczuwać skutki, które stolnik wraz z godnymi ze sobą w opinii nazywa wprost skutkami konfederacyi barskiej, im przez to więcej się wzmaga jego niechęć ku dawnym konfederatom, — tem jego serce jeszcze więcej się burzy przeciwko swemu konfederackiemu synowi i stosunek ten wreszcie przybiera aż tak wyraźne formy, że Edmund, czując to jak dalece niemiłym jest ojcu, wcale nie bywa u niego. Zachodzą wszakże wtedy całe nowe okoliczności.

Oto klucz seredeński, należący do państwa leskiego, a wcale niedaleko od Zagórza odległy, trzyma prawem zastawu albo li też dzierżawy, jp. Salomea Strzelecka, skarbnikowa gostyńska. Jest to młoda, nie więcej jak dwudziestodwuletnia wdowa, nietylko znamienita niezwykłą pięknością, ale przytem i znamienicie bogata, posiadająca prócz rozległego i zasobnego gospodarstwa jeszcze i znaczne sumy gotowe, pozostałe i zapisane jej testamentem po mężu. Na świętą Katarzynę tegoż samego roku jest dany wielki bal na zamku leskim, na który zaproszona jest nietylko prawie cała szlachta okoliczna, ale zjeżdżają się także i znakomitsi panowie, jako Józef Potocki, krajczy koronny, i Józef Mniszek, chorąży wielki koronny a starosta sanocki, obadwa starający się o córki wojewody Ossolińskiego. Pomiędzy zaproszonymi liczy się także i pani Salomea Strzelecka. Przybywa ona wcześnie, ażeby znaleźć gospodę dla siebie i znachodzi ją u jednego z mieszczan tutejszych, który na pomieszczenie się i rozłożenie toalety balowej odstępuje jej swoich obydwóch izb, sam się wynosząc czy do szopy odległej, czy też do którego z sąsiadów. Ludzie pani Strzeleckiej umieszczają się w stajni, a ona sama tylko ze swoją służebną, zakwaterowawszy się w izbach, zaczyna zabierać się do ubierania. Pod porę, upatrzywszy ją wprzódy zapewne, wchodzi do tych izb jakiś człowiek pijany, wrzekomo niegdyś przez nią niezaspokojony, a oddalony sługa, i upomina się tytułem zatrzymanej zapłaty o jakąś sumę tak znaczną, że pani Strzelecka, pomimo całego przestrachu, widzi się być zmuszoną stanowczo mu jej odmówić. Napastnik wszakże nie myśli wcale odstąpić i po gwałtownym swarze, rzuca się sam na wystraszone niewiasty. Powstaje stąd krzyk, płacz i hałas, który przez niedomknięte okna rozchodzi się po ulicy...

Na ten bal zamkowy do Leska przyjechał także i Edmund. A czy to mając jeszcze dość czasu do swego prostego ubrania, czy może dla jakiej sprawy istotnej, wychodzi wieczór w miasto i w ową porę znajduje się pod oknami owego domku, do którego zajechała pani Strzelecka. Słysząc jakiś krzyk i płacz kobiet i wyraźny przytem głos napadającego na nie mężczyzny, nie namyśla się ani chwili i wpada w tym momencie do izby. Obaczywszy zaś na własne swe oczy co się tam dzieje, porywa owego napastnika w swoje żelazne ręce i niepytając wcale kto, co, i tam dalej, rzuca nim z taką siłą do okna, że ten, strzaskawszy sobą ramy i szyby, z głuchym jękiem pada na środek ulicy...

Pani Strzelecka, przestraszona może jeszcze więcej takim ratunkiem niżeli samą napaścią, nie umie ani słowa wymówić i opuszczając ku ziemi i przestrachem i wstydem zapłonione oblicze, tuli się milcząc do ściany... Pan Edmund także jakoś niewiele więcej ma co do mówienia, a widząc się już tu wcale niepotrzebnym, kłania się pięknie i równie milcząc, odchodzi... Jednakże cudne wdzięki pani Strzeleckiej pozostają mu tak widomie w pamięci, że tylko o nich myśli aż do samego balu. Cóż dopiero powiedzieć o nim, kiedy te same wdzięki ujrzał podniesione po dwakroć świetną toaletą balową? a co nareszcie o tem, kiedy na sali balowej na jej własne wezwanie musiał do niej przystąpić i z jej ust najpiękniejszych usłyszeć dziwnie wymówne podziękowanie za tak prędki ratunek?...

Pan stolnikowicz rawski, lubo naówczas miał już pewnie lat ze trzydzieści i kilka, nie znał jeszcze żadnej miłości. Zajęty ciągle sejmikami, zjazdami i dalekiemi wy-

prawami za bitwą, a przez pięć lat ostatnich bezustannie konfederacyą barską, nie miał on ani sposobności, ani nawet czasu do tego. A miłość późna, zwłaszcza u ludzi tak gwałtownego serca i namiętnej kompleksyi, zwykła mścić się surowo za lata bez niej przeżyte. To też w tak mściwe objęcia chwyciła ona teraz tego rycerskiego junaka.

Do podniesienia tej namiętnej miłości przyczyniło się zapewne niemało jego usposobienie ówczesne. Upadek konfederacyi barskiej, sprawy takiej, do której był przywiązany całą duszą i sercem, napełnił go dziwnie głębokim smutkiem i przygniótł ciężkim żalem jego wrażliwe serce. Tenże upadek konfederacyi wraz z nowym rządem i ładem w kraju, odebrał mu także jego dotychczasowe zajęcie, — przy żalu więc, dawny wódz niespokojnej szlachty, pogromca wichrzycieli krajowych i sędzia doraźny powiatowych konfliktów, uczuł teraz dziwną czczość w duszy i niewymowne znudzenie. Do tego jeszcze ów naprężony stosunek z ojcem napełniał go ciągłą, nieosłodzoną niczem goryczą... Bądź jak bądź jednak, pewną jest rzeczą, że Edmund, powróciwszy z owego balu do siebie, nie wytrzymał ani dni kilku, ażeby nie odwiedzić pani Strzeleckiej. Przyjęty wdzięcznie i mile, w krótkim czasie po kilkakroć swoje odwiedziny powtórzył, a znajdując z każdym dniem coraz lepsze przyjęcie, stał się niebawem jej gościem ledwie że nie codziennym.

Wszakże ta rzecz, tak jak była, ani mogła, ani na pozór potrzebowała trwać długo. Edmund, jak wszędzie, tak i tutaj miał najczystsze zamiary. Obustronne okoliczności były jak najzupełniej odpowiednie i równe. Obustronna wzajemność wskazywała sama dalszego postępowania drogę, — jakoż nie było wcale nad czem się tak długo namyślać. A jak to wówczas nad takiemi rzeczami namyślano się jeszcze daleko mniej, niżeli dzisiaj, więc i Edmund nie ociągał się długo, i dnia jednego z deklaracyą formalną wystąpił.

Deklaracya jego została bez kwestyi przyjętą. Radość tedy z obu stron wielka, a jeszcze większa dlatego, że taki osobliwszy przypadek, jakby wyraźne zrządzenie Boże,

zbliżył ich dotąd nieznajomych do siebie, że ta znajomość tak szczęśliwie i z takiem zadowoleniem stron obu zamieniła się w miłość i że uświęceniu tej miłości ślubem małżeńskim żadna nie zagroziła przeszkoda.

Wszakże kiedy się tak cieszą oboje i układają już przyszłe urządzenie się swoje, a może nawet dzień ślubu, pyta pani Strzelecka nawiasem: czyli nie postawi Edmundowi jakiej trudności ta okoliczność, że jego ojciec rodzony, jp. stolnik rawski, od niejakiego czasu po kilkakroć do Seredniego przyjeżdżał, występował zawsze dosyć paradnie, koni nie kazał wyprzęgać, prawił jej różne komplimenty, a nawet już ją kazał wypytywać zdaleka, czyliby miał trwać dalej na tej nader mu miłej drodze, czyli wszelką porzucić nadzieję?

Na tę wiadomość Edmund zbladł, jakby ściana.

Ocuciwszy się trochę, pyta swojej oblubienicy:

— I jakiż respons dałaś mu wmpani?

I odbiera na to odpowiedź, że pani Salomea, nie chcąc sobie narazić takiego personata, a do tego tak blizkiego przyjaciela jw. wojewody, jakim jest jp. stolnik, nie dała mu właściwie żadnego responsu, tylko tak sobie rzecz tę zostawiła do jakiej szczęśliwej okazyi...

To objaśnienie dobiło stolnikowicza do reszty. Stał on jak ściana blady i jak ściana milczący przez długą chwilę, a potem westchnął głęboko i rzekł te słowa:

— Ha! Bóg to sam związał i On sam tylko rozwiąże!

Kiedy pan Edmund po tej scenie u pani Strzeleckiej wrócił do siebie, dziwnie był smutny i rozstrojony. Gdyby w tej miłości i konkurencyi był znalazł dwóch, dziesięciu, dwudziestu współzawodników innych, to byłoby go pewnie tylko o tyle więcej cieszyło. Pewny swojej miłości, byłby z nich wybił połowę, a drugą połowę wystraszył. Ale współzawodnikiem ojciec i jeszcze taki ojciec do tego!... to mu odbierało nietylko wszelką chęć dalszego współzawodnictwa, ale tak pomieszało w nim wszelkie uczucia i myśli, że sam nie wiedział co czynić.

Jakoż naówczas byłby pewnie odstąpił, lecz miłość...

miłość go trzymała na żelaznej uwięzi i nie dała mu ani pomyśleć o odstąpieniu.

Trzeba więc było myśleć o rozmówieniu się z ojcem, i myślał o tem pan Edmund. Lecz myślał tak mozolnie i długo, że minął jeden tydzień, i drugi, i już się trzeci zaczynał, a on jeszcze ani jednego słowa nie wymyślił, którem miał przemówić do ojca. Niezastanawiający się nigdy dotychczas nad niczem i niepotrzebujący nigdy więcej jak mgnienia oka na to, ażeby się rzucił sam jeden na cały tłum nieprzyjaciół, albo się zdecydował na jakąś ukraińską wyprawę, dzisiaj nie mógł się zdecydować na jedną krótką rozmowę — z rodzonym ojcem. Zdecydował się wszakże nareszcie i do ojca pojechał.

Obaczywszy go stolnik, wiedzący zapewne już o wszystkiem, o czem i cała ziemia wiedziała, przyjął go jeszcze surowiej niż zwykle i już przy drzwiach zapytał, czego żąda od niego?

To zmieszało tembardziej Edmunda, lecz zebrawszy się, powiedział wszystko co miał do powiedzenia. Jednak o ile zręczny szermierz każdą bronią żelazną, o tyle całkiem nieświadomym był on szermierstwa myślą i słowem. Niewiadomo jest wprawdzie, w jakiej formie on ojcu rzecz swoją przedstawił, ale z odpowiedzi ojcowskiej się pokazuje, że go się spytał na końcu: azali to prawdą jest, że on sam zaczął konkurować o panią Strzelecką? — pan stolnik bowiem, zapominając całkiem swojej zwykłej powagi, wpadł wówczas w złość tak gwałtowną, że zawołał do niego:

— I waść jeszcze śmiesz mnie się pytać o to! Idź! i żeby cię oczy moje więcej z tem nie widziały!

Taka była odpowiedź ojca. Z nią, jak mnich kwestarz od zamkniętej bramy bogatego pałacu, powrócił Edmund do domu. Był to cios zabójczy dla niego. Nie wiedział on teraz już wcale, co począć. Wszystko byłby potrafił, ale sprzeciwiać się woli ojcowskiej w tej sprawie, o tem nie umiał nawet pomyśleć.

Dziwnem się to może wydać komu, że ten hardy junak swojego czasu, którego całe stanowisko społeczne i niemal wszystkie polityczne opinie były niezgodne z rozumieniem ojcowskiem, dzisiaj przeciwko woli ojcowskiej nie miał odwagi wykroczyć w rzeczy na pozór mniejszej. Wszakże nie powinno to dziwić nikogo; jest to bowiem jeden z najcharakterystyczniejszych rysów ówczesnego wychowania i wyobrażeń. Według nich syn dorosły, już sam w sobie jednostka w składzie społecznym, już obywatel, nie miał wcale obowiązku w swoich opiniach politycznych lub sympatyach stronniczych oglądać się na takież opinie i sympatye ojcowskie, bo na tem właśnie zależała owa osobista swoboda, którą sam każdy chciał mieć nietykaną dla siebie i stąd jej nie odmawiał nikomu do tego stopnia, że nawet ojciec jej nie odmawiał synowi. Ale przy takiej wolności, że tak powiem, na polu, całe inny obyczaj zachowywał się w domu. Dom szlachecki ówczesny, dom czyli rodzina, była to instytucya tak ścisłemi i surowemi prawami rządzona, że nie wiedzieć do czego ją snadniej porównać, do małego państwa czy do małego zakonu? Była ona wszakże na poły jednem, na poły drugim! Bo jakby państwo jakie, każdy dom taki miał swoją odrębną tradycyonalną politykę, jak zakon mnisi swoją regułę, a jak obadwa rządzony był samowładnie. Rządził nią zwykle ojciec, a jego wola była tak dalece świętą nietylko dla dzieci, ale i dla powszechnej ówczesnej opinii, że każde przeciwko niej wykroczenie, nawet w takim razie, kiedyby słuszność była po stronie wykraczającego, uważane było za grzech poprostu śmiertelny i pociągało za sobą rodzaj hańby publicznej. Jakoż pomimo niezliczonych przysłowiów i form mówienia, potwierdzających prawdę tego stosunku ojca do swojej rodziny, jak np.: „Kto nie słucha ojca, matki...“ „Krzywda ojcowska nie boli“, „Ojciec wybije, a Pan Bóg wygoi“ i t. d — rzeczą jest wiadomą powszechnie, że komu przydano miano „zły syn“, ten nie mógł nigdy i nigdzie mieć oka, bo ciążyła na nim jakby połowa infamii. Władzę zaś tę wykonywali najsurowiej ojcowie w sprawach czysto domowych, pomiędzy któremi oczywiście najpierwsze trzymały miejsce wyjście za mąż lub ożenienie. Jakoż w tej zwłaszcza surowości nikt

im przeszkadzać nie miał ani prawa, ani widział potrzeby, i jeżeli już z końcem może nie wszędzie indziej, tu jednak zawsze każdy ojciec miał słuszność, a każde dziecko przeciwnie nigdy nie miało słuszności.

Taki był wówczas obyczaj i w nim, jak w drugiej religii, wychowywały się pokolenia ówczesne. W nim też także wychowywany pan Edmund, nie śmiał ani pomyśleć o tem, ażeby bez ojcowskiego błogosławieństwa mógł do ślubu przystąpić. Będąc zaś z drugiej strony prawie więcej jak pewny, że błogosławieństwa tego nigdy nie otrzyma od ojca, znalazł się on w tem położeniu, w którem koniecznie trzeba było postanowić czarno lub biało: więc albo złamać siłą wszystkie przeszkody i bez błogosławieństwa ojca do ślubu przystąpić, — albo zrzec się swej lubej na zawsze. Jakoż według wszelkiego prawdopodobieństwa, jeżeli kto, to najpewniej taki junak odważny, mąż zdecydowanych przymiotów, powinienby się był w oka mgnieniu przechylić i zrobić jedno lub drugie.

Ale jak często prawda zdaje się niepodobną do prawdy, tak i prawdopodobieństwo nie zawsze prawdą. W Chojnackim, zamiast rączej decyzyi, zaczyna się walka długa, bardzo chwiejna i zapewne niepospolicie bolesna. Albowiem z jednej strony większa w nim wiara, niżeli odwaga, — z drugiej silniejsza miłość, niżeli władza nad sobą samym. I tak targany to w jedną stronę to w drugą, jedzie on na naradę do swej narzeczonej. Ale cóż za radę dać może kobieta, przywiązana najżywszą miłością? Oczywiście spokojną i skuteczną naradę zastępują płacze i jęki, a zamiast stanowiącego środka występuje półśrodek, zamykający się w słowie: czekajmy.

— Ha! — więc czekajmy — odpowiada pan stolnikowicz — i czeka.

Jednakże czekając, niepodobna mu jest nie odwiedzać tej, której odtąd poświęca wszystko, co tylko może poświęcić. Pan stolnikowicz odwiedza więc swoją narzeczoną od czasu do czasu i zapewne dość często. Lecz odwiedziny takie teraz, po odmówionem błogosławieństwie przez ojca, nie są na swojem miejscu. Są one bowiem dzisiaj prawie

połową przekroczenia zakazu ojca. Odwiedziny te nawet mogą być przez złośliwych uważane jeszcze daleko gorzej; pani Salomea bowiem jest młodą wdową, pozostawioną samej sobie i nawet niema nikogo ze starszych w domu... Czuje to wszystko Edmund i dlatego nie zastanawia swoich odwiedzin, ale stara się je odbywać kryjomo. Jeździ on więc po nocach, tam w dzień przyjeżdża, bawi godzinę lub więcej i wraca... lecz aby go nikt nie widział, czeka gdzieś w lasach do nocy. Czasem o kilka mil naokoło objeżdża, aby ślad zatrzeć za sobą... Czasem po kilka tygodni przesiaduje u swego przyjaciela, pana Adama Cieszanowskiego, w Płonnej, i stamtąd do Seredniego dojeżdża... I tak to trwa resztę zimy, i całą wiosnę, i lato.

Przejdźmyż teraz do opinii publicznej, do szlachty. Szlachta oczywiście, więcej sobą zajęta wzajemnie, niżeli jakiembądź innem zajęciem, wiedziała o wszystkiem od samego początku. Lecz jakaż była tej szlachty o tej sprawie opinia? Oto już od samego początku Edmundowi wprost nieprzychylna. Szlachta ta bowiem, lubo wcale nie miała dla pana stolnika sympatyi, pamiętała jednak o tem, że to jest ojciec. Szlachta ta zresztą nie mogła przypuścić, ażeby Edmund nie wiedział o tem, że jego ojciec zaczął konkurować o panią Strzelecką, boć się to działo publicznie i wszyscy o tem wiedzieli. W jej oczach tedy stanął tylko fakt nagi, że Edmund puszcza się z własnym ojcem w zawody, — fakt zaiste już sam w sobie dość nieprzyjaźne rzucający światło na syna, wszakże niebawem jeszcze o wiele nieprzyjaźniejszy dlatego, że się nim tak powszechnie zajęto. A zajmowano się nim oczywiście tak samo, jak się zajmowano dotychczas samym Edmundem. Jakoż już wtedy zaczęły zwolna otwarte występować głosy przeciwko niemu, a głosy te podnieśli najprzód wszyscy ojcowie dorosłych synów, niektóre matki zapewne, a nareszcie i ci, którzy i dawniej może tylko przymusowo Edmundowi przychylni, dzisiaj, po zaszłych zmianach w rzeczy publicznej i po przypisaniu tych zmian konfederacyi barskiej, której Edmund najwybitniejszym był zwolennikiem

w Sanockiem, nie widzieli wcale potrzeby tajenia się z swoją ku niemu niechęcią. Bohaterowie sprawy upadłej, najnieszczęśliwsi to ludzie zazwyczaj, — jeśli nieprzyjaciele pozwolą im odjąć od ust przeznaczony dla nich kielich goryczy, to przyjaciele im go przychylą na nowo i muszą go spełnić do dna koniecznie A takim bohaterem sprawy upadłej był Edmund.

Owóż więc i to jedno i tamto drugie postawiły go zaraz z samego początku w takim stosunku do ogółu szlachty, że dawny blask jego zaczął blednąć z niesłychaną szybkością i dawne sympatye ziębić się także tym torem. Wkrótce wszakże Edmund się udał po błogosławieństwo do ojca i ojciec mu go stanowczo odmówił. To zastanowiło dotychczasowe szemrania, — czekano dalszych kroków Edmunda. Lecz kiedy Edmund potem zaczął nanowo bywać w Seredniem, kiedy te odwiedziny zaczęły się stawać coraz częstszemi i kiedy je jeszcze do tego odwiedzający pokrywał coraz misterniejszą tajemniczością, — to nietylko głos opinii publicznej przeważył się stanowczo przeciwko niemu, ale sprawiło to jakiś rodzaj tak powszechnego wzburzenia, jak gdyby tu chodziło o jaką ze spraw najważniejszych. I jakkolwiek zdarzenie podobne dzisiaj, przy dzisiejszem zupełnem rozchwianiu się publicznego sumienia, zaledwieby mogło obudzać dwuznaczne tu i owdzie uśmiechy i obojętne poszepty; wówczas jednak stało się ono sprawą całego powiatu publiczną i nawet rzeczywiście sprawą tak ważną, że się nią najpowszechniej zajęto. Było to naturalnym skutkiem tej moralności ówczesnej, która upadając już wtedy stopniowo gdzieindziej, tu jednak, w tym odosobnionym powiecie, chowała się jeszcze w starodawnej czerstwości i sile. Moralność ta była tu wówczas jeszcze tak nawet surowa i krzepka, a sumienie społeczne było tak jednolite i jędrne, że jako morze trupa w swoich bałwanach, tak ono żadnej moralnej zgnilizny nie mogło znieść w swoich granic obrębie. Tu zaś poczuwało się jeszcze o tyle więcej do wykonania swojego prawa, ile że ta zgnilizna pokazała się na człowieku, który stał tak wysoko nad innymi, i który jak ze swej wysokości dotąd

przyświecał wszystkim swojemi cnotami, tak teraz z tejże samej wysokości zaczął rozsiewać zaraźliwe promienie złego. Do tego powszechnego wzburzenia przyczynił się zapewne niemało surowemi cnotami jaśniejący dom Ossolińskich, dom, który miał główną nad całą szlachtą przewagę, w którym było dwie dorodnych już córek i którego nieodstępnym przyjacielem był ojciec Edmunda, i przyczyniły się zapewne swym groszem wdowim uboższe, starsze i mniej szczęśliwe sąsiadki młodej, bogatej i pięknej Strzeleckiej.

Cokolwiekbądź, wielkie stąd powstało wzburzenie po całej ziemi. Zjeżdżano się, krzyczano, hałasowano i o niczem nie mówiono, jeno o tem. Śród tego czasu odsuwano się coraz bardziej od uwielbianego do niedawna Edmunda, a na niektórych zjazdach dziwne nieraz dawały się słyszeć względem zawziętego grzesznika zamiary. Jakoż z innym, kto wie do czegoby było przyszło, ale do takiego stolnikowicza, który konie wywracał i butami swymi mógł był połowę szlachty wydeptać, niełatwo było przystąpić, i szlachta cała tylko ponurem, lecz zaprawdę zabijającem milczeniem objawiała swe potępienie...

Tego usposobienia opinii publicznej dla siebie nie mógł Edmund nie uczuć już wtedy, kiedy dopiero jej pierwsze zaczęły na jaw występować znamiona. Żyjący dotychczas w tak nieustannych uściskach miłości braterskiej, czuł on każde najmniejsze tych uścisków zwolnienie. Uczuwszy zaś je w samej istocie, uczuł je zaraz głęboko i uczuł nawet istny ból z tego powodu.

Im dalej wszakże, tem dobitniej zaczęło się to usposobienie wyjawiać. Z początku dalsi, później i bliżsi znajomi zaczęli go wyraźnie unikać. Odstąpili go wreszcie nawet i najbliżsi. Dom jego, dawniej jak ul pszczelny rojący się gośćmi, stanął pustką bezludną. On sam, pierwszy gość każdej fety, każdego zjazdu, dziś omijany przez wszystkich. Tyloletni, nieodbity rozjemca sporów sąsiedzkich, pierwszy ukrzywdzonych obrońca, *super-arbiter* wszystkich spraw powiatowych, dziś jakby nie żył na świecie. Co większa nawet, kiedy się gdzieś przypadkowo pokazał na

jakim odpuście, jarmarku lub targu, gdzie było mnogo szlachty jak zwykle, nietylko go po staremu nie okolili wszyscy za pierwszem dojrzeniem, ale nikt zgoła nie podał mu nawet ręki, ledwie dziesiąty go pozdrowił zdaleka, a zresztą każdy uciekał od niego, jak od pomoru lub głodu...

Tak samo z drugiej znów strony postępowano ze Strzelecką...

I dopiero wtedy Edmunda porwał ból taki silny, że mu nie był już mocen. Szarpany przezeń, zmienił się cały do niepoznania. Z wesołego młodzieńca stał się mężem ponurym i chmurnym; z hałaśliwego często junaka milczącym mnichem. Jego twarz rumiana i świeża wychudła i zżółkła, broda się zaostrzyła jakby u suchotnika, ogniste oczy w głąb policzków zapadły; z olbrzymiego budową i wzrostem męża zrobił się szkielet olbrzymi...

Wówczas to nieszczęśliwy ten człowiek, siedząc nieraz wieczorem w ganku swojego domu, był dziwowiskiem przechodniów. Siedzącemu z głową spuszczoną ku ziemi łzy się czasem puszczały z oczu i dużemi kroplami spadały po wychudłych policzkach. Budził się wtedy z swych marzeń bolesnych, podnosił oczy do góry i nieodstępnemu od siebie Cieszanowskiemu skarżył się z żalem:

— Hej! panie Adamie! co się to ze mną stało! Gdzież przyjaciele moi, gdzie poplecznicy, gdzie cała szlachta moja? Gdzie ci, których całemi setkami wodziłem po sejmikach i bitwach; gdzie drudzy, którzy się za szczęśliwych mieli, kiedy ich w ogniu tylko cień mój zasłonił; gdzie wszyscy, którzyby byli dla mnie krwi utoczyli z pod serca?...

Wszakże tyle wszystkich skarg jego było. Bo zresztą tylko zęby zacinał i milczał. Ufał jeszcze sobie i myślał, że zniesie i przetrwa to wszystko. A kiedy doznał jakiego nowego tej srogiej klątwy dowodu, burzył się jeszcze, zrywał się i mówił z zawziętym gniewem do przyjaciela:

— Hej! niech no tylko nie grają ze mną dalej w tę grę dyabelską! Boć ja wiem dobrze, czego im braknie. Zapomnieli już mojej ręki! Lecz biada temu, biada! mówię, kto mi pierwszy w nią wpadnie!

Jakoż wtedy, jak gdyby umyślnie, a było to prawie gdzieś z końcem lata, przeznaczenie nieszczęsne nadarzyło właśnie potemu sposobność. Miało się to stać w sposób następny.

Jednym z obojętnych wszystkim drobnym sprawom miejscowym, a więc i sprawie stolnikowicza, był podstoli pomorski, mieszkający na murowanym zameczku w Hoczwi. Do niego dnia jednego wieczorem Chojnacki, czy to z domu umyślnie, czy powracając ze Seredniego, wstąpił w gościnę. Oprócz gospodarza, zastał tam kilku szlachty, pomiędzy którymi znalazł się także i Deręgowski, stolnik ostrzeszowski.

Deręgowski była to prawie druga edycya Chojnackiego. Równy mu wzrostem, nieokiełznaną fantazyą i siłą, był on także jednym z najpierwszych junaków; zachodziła wszakże pomiędzy nimi ta ważna różnica, że jeżeli Chojnacki był wydany na białym papierze, to tamten na prostej bibule. Był on bowiem niepowściągliwym burdą i haniebnie sławnym bibułą. Był wszakże przytem jednym z najbliższych przyjaciół Edmunda. Dziś odstąpił go, tak samo jak wszyscy, a będąc rozgłośniejszym krzykaczem i więcej ufającym swej sile niż inni, może też jeszcze głośniej powstawał przeciwko niemu. Po długiem niewidzeniu spotkawszy się dzisiaj, tylko się wzrokiem zmierzyli i nic więcej. Lecz kiedy gęste zaczęły krążyć kielichy, Deręgowski nie mógł się powstrzymać od równie gęstych do Chojnackiego przycinków. Chojnacki zrazu wszystko to, milcząc, połykał, lecz kiedy go tamten nazwał bisurmanem, zaprowadzającym modę serajów, rzucił się na niego i wyzwał go zaraz na rękę. Przez długą chwilę trwał jeszcze spór i usiłowanie pogodzenia zwaśnionych, — ale napróżno. Śród tego sporu Deręgowski się trochę otrzeźwił i wspomniawszy na żonę i dzieci, zmiękł był cokolwiek, i miał powiedzieć do podstolego:

— Bitwy mu nie odmówię, ale żeby mi stolniko-

wicz dał fryszt do trzech dni, tobym go przyjął z wdzięcznością.

Ale stolnikowicz nie pozwolił ani na dzień, ani nawet do jutra.

Porozbierawszy się tedy z kontuszów i żupanów, szli w dziedziniec natychmiast. W tym pochodzie Deręgowskiemu wypada szabla z ręki, co już bardzo złym było znakiem, lecz kiedy się chylał po nią, wysunął mu się z za otwartej koszuli szkaplerz, noszony zawsze na piersiach. Szkaplerz ten wziął Deręgowski do ręki, pocałował i rzekł: — Panie Boże! przyjm to za spowiedź świętą odemnie.

Przytomni temu tak tem wzruszeni zostali, że jeszcze raz usiłowano przywrócić zgodę. Ale Chojnacki na to obrócił się tylko do Deręgowskiego, już stojącego na placu, i zawołał:

— Bisurmaństwa nie zlizać językiem. Panie Józefie, czas!

Z temi słowami natarł. Zwarli się tedy te dwa olbrzymy ze sobą, jakby dwie całe chorągwie. Wszakże niedługo trwała bitwa. Po kilkunastu cięciach Deręgowski się zachwiał i powalił się z jękiem na ziemię. Przyskoczono do niego i znaleziono na nim dwie wielkie rany, a jego samego bez zmysłów. Wzięto go na kobierzec i zaniesiono do zamku. Posłano po felczera i uczyniono wszystko co trzeba, ale wszystko napróżno. Deręgowski umarł jeszcze tej samej nocy.

Zdarzenie to, lubo niedawno upragnione przez Chojnackiego, nie przyniosło mu jednak żadnej ulgi, ani pociechy. Owszem nawet, po trzeźwiejszym namyśle, przygniotło go jeszcze bardziej do ziemi. Co zaś do ogółu szlachty, to stało się ono u niej ciosem dla niego zabójczym. Nikt już teraz nie hałasował ani krzyczał przeciwko niemu, bo najstraszliwsza zgroza zdjęła umysły wszystkich. Nikt nie pragnął losu Deręgowskiego dla siebie i dlatego wszyscy milczeli. Ale było to milczenie już zaprawdę zabójcze. Chojnackiego postać dzisiejsza zmieniła się w jakiegoś straszliwego upiora, w jakąś plagę powiatu tak straszną, że

nikt nie śmiał jej dotknąć ani wspomnieniem, lecz wszyscy pragnęli jak najprędszego od niej zbawienia...

Ostateczna ta zmiana opinii doszła wprędce do uszu Edmunda i powaliła ducha jego do reszty. Jego boleść wewnętrzna rozlała się po całej krwi jego i zamieniła się w zabijającą truciznę. Pod jej morderczym działaniem zaczął schnąć już i padać. Nie brakowało już tylko jednego silniejszego weń uderzenia, ażeby ostatnie wydobyć zeń tchnienie i znieść go z tej ziemi na zawsze. Ale niedługo trza było czekać i na to.

Śród tego czasu wkrótce jesień nadeszła. Z jesienią zaczęły się polowania. Polowania były to niegdyś najulubieńsze Chojnackiego zabawy, było to w domu najpiękniejsze pole jego junackich popisów. Nie obchodziło się też dawniej żadne polowanie bez niego, a jego myśliwska powaga była tak znamienita, że dopiero obietnica jego przybycia dawała każdemu z sąsiadów hasło do zapraszania innych. To go jeszcze raz ocuciło, pokazując mu pewnie jakiś nowy promień nadziei. Myślał może, że polowania staną się mimowolnym środkiem zbliżenia go napowrót do szlachty. Smutna to była pociecha dla tego, który niegdy sam trząsał tą całą szlachtą, ale jeszcze smutniejsza przez to, że była tylko nowem złudzeniem. Jakoż zaraz po św. Michale kilka się odbyło polowań, a o nim nikt ani pomyślał. Zapowiedziane zostały nareszcie wielkie łowy u Brześciańskich, kasztelaniców lubaczewskich w Ustyanowej i zaproszono na nie prawie całą szlachtę sąsiednią. Dawniej czyniący zaszczyt każdemu, komu dał się zaprosić, dzisiaj wyczekiwał on tych zaprosin jakby zbawienia. Ale minął już dzień ostatni... a zaprosiny nie przyszły.

Pomimo to wszakże nabrał on jeszcze jakiejś osobliwszej odwagi... i postanowił na to polowanie pojechać. Odwaga taka była to już rozpacz ostatnia, — ale w tem położeniu nawet i rozpacz niedziwna.

W Ustyanowej, w dzień polowania, jeszcze może godzina była do dnia, kiedy kilkudziesięciu szlachty było zgromadzonych w komnacie. Właśnie co kończono śniada-

nie i cisza panowała powszechna, jak to zwykle przed czynem... kiedy się drzwi otworzyły i wszedł do komnaty ów straszliwy dla wszystkich Chojnacki. Gdyby który nieboszczyk z grobu, gdyby upiór z nadgranicznej mogiły, gdyby żywa postać morowej zarazy była stanęła pomiędzy nimi — nie byłoby to na nich tak przerażającego zrobiło wrażenia, jak kiedy teraz stanął przed nimi Chojnacki. Wystraszonemi też oczyma wszyscy spojrzeli na niego, niektórym pomimo woli powypadały z rąk łyżki i noże, wszyscy zgrabieli na miejscu... i w całej komnacie grobowe zapanowało milczenie.

Tymczasem Chojnacki z założonemi rękami przed siebie, z głową pochyloną ku ziemi, stał i milcząc patrzył na wszystkich.

Bóg sam wie tylko, jaki tam wyraz wtedy był w jego twarzy!

Scena ta trwała przez krótką chwilę, a na nią szlachta nie umiała odpowiedzieć inaczej, jak tylko pełnem grozy milczeniem.

Powalony moralnie bohater żebrał już wtedy tylko litości dla siebie, — ale już i litości nawet nie było dla niego.

Wkrótce też, kiedy w tym tłumie jeden się znowu ocucił, zerwali się razem wszyscy i jakby po śnie jakim lub przywidzeniu, powybiegali w dziedziniec do koni.

Chojnacki sam został w komnacie.

Wtedy po chwili zbliżył się ku niemu wraz z Cieszanowskim ktoś litościwy, zapewne młodszy z kasztelaniców, i przyniósłszy mu jakieś martwe słowo pociechy, namówił go, aby pojechał wraz z wszystkimi na łowy. Chojnacki ledwie wiedzący dobrze, co się z nim dzieje, wszystko dał zrobić ze sobą.

Wyjechawszy na miejsce łowów, zostawili go jego towarzysze na jakiejś wysoko położonej polanie, a sami odjechali dalej. Siedząc na koniu ze spuszczoną ku ziemi głową, słuchał przez jakiś czas psów grania i gwarów myśliwskich. Lecz kiedy te się oddaliły od niego, zlazł

z konia, zdjął z niego kulbakę, a oparłszy głowę na niej, położył się na murawie. Przez długą chwilę tak leżał, lecz pomału siły go zaczęły opuszczać, nieodpędzony sen zaczął gnieść mu powieki... i wreszcie zasnął.

Polowanie tymczasem trwało przez cały dzień.

O samym zachodzie słońca nawołali się wszyscy myśliwi i zaczęli się zbierać na oznaczone miejsce. Zbiegając się ku sobie, kilku z nich wpadło na tę polanę, a między nimi i Cieszanowski. Ten, obaczywszy Edmunda leżącego na ziemi, zbliżył się ku niemu i zaczął wołać na niego, ażeby wstawał. Ale Edmund się nie odzywał. Cieszanowski się schylił i dotknął go ręką... a Edmund był zimny jak lód.

Na jego wołanie zbiegła się wkrótce niemal cała szlachta przytomna i okrążyła półkolem dawnego swego bohatera zakrzepłe zwłoki.

Wszyscy na niego patrzyli śród powszechnego milczenia. Wszakże w tej ciszy poważnej po niejakim namyśle miał się dać słyszeć z tłumu głos jakiś mówiący:

— *Sic transit gloria mundi.*

Na to zaś Cieszanowski, spojrzawszy groźnie temu tłumowi w oczy:

— Mości panowie! — rzecze — nie wiem azali nie będziecie zdawać ciężkiego rachunku z tej śmierci!

Ale na to znów odezwał się jakiś głos z tłumu:

— Nie mamy sobie nic do wyrzucenia. *Vox populi, vox Dei!*

Te słowa były jakby mową pogrzebową na grobie tego, który niedawno pierwszy pomiędzy całą tą szlachtą był przez nią w tryumfie obnoszony na rękach... Kara to straszna zaprawdę, w porównaniu z nagrodą!

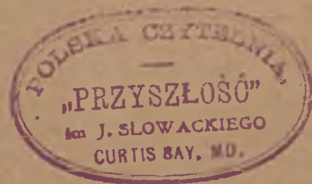
Pogrzeb jego był taki sam prawie, jak koniec życia. Za jego trumną szedł tylko Cieszanowski i kilku sług wiernych nieboszczykowskich...

Pan stolnik, ojciec, wytrwał w swoim nieprzebłaganym gniewie do ostatniego momentu i żył jeszcze kilka lat potem w najlepszem zdrowiu.

Pani Strzelecka zakończyła resztę dni swego życia w klasztorze [1]).

[1]) Podanie to opowiadał mi niegdyś w całości imć pan Hubczyc, osiemdziesięcioletni starzec, zmarły przed kilką laty; główne zaś szczegóły tego podania potwierdzają niektóre notaty i dokumenty, pozostałe po Ossolińskim, wojewodzie wołyńskim.

KONIEC TOMU CZWARTEGO.



SPIS RZECZY.

Str.

Murdelio (dokończenie) 1

TRAGEDYE SANOCKIE

Basia Karsznicka 175

Kuchmistrz Litewski 189

Edmund Chojnacki 203



